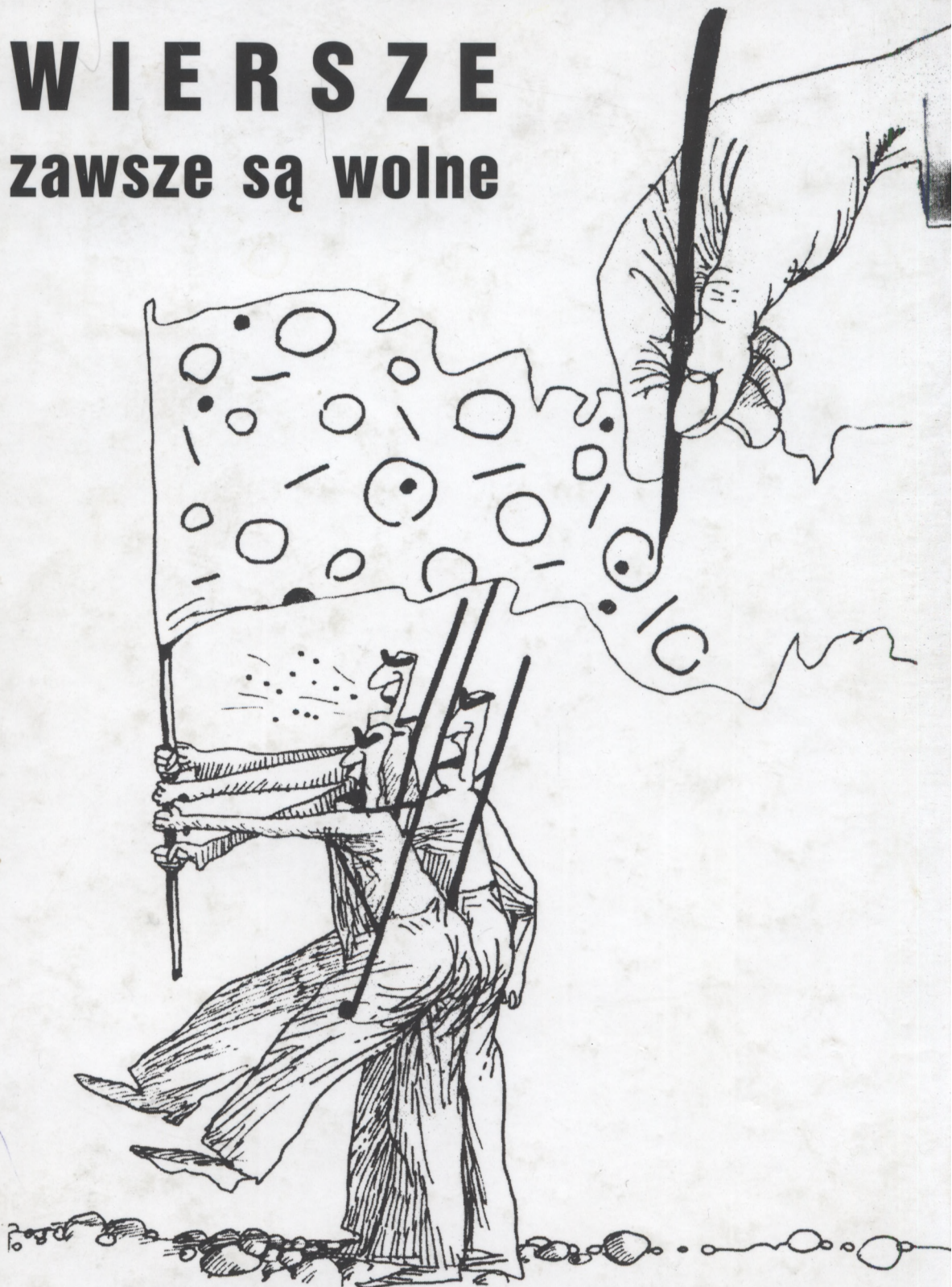


W I E R S Z E

zawsze są wolne



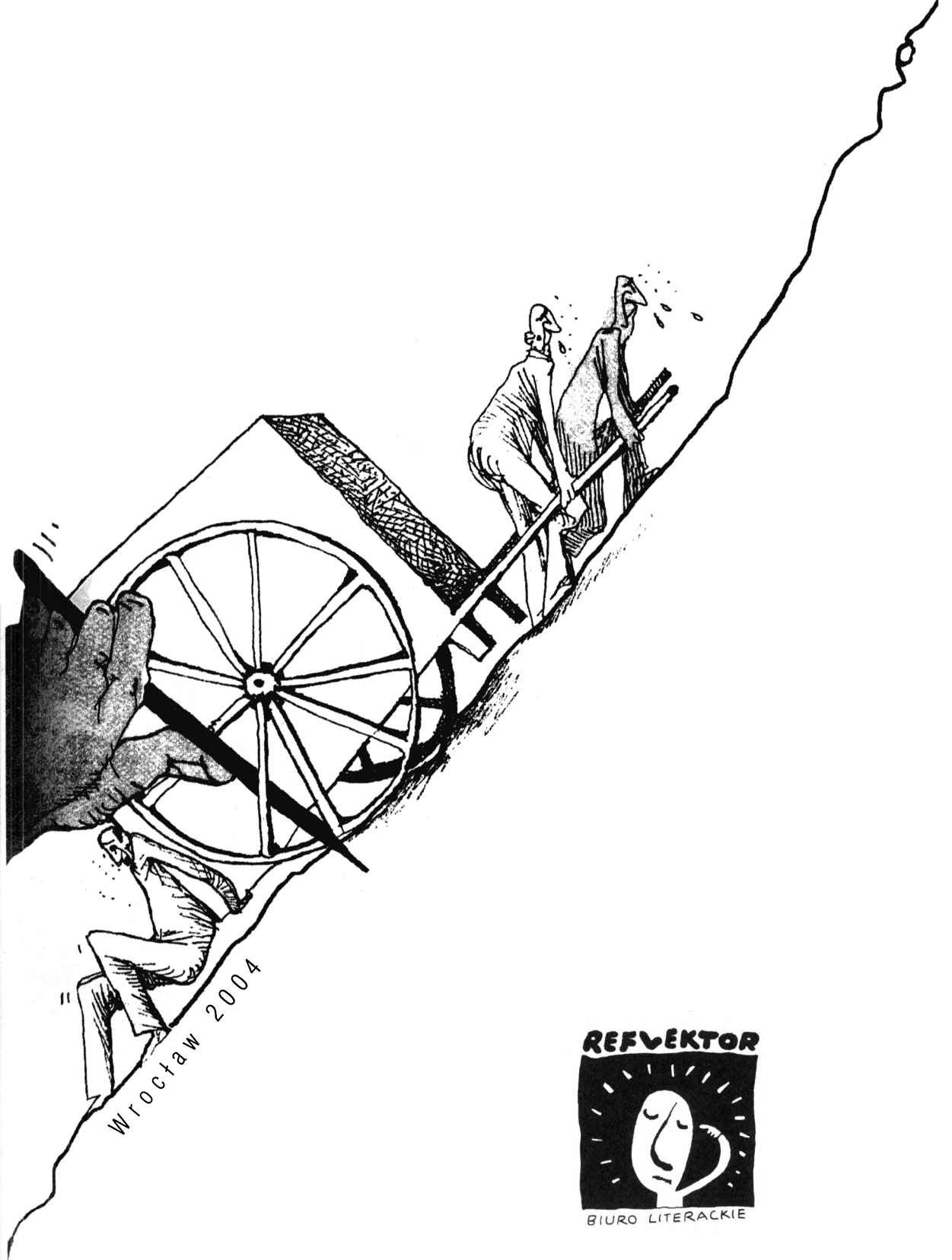
POEZJA UKRAIŃSKA W PRZEKŁADACH BOHDANA ZADURY

WIERŠE

zawsze są wolne

EMMA ANDIJEWSKA
JURIJ ANDRUCHOWYCZ
NATAŁKA BIŁOCERKIEWC
ANDRIJ BONDAR
JEWHEN BRUSŁYNOWSKI
MYKOŁA CHOŁODNY
WOŁODYMYR CYBULKO
HRYHORIJ CZUBAJ
NAZAR HONCZAR
OLEKSANDR IRWANEC
IWAN ŁUCZUK
WASYŁ MACHNO
KOSTIANTYN MOSKAŁEC
WIKTOR NEBORAK
DMYTRO PAWŁYCZKO
HAŁYNA PETROSANIAK
MYKOŁA RIABCZUK
ROMAN SADŁOWSKI
OSTAP SŁYWYNSKI
SIERHIJ ŻADAN





Wrocław 2004

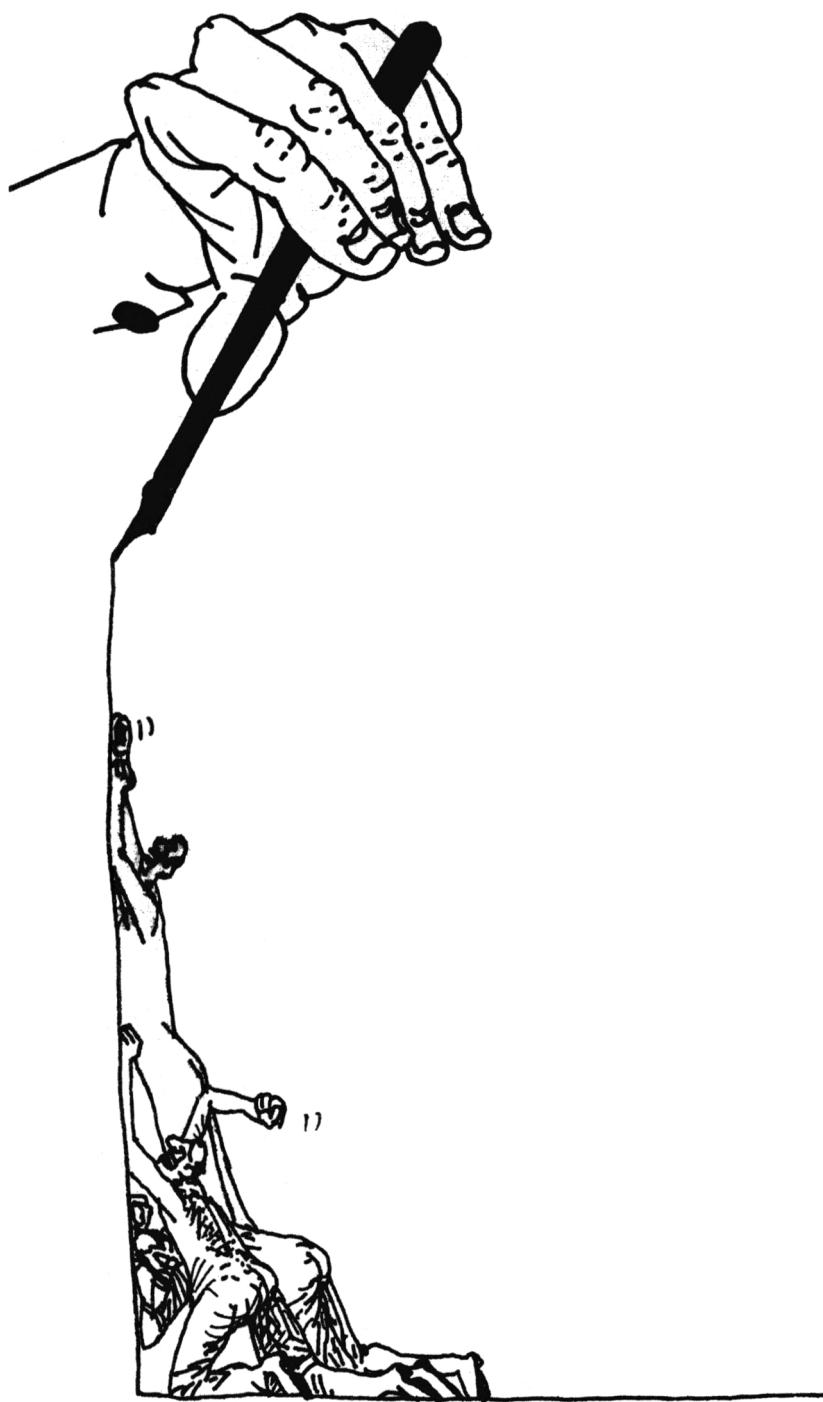
REFLEKTOR



BIURO LITERACKIE

W I E R S Z E
zawsze są wolne

POEZJA UKRAIŃSKA W PRZEKŁADACH BOHDANA ZADURY



Wstęp

Tę książkę mógłbym nazwać niechcianym, a w każdym razie nieplanowanym dzieckiem. Jeszcze ćwierć wieku temu prędzej bym się – to mało wyszukane, ale prawdziwe porównanie – śmierci spodziewał, niż tego, że będę kiedyś tłumaczył wiersze ukraińskich poetów.

Otwierają tę antologię (? – antologię jednego tłumacza) wiersze Dmytra Pawłyczki (r. 1930), zamykają Ostapa Sływyskiego (r. 1978). Jej układ przypadkiem odpowiada mniej więcej przebiegowi mojej przygody z ukraińską liryką. Zaczęła się od Pawłyczki – i miał to być tylko epizod. Ten epizod zapoczątkował trwałe znajomości i – może wolno mi tak powiedzieć – przyjaźnie.

Zaletą tej antologii jest jej wieloraka niereprezentatywność. Mykoła Riabczuk, dla przykładu, który był w 1989 roku moim przewodnikiem po absolutnie nieznanym dla mnie wówczas świecie ukraińskiej literatury i rzeczywistości, bardziej jest pewnie postrzegany w swym kraju jako krytyk czy w ostatnich czasach politolog niż poeta. Iwan Łuczuk, dla przykładu, pisze teraz zupełnie inne wiersze niż te, które swego czasu tłumaczyłem. A jednak mimo wszystko ów brak reprezentatywności uważam za atut, mam nadzieję, że nie próbując odzwierciedlać żadnej hierarchii ani żadnej hierarchii budować, zbiór ten na zasadzie pars pro toto pokazuje jednak wielogłosowość i bogactwo współczesnej poezji ukraińskiej.

Co nas pociąga? Myślę, że w równej mierze podobieństwa i różnice. W odpowiednich proporcjach; coś, co jest takie samo, nie budzi zainteresowania; coś, co jest absolutnie odmienne od tego, co znamy – też nie jest atrakcyjne. Wydaje mi się, że mnóstwo rzeczy dla polskiego czytelnika może w poezji ukraińskiej być atrakcją – prostota i mądrość najnowszych wierszy Dmytra Pawłyczki, nadrealizm tak specyficznie spleciony z ludowością u Hryhorija Czubaja, Kostiantyna Moskałcia, czy Wołodymyra Cybulki, młodzieńczość, karnawałowość, witalność, poczucie humoru Bubabistów, hucpa i plebejskość Mykoły Chołodnego, „postmodernizm” Jewhena Brusłynowskiego, wyciszony – a jakże wyrazisty – liryzm Hałyny Petrosaniak. Sposób, w jaki to, co społeczne, co zbiorowe, łączy się z doświadczeniem jednostki. Wydaje mi się, że poeci ukraińscy są w stanie potrącać takie emocjonalne struny, których dotknięcie przez poetę polskiego skończyć musiałoby się niechybnie katastrofą śmieszności. Ci z Państwa, którzy nie wiedzą o czym myślę, zechcą przeczytać „Konia Józefa Poniatowskiego” Pawłyczki albo zajrzeć do wierszy Ołeksandra Irwancia.

Bohdan Zadura

Przyszeli kupiec z czerwonymi oczami,
Na podwórzu coś mówił do taty,
Potem sakiewkę wyciągnął z groszami
I za moje dzieciństwo zapłacił.

Nową koszulę na siebie włożyłem
I ocierając w rękaw łzy ukradkiem,
Na sznurku smutne ciele prowadziłem
Za starym kupcem do czarnej jatki.

I krew ściekała ze słońca jak z noża
Tam, gdzie za lasem kończy się już ziemia.
Myślałem, co ja, co ja powiem, Boże,
Kiedy mnie krowa zapyta, gdzie cielak.

Do chaty sznurek przyniosłem, na łóżko
Bez słowa padłem i przez sen swej matki
Obecność czułem, słyszałem, jak smutno
Wzdycha, złotówkę dzieląc na podatki.

Jak wiatr na poddaszu potem szeptem
Za dusze stworzeń wszystkich się modliła
I oczyściłem się, jak gdyby we śnie
W siwym szeleście modlitw mnie obmyła.

Do dzisiaj – tylko sen sklepi powieki,
Słyszę ten matki cichy nocny lament
I biegnę pośród ojca niw dalekich,
Gdzie krwią słoneczną trawy pochłapane.

1965

CYMBAŁY

Był u nas cymbalista, młody czarodziej muzykant,
Skakały jak rozbrykane źrebiątka palce jego ręki –
Cymbały brzmiały jak dzwony, dzwoniły jak srebrna osika,
Jak kłosy, które biją na widnokręgu o błękit.

Znały go góry dalekie i znany był pośród dolin:
Twarz – księżycowy wieczór, zblakany w gęstym borze.
W niedzielę siedział grając na progu swej stodoły
I ludzie szli do niego, dom omijając Boży.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
– To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Może i żył w cymbałach pomocnik zwinny, ale
Tak po tych strunach skakał, że ludzki wzrok cóż wart?
Sam cymbalista o nim niejeden raz zuchwale
Mawiał: – Patrzcie, jest dusza, a ciała nie ma czart.

Wypisz-wymaluj – inni mówili – koziołeczek,
Czarnym meszkiem na gębie przypomina trzmieła.
Któż uwierzy pogwarkom koło pustych beczek,
Gdzieś w przedsionkach biesiad, w podwórkach wesela?

– Ja wam, kumie powiadam, on taki jak mucha!
– Ja wam, kumie, powiadam, on jak komar iśćcie! –
Wiedzieli tylko jedno, że to zawierucha
Kominem z chmur strąciła dziadygę cymbaliście.

Prosto w garnek ze wrzątkiem wpadł diabeł lilipuci,
Za ogon go wyciągnął grajek i ochłodził,
Powoli – nie bez kija, rzecz jasna – grać nauczył
I grali teraz razem powiatu budząc podziw.

Cymbaliście, mówili, sprzyjało w życiu szczęście,
Z biesem się nie rozstawał, to się mu i szczęściło:
Na głowie swej go nosił, skrywszy we włosy gestę,
By mu samemu w domu w cymbałach się nie cknęło.

Przewiercił czart kapelusz, patrzył na świat przez denko.
Wszędzie bywali, tylko w cerkwi ani razu.
Śmiał się grajek – u ludzi tu z rozumem cienko –
I cymbały na ścianie powiesił miast obrazów.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
– To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Pytano go – czemu? Mówił – modłę się w domu i szczerze,
Wiarę w Boga podtrzymać przecież to diabłów praca!
I na złość zaczął drwić z nich, niewidzialnego przecherę
Przy ludziach naumyślnie traktował tak jak brata.

Za oszewkę wlewał sobie kieliszek okowitki,
Kropelkę z dna – na struny: „No mój diabełku, naści!”
Mdląły dziewczki, parobki, wszyscy spoceni do nitki,
A bies siekł kopytami, drobił, w przysiadach tańczył.

I grając tak, na paluszku wirował jak wrzeciono,
To zastygał na moment, to mknął jak na świst bata.
Kiedy niebiosą spódnice krążyły nad nim szalone,
Zabawiał się na strunach jak w cyrku akrobata.

Wzrok cymbalisty jaśniał jak zima w słońcu biała,
Ręce podnosił w górę, instrument kolanem trząśł wraz.
Bies rechotał, gził się, wściekał się w cymbałach –
Raz jeszcze, raz jedniutki, prosili, no jeszcze raz.

Na ostatek jeszcze raz,
Nie kochajcie, dziewczki, gazd,
Nie legajcie w przebiśniegach,
Bo wam zimno żyć już nie da.

Albo dosyć, albo jeszcze,
Bo już boli popod sercem,
Ginę, ludzie, nie od chłodu,
Grajże, grajże, tudu-rodu,
Graj!

Kiedy wracał grajek z wesela lub święta innego,
Na plecach bolały struny, poobijane jak kostki,
Dzieciarnia za nim biegła i patrząc na niego
Czartu pokazywały język i figę wyrostki.

Końce strun niby chwościk były albo rogi,
On nie zważał na dzieci tłum rozzuchwalony.
Pielgrzymi, co z przeciwka szli, schodzili z drogi
Lub mówili dobitnie (każde słowo osobno): – Niech będzie pochwalony!

Ktoś czasem pocałować chciał go na powitanie
Lub sprawdzić, co na dobre słówko też on powie.
A on pytał: – No, jak tam? Pocałunki dziś na targu tanie?
I kark jak byk przeginał, cofając swą głowę.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
– To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Nocą do niego przyszli, wyrwali z rąk cymbały,
Rzucili na podłogę i zawołali: „Przyświeć!”
Na jego oczach łez pełnych je siekierami rąbali,
W drzazgach czarta szukali, lecz nie znaleźli nigdzie.

Umilkł grajek na wieki, jakby milczenie ślubował.
Przez rok – do matki nawet – z ust mu słowo nie sfrunio.
I pewnego wieczora w swej stajni się zarygłował
I na krótkiej, na siwej, na martwej powiesił się strunie.

1966

KIJÓW W MAJU

Kijów w maju
na rozkwitłych kasztanach,
jak na olbrzymich spadochronach,
unosi się w niebo,
płyń nad Ukrainą,
świeci gwiazdami soborów.

Książęta, metropolici, drużynnicy,
kagiebiści, dysydenci, czerwoni niewolnicy,
akademy, deputowani, bardowie, kurwy
wychodzą z mogił, z budynków,
z przejść, z restauracji, z metra
biorą się za ręce –
boją się wypaść z lecącego Kijowa
w kosmiczną otchłań.

Panuje miłość.
Ale kwiat opada,
rozwierają się, rwą spadochrony kasztanów,
miasto siada na swoje miejsce,
zamykają się budynki,
restauracje, mogiły, –
najlepiej czują się na ziemi.

Jednak ludzie nie chwytają się za ręce,
chodzą, chowając oczy jedni przed drugimi,
a kwiat opada,
spada,
miasto siada na swoje miejsce.

ŚWIERKI

Siekiera ojca tkwi w pniaku, wbita
Aż po sam brzusiec –
Świerki zdyszane pierzchają w strachu,
Chcą w górę uciec.

Piła wygina się i napręży,
Ryba zębata.
– No, wskazuj drzewo, które zrąbiemy! –
Powiada tata.

A ja wybieram, jak po jarmarku
Oczami biegam.
Zda się ładniejszy mi taki świerczek,
Który nie z brzegu.

– Ten najsmuklejszy! – Nie, mój chłopczyku,
Szkoda go chyba!
– No to ten ładny, w igliwiu srebrnym,
Co lśni jak ryba!

– Żal go! – Więc może ten osmalony,
Omszały spodem!
– Ej nie, niebożę, zrobilibyśmy
Tym wielką szkodę!

– No to ten czarny, powykręcany,
W smole jak dratwa!
– I tego szkoda! Trochę podrośnie
I będzie tratwa.

– A ten, co niby świeczka skrzywiona,
Jak w parastacie?
– Ej, nie! I on się też wyprostuje
O swoim czasie.

Tak chodziliśmy między świerkami,
Śmieszni złodzieje.
– W domu się jeszcze zastanowimy,
Wrócim w niedzielę!...

Przeszło czterdzieści lat. Posłuchajcie –
Szumi żywica
I słońce śpiewa niby dziewczica.
Wietrzyk figluje.

Czemu tak smutno jest mi we wszystkich
Krainach świata?
Wysokie świerki stoją, pytają:
A gdzie twój tata?

PIERWSZY RAZ

Wszystko już było.
W niczym nie ma nowości.
Żyłem kiedyś na tej ziemi,
zmagalem się z marnymi myślami,
usiłowałem osiąść prawdę,
umierałem
i teraz już nie wiem,
po co urodziłem się po raz drugi,
a może trzeci.

Tak to jest, ale
bez zakwitł dzisiaj o świecie,
jak gdyby modra tunika
w głębi niebieska,
oblamowana po brzegach błękitem
spłynęła na ziemię
z pleców bogini.

Zamarłem z podziwu,
nigdy
w żadnym swoim życiu nie widziałem
takiego piękna,
zapachu takiego nie chłonałem, nie wyobrażałem sobie.

Zanurzyłem głowę
w krzak bzu
jak koń – w kopę siana.
Do oczu mi przyłgnęły
błękitne fałdy dziwnej szaty.

Co się stało? No co?
Pierwszy raz
zakwitł bez,
przynajmniej tak mu się wydaje,
pierwszy raz go zobaczyłem
i pierwszy raz stałem się koniem, i pierwszy raz
swoje spojrzenie owinąłem w błękitny jedwab.

Rozplotły się, rozsypały, rozpadły
Jak warkocze wrześnie dni.
Jeszcze kąpać się z tobą chciałbym,
A już jesień pod oknem brzmi.

Rzeka wzięła dobre gwiazdy, które
Całe lato spadały w głębinę,
Z ptakami na białej górze
Próbujemy gorzką jarzębinę.

Może by nam polecieć jak one,
Za latami młodości w wir runąć.
Czyżby nasze skrzydła pozłoczone
Nie umiały ich śladem pofrunąć?

Ja ci zimowe dni srebrem tkane
W warkocz siwy splotę jak włosy;
Tylko gwiazdy, w szczęściu wykąpanej,
Nie odnajdę, z morza nie przyniosę.

FOTOGRAFIE

Na starych fotografiach,
gdzie jestem taki jeszcze młody,
mnie nie ma.
Są tam jacyś podobni do mnie ludzie,
ale mnie nie ma.
Nie ma tam
mojej siwizny, zmęczenia ani smutku.
I gdzie to wszystko było,
kiedy się fotografowałem?
Chłopiec, który na mnie patrzy
z tych zdjęć,
nie wie, jak do mnie przemówić.
I zwraca się tak delikatnie: „tato!”
Nie jestem twoim ojcem, chłopcze,
i ty nie jesteś moim synem.
Co prawda, spotykaliśmy się kiedyś,
ale kiedy,
gdzie i po co,
nie pamiętam.

NA BOSAKA

Mój dziadek powiedział: jak umrę,
nie obuwajcie mnie,
chcę wejść na tamten świat boso.
Kiedy leżał na łóżku
patrzyłem na jego stopy.
Były czarne, grube, miejscami poprzebijane.

Skóra na palcach i piętach była
żółta, jak воск,
ale po bokach w szczelinach czerniały smugi,
napelnione naszą ziemią.

Kołące ścierniska i pokosy
na tych stopach nie zostawiły żadnego śladu
wypróbowane miejsca – to były ślady gwoździ,
jakie wbijały się w dziadkowe nogi.
kiedy mieszał glinę, żeby nią
wysmarować drewniane ściany naszej chaty i stajni...

Skąd brały się te gwoździe w glinie,
nie wiedział nikt, ale były tam,
wielkie, zardzewiałe, ostre,
jak przeznaczone na ukrzyżowanie.

Mój dziadek wierzył w Boga,
chciał na tamtym świecie
pokazać swoje stopy,
podobne do nóg Zbawiciela,
i mu się udało.

NAPARSTEK

W Pradze,
w Złotej Uliczce,
wąziutkiej, zamkniętej, jak naparstek,
kupiłem naparstek
i ucieszyłem się,
jak dziecko.

Moja matka,
gdy byłem mały
zgubiła naparstek

i kazała mi go
szukać w sporyszu na podwórzu,
ale go nie znalazłem...

Pokazywała
pokłuty opuszek palca
w który zaszła czarna ziemia
i skarżyła się na mnie,
że nie znalazłem naparstka.

Mojej matki już nie ma
i mnie już prawie nie ma,
ale jest w mojej ręce naparstek,
gorący, pełen ciepła,
jakby go zdjęła przed chwilą z palca
moja matka.

Ona nigdy nie była w Pradze,
w Złotej Uliczce,
ale spoglądam w okna
cudzych domów,
tak jakby zaraz miała się
pokazać w jednym z nich
i powiedzieć:
„Nareszcie znalazłeś
mój naparstek, a mówiłeś,
że go nie ma!”

KOŃ JÓZEFA PONIATOWSKIEGO

Przyjechał Leonid Kuczma
do Warszawy,
i orkiestra przed pałacem prezydenckim zagrała
„Jeszcze nie umarła Ukraina”

A brązowy rycerz Poniatowski,
który dawno już się zatrzymał przed pałacem
i w żaden sposób nie może zeskoczyć z siodła,
pyta swojego brązowego konia:
– Co to za pieśń? Czyj to hymn grają?

A spiżowy koń odpowiada:
„To hymn Ukrainy, panie generale!”

A brązowy rycerz Poniatowski
dalej pyta:
„Skąd wiesz? Nie ma słów,
słyszałem tylko melodię!”

A brązowy koń odpowiada:
„Proszę spojrzeć, o tam między ambasadorami
stoi poseł Ukrainy. Średniego wzrostu, siwy.
Zawsze, kiedy koło nas przechodzi
zwraca się do mnie zrozumiałym językiem, –
przecież wszyscy moi przodkowie byli na służbie
ukraińskich Kozaków. Koniu – mówi –
czy nie znudziło ci się tak stać tutaj.
Zajrzyj kiedyś do mnie na aleję Szucha 7,
a rozczeszę ci brązową grzywę!
I śmieje się...
I śmieje...
A dziś, gdy tylko zagrali tę
pieśń, zapłakał...

STRZYŻYK

Zawiał wiatr od Dniepru
i wywiał ze mnie serce;
poleciało na Zachód
i upadło na gromadzkie pastwisko w Stopczatowie,
gdzie dzieckiem pasąłem krowę.
Jeśli nie wierzycie, wyjdźcie na Krusznyk,
popatrzcie, jak tam
w krzaku jałowca drży
maleńki ptaszek, strzyżyk,
koło swego gniazda, w którym
zanurzyłem kiedyś
dłonie...

A moje serce
żyć nie może
bez tego ptaszka, z którym
latało kiedyś
na wypródkach.

MARTWA NATURA Z TAROTEM

Na tacy – tort w kryształkach, chrust,
 Siedem placuszków i figa w ażurowej misie.
 Dziecięcym pismem: „Mucius Scaevola”
 I wykaz jeszcze nie spłaconych długów.

Za tortem nie zasłona, a organ
 Z żelatyny – długi mięsień bez mocy –
 Droge ozonu przez pory wymacuje,
 Co już – tylko patrzeć – z nadpękniętych płuc.

Woda w talerzu – rozciągająca się i naga –
 Sztorc – odsłania niewidzialną gałąź:
 Klepsydry, która, niby ciasto – z grobu,

Nad stosami rozłożonych cerat,
 Gdzie malachit – więzień – jeszcze zeszłego roku.
 Na tacy – tort – i ręka, która – jest tarotem.

MARTWA NATURA WYDŁUŻONA O LAGUNĘ

Wachlarz, ze skóry maska, narzutka
 I bukiet – ze wstążek – zeszłoroczny,
 Który wszedł w lustro i, jak narzeczony,
 W podwodnym, który – cały pleśnią – piórniki

Bez właściciela. Potomkowie zaszpanowali
 I po tej stronie szkła pozostał światła rzecznik,
 Który zgubił – cedulę od urzeczzeń.
 Rodzynkiem w zaułek sypnęli –

I od tęczy w garści – odziomki.
 I kanał szczęki, który – koronki złote,
 I gen – latarnia morska – wśród kałuży – ibis,

Który poszturchuje porcelanowy globus,
 Lecz kiedy indziej – z okna – przez niemotę
 Ślepych stuleci przestarzały motyw.

MARTWA NATURA PODRÓŻUJĄCA W CZASIE

Sól. Butelka jak ruchomy labirynt.
 Rozcięty bąk. Tynk, którego od remontu
 Kawały jeszcze na grubych foliantach
 I on – w gorczyczych plamach – cennik.

W nadbitej szklance ślimakiem – korund
Wszystkie odblaski rozłożył na elementy –
I – parametry – na wszystkie punkty oporu,
Aż sam sobie – podłużny konkurent,

Przecież światło – wszystkie kąty jak filoksera
I krtanie, które czekały na eliksir,
Z innych wymiarów – łyk fatalny –

Odblask fiołkowy i nieutulony,
Gdzie obraz rzeczywistości już w trzech czwartych spełził,
Aby świat – z nicości – pełził między dwoma stożkami.

RODZAJOWA MARTWA NATURA, KTÓRA PRZECHODZI W ŚWIATŁO

Ogon od śledzia, rzodkiewka i agat –
Z dna butelki – krowiooki i skrzydlaty.
Talia kart, porzucona przez łotrów,
I dwoje pleców w drzwiach, całkiem pochylonych.

Jeszcze łowiących chmurę w biegu,
Aby życie – jedynym monolitem,
Porzucony taborecik i – dalej – lutnia
I wazon – cynowy kołacz z hydr.

Dusza, co pragnęła miłości i ratunku,
Leży – zalepiona – woskiem w misie, –
Pozostał kubek z odbitym uszkiem –

Agat, co niedowcielił się w stonogę.
Sama – bez ciała – linia ręki,
Wiecznych szybkości i wymiarów rekord,

Gdzie światło, jak jedyna przerwa na papierosa.

MARTWA NATURA Z ODCHYLENIEM ETYCZNYM

Trzy karasie, cytryna i bęben,
I kogut, zamurowany w topazie.
Kuchenny nóż, widelec, kawałek pumeksu,
Gdzie oko zatrzymało się pstrokate.

Jak mysz, zakorkowano rubin
W przejrzystej pułapce, gdzie – nadaremnie – pozew.
Linieje czas (są szalki wczesne i późne).
Pietruszka jasna. Pasikoników tabun.

Z tasakiem po kuchni chodzi jesień.
Wyłuskuje z niestałej masy
Przejrzystość, niby cielecy szkielet.

W słoiki – upycha słońce
I – na półkach – przegląda towar.
Nie wzrok, a jezioro, oczyszczone z hańby.

MARTWA NATURA NA NOWO ZINTERPRETOWANA

Nie jabłko, a koła kwadratura.
Myśliwski róg. Myśliwski nóż i wiewiórka.
Ryba i pełen szparagów – koszyk.
W głębinach zatrzymały się motory.

I linia, gdzie dopiero co skłębił się rozkład,
Zwinęła się w jasny przejrzysty pęcherzyk –
Rozdarcie formy, gdzie ślepy rybak
W sieciach – wieczność – z nietrwalej materii.

Myśliwski nóż. Bażanty i – z boku – parawan,
Ta – widzialnego najciaśniejsza uprząż,
I jabłko, ozdoba tego, co minęło,

Przepowiadająca życie, które zmartwychwstanie,
I kwadraty, na których trąby pieczęć.
I chaos, dzieża, z której – szpunt –

Fundament ducha, który – jądrem rzeczy.

MARTWA NATURA METAFIZYCZNA

Karaśka, szklanka, gruszka i trzy morele
A za nimi – półzrujnowane budowle
Lecz horyzontem – pigwa efemeryda.
Jedyne serce – wszystkich rzeczy miara.

Już nie przedmioty, a smutku chorały, –
I po śmietance smutku – ledwie – bosa – radość.
Śmierć – tylko jak kombinezon przyrody,
Skąd wyrwano z mięsem serca kółko.

Włosy długie splata z żerdzi,
Zmiatając i pamięć, i pożądanie.
Ze świata tylko – ze szczeciny – chustka.

Rozmyto rzeczywistość, pod nogą – grząsko.
W jaguarowych przedświtach furman
Niewidzialnego węzeł rozwiązał.

MARTWA NATURA W JEDNOPLASZCZYZNOWO-HISTORYCZNYM ROZCIĘCIU

Pokrojony w kromki biały chleb.
Pigwa i wino w szklance niedopite.
W meandrach dzbanek. Łańcuch od roweru,
Jakim – Dawid, co Goliata – w łeb.

Czerwień stoczyła przedwczesny ślub.
Rozkradli skarb potomkowie konopni.
Jak się przedestyluje to, co dotąd – tajemnie,
I w rowek – niedoskonałe i złe.

W nowe hybrydy – światło, przestrzeń, wody,
Jedyne serce, jeszcze jaskiniowy świadek,
Który rurką miał – w ogień – natychmiast,

Nitki z kłębka – za wiatrem – elegijne.
Nie krawędź stołu, a odległe zboczne.
Cztery strony świata i osad.

DOMOWE WNĘTRZE, ROZCIĘTE NA DWIE NIERÓWNE POŁOWY

Sprężynę – z przedmiotów – zabawkarz –
I – z szuflady, jak język, czerwone pole
Po podłodze – na skos – aż do wiader.
Cylindry ścian. Z wodnistych skór.

Jak wachlarz z naostrzonych siekier,
Który toruje łatwo przydrożny rów,
Znak równości, który wieczność – i wiadra,
Paluszki czasu. Biała karpia wiru.

Wypełniają się treścią sprężyny.
Cały byt zmieścił się w jednej pięści –
Proces przechodnich inkubacji,

Ślepe i nieme pozostawiając na boku,
Jak piramidy radosne i smutne,
Śmierć-zabawkarz już drzwi w palcach mnie.

BUKIET W PODWÓJNYM ROZCIĘCIU

Z linii, stożków i elips – bukiet, –
Kwiatostan, jak zapalony papieros.
Nie jądro – dzwon, który – koła zgorzkniałe.
I tęcza na pieluszcze, jak moskit.

Małe przelało się w większy kadr.
W warstwach, zalanych przez lustra – hurkot –
Płaszczyzny inne, jak zapadliny w górach. –
Zmienił się oka i istnienia kąt.

Z mułu – trąbami – wyciągnięte po lustrze, –
W istnienie – wejście, które – pylników palestrę,
Żeby z komórek, którym – liczba zbrzydła,

Nowego wcielenia różowe prześcieradła,
Gdzie już – na przejściach – pangolin –
Najniewypowiedzianszego – śródgzymsowy łąn.

KUCHENNA MARTWA NATURA Z PIWONIAMI

Trzy przepiórki, dwa leszcze i kapłon
I piwonie w dzbanku, który – między nimi.
Ował wygięli i – precz – jak arkusz, – niemoc,
Że w naczyniach włoskowatych – gazowe siedlisko.

Pierozek jak smarki z nosa,
Lecz z boku, gdzie – przechodnie zjawisko, –
Pęczek marchwi – w pięć strumieni między głazami,
Uszczelniony w kwadratach i rombach płyn,

Co jeszcze dotąd formę pierwotną kombinuje
I – niby w stępie, – po jednym – banknoty. –
Każdy listek – i bieguny i równik,

I kąt, pod którym rozkwitły piwonie,
I ryba, która powoli na mikę. –
Miedza, gdzie tylko po jednej stronie ślady

I gdzie świat, jak piana w kuflu, osiada.

WIERSZ DO KTÓREGO TYTYŁU NIE WYMYŚLISZ

Na szybkim taśmociągu
oddalaś mi się
w biały dzień w sobotę.

I wytrzeszczył na nas gały
Donbas cały,
Donbas cały,
wstrzymawszy robotę.

Donieck, 1964

DATA

Jedna tylko data w pamięci mi została –
ten dzień, gdy po raz pierwszy żołnierzowi dałaś.

Płyśkiw, 1969

GÓRA KRZYŻOWA

Na górze Krzyżowej Turczynkę zobaczyłem
i poczułem, jak gdzieś w środku budzi się lew.
Soczysta czereśnia dłoń jej zakrwawiła
i kora się odłupiała ze wstydliwych drzew.
Do Turka się wprosić i w gościnę lecieć,
bryndzy kupię, fasoli strączek i ogórka.
Nie zobaczę córki, przy toaście trzecim
tę konspirację niechaj wybaczy mi córka.
Ona kocha meduzy, ja się w Lorce Kocham.
Różnimy się wzrostem i różnych bogów mamy.
Lecz natychmiast znika dwóch istot dysproporcja,
gdy do rąk ręce, a nogi do nóg przykładamy.
Na jej miłość otworzę się jak okno, wpuszczę
ją i powieję nad nami wiatry młode.
Boże, podaruj noc, ja w Niej się rozpuszczę,
jak kryształ cukru topi się w gorącej wodzie.
Bo u Księcia Życia – jesteśmy tylko warstewką lakieru,
zblakniemy i zgaśniemy jak wieczorne zorze.
Innowiercy mnie pochowają, jak Turka pogrzebią,
na górze Krzyżowej, na górze Krzyżowej.

Jalta, willa Richelieu, 5. 6. 93

DOŚWIADCZENIE

Chodzą nasze wiersze po Londynie i Pradze.
W Kijowie nas już zapisali między wrogi.
Poświęciliby i wierszom szczególną uwagę,
gdybyśmy nie mieli bodaj po pół nogi.
Nagle jasność nad tobą wybucha niespodzianie –
i ozonu zapach rozlewa się aż!
Lecz redaktor powie: „Niedobrze to pachnie...”
Konsultant go wesprze: „Doświadczenia brak...”
Ile byś nie siedział nad wersami z rana
i tak usłyszysz: „Ty nam nie rodzina”.
Bo grosza nie warta twa praca wytrwała,
gdy w lochu jednego dnia nie przepędziłeś.
Chcesz, by krytycy twe wiersze chwalili,
to owiń się jakąś starą płachtą
i krzycz z trybuny: „Gdzieśmy się zbudzili?”
I wołaj głośno: „Idziemy dziś na dno!”
Nie mów: „solone w muzyce osły”.
Głowy nad pieśnią nie łam o Wenecji.
Dbaj by złamali ci szczękę na wiecu,
by cię lekarze do historii wnieśli.
Gdy do stolicy idziesz ze swej wioski –
stań w progu, żeby jeszcze raz rozważyć,
czy masz w portfelu potrzebne wonności
i czy twój bagaż ile trzeba waży?...

Oster 19.12. 92

RUCH DO PRZODU

Z kłosem skradzionego żyta
nie jeden raz, narodzie, drżałeś.
Włodzimierz, Łazar i Nikita
wszyscy życzyli ci wspaniale.
Do przodu nieśli cię nogami
bo ruch do przodu wszak przyrzekli.
Jako wrogowie umierali,
co do Kanady nie uciekli.
Kto nie był w krymskiej zaś niewoli,
ten był w kołchozie... Co ja mówię?
W spodenkach jakby na stadionie,
już biegam w kółko lato siódme.
I nikt nie gwizdże już, nie słyszę,

by czyjaś ręka brawo biła.
I sam już nie wiem, dokąd jeszcze
mnie poprowadzi wyższa siła?
Śmierć chodzi po poleskich łąkach.
Chodzi po biurach urzędników wielu.
Gdy nieść ich będziemy nogami do przodu,
drzwi szerzej otwórz, przyjacielu!

ŚPIEWAK, PRZYPISANY DO ŻONY

*Życie wisi na poruszonym kawałku drutu,
nastąpisz – i, może, niebo runie*

Petro Perebyjniś

Ciągną gaz w czarnobylskiej zonie.
Mówią, długo jeszcze będą ciągnąć.
Wraz z postępem, tak jak bizony,
my kopyta też mamy wyciągnąć.
Śmierć głodowa nie grozi nam tutaj,
karcze jeszcze nie przygniotły wszystkich.
Bo nam tu od nieczystego ducha
przysyłają stale prowiant czysty.
Za żółtymi mgłami, gdy się sący
świt, po Dnieprze płyną flisacy.
Kto wie, może to nasi obrońcy
transportują do zony swe chaty?
Zwyciężywszy w figlach z jedyną,
samogonu czerpakiem nabieram.
Jako człowiek się urodziłem,
jako żołnierz, niestety, umieram.
Będę śpiewał w chórze z owadami
w sadzie, w którym kwiat już opadł z drzew.
Niech towarzysz gdzieś tam za szachami
uroczysty mój usłyszy śpiew.
Mówią, do mnie on też na wideo
się uśmiechnął po pańsku odziany.
Nic to: z Rzymu także Owidiusza
właściciele niewolników wygnali.
Jednak jego przepisanej Łady
mimo wszystko rzeka nie zmieliła,
kaprał wygna nas ze stolicy,
lecz z pamięci nie zdoła nas wygnać.
Ścichły gromy ponad stolicami.
Konstatuje naród: oto oni.
A gdzie tamci, ze złotymi naszywkami,

którzy o nas napisali tomy?
... Opuścili zagajnik nadbrzeżny
i nikogo ten gaz już nie wzrusza.
I uleci w światy niezależne
niezależna śpiewaka dusza.

Oster, 23.12.92

NA BARYKADY!

Jam w niewoli, miła, jam w niewoli.
Gdzieś na Ingul twoje oczy wabią.
Już za Morze Czarne mi w dłonie
Nie wlepi partia wagarów.

Dmuchany materac – to barykady,
Gdzie nie ma klasowego tarcia.
W tobie następnej dekady
Odszukam punkt oparcia.

Odbędziemy w objęciach naradę.
Racjonalne ziarno w tym jest.
Ty nad kilem obejmiesz władzę,
Ja z nadzieją chwycę za ster.

Jakie szczęście wśród dni powszednich
Tak we dwoje w objęciach płynąć.
Zapytajcie kabinowych zbłąkańców,
Po co oni na tym świecie żyją?

Nie biegnę zatwierdzać planu?
Co po planach mi i programach,
Gdy w twym szczęściu jestem zakochany,
Niby Petro Masocha w stu gramach.

Na Kinburni, droga, na Kinburni
Pocznę w tobie coś bardzo wielkiego.
Boże, jacyż ci ojcowie durni,
Że na zmianę nocną się spieszą!

Pod czerwoną flagą maszeruje,
Kto od dawna ma już oko na nas.
A mnie do czego innego prowokuje
Bez niebieski za domem, kochana.

Ja na twojej, kochana, wiatrze
Spłonę bardziej niżeli w pożodze.
W teatrze na lody popatrzę.
– Chcesz?
No jasne – ty mi odpowiedz.

05.06.95

ŻYCIE W BAGNIE ALBO IMPERATOR W KUJALNIKU

Znowu idę, Swietlano, na borowinę,
Jak wieprz sobie w borowinie poleżę.
To w każdym razie ciekawsze,
Niż na Łuku Kurskim gdzieś leżeć.

Sam imperator z tych kałuż
Korzystał, przekazy są o tym.
Jak jego nadworny pisarz
Pościelę sobie w błocie.

Podolaka niesie walizy,
Przybywają łuckie pany,
Wszędzie leżą obywatele
W borowinie, niby kabany.

Nie wierzę już astronomowi,
Że istnieją światy bez chorób.
W bagnie zbawiennym poleciał
Rolnik stary na studentkę młodą.

By posłuchać lumpowskiej nuty
Po co jechać aż do Nadymu?
Niejedną dla całej rotty
Za młodu sprowadziłem.

Teraz pielęgniarek słuchać muszę.
Och, te siostry. Te siostry i miód.
Ogrzewa borowina duszę
Jak popatrzę za siebie i wprzód.

Marksowi i marksistowskiej nauce wdzięczny,
Po gromnicy im wielkiej funduję,
Bo przyszłość społecznemu zwierzęciu
Analiza moczu tu dyktuje.

Lekarz dziwne wywodzi oracje,
O bogatym białku gada ciągle,
Mówiliśmy kiedyś o bogactwie,
Obrywając listki z gałązek...

Na manciulki pójde z cudzoziemką,
Zapomniawszy matki przestrogi.
Obleję się zimną wodą:
Ona dobrze na nerwy robi.

Przemyję wodą każdą kieszeń.
Och, mieć owe południowe słońca!
Z Niecierdą się przejdę po Odessie
I w Karpaty wpadnę do Skuńca.

To poeta, lecz także orator,
Ulubieniec wierchowieńskich róż.
Opowie, jak to pewien imperator
Do kujalnickich jeździł wód.

25.07.95

OSTER, SPACER PO BAZARZE

Spodnie przypiąwszy na szelkach
na bazar sobie ruszam.
Sprzedaje płucka i żeberka
niekiepska z Kozar dupa.

Zadowolony ze szkapy
zagląda pod ogon Cygan.
Na bazarze wraz z diakiem
wyższego sensu przybywa.

Facet harmonię trzyma,
parszywe jakieś ma basy.
Ciotka diakowi łamie
na pół pęto kielbasy.

Młody kramarczyk bosą
obuwa nogę na desce.
Słysząc krzyk – Sześć ton mazutu!
Kto weźmie, spuszczyć jeszcze!

Kobiety jak pod sznurek
do długiej kolejki się garną.
Jaja najlepszego gatunku
rozdaje chłop za darmo.

A ja mam żonę i dzieci,
wszystkom od ZeteS – eReR dostał.
Będę z żoną się cieszyć,
że Naser bohaterem został.

SKŁADANIE IKRY

Z nieba ciepłem wionęło na świat,
Radość zmian wszędzie to rodzi.
Chłop barczysty w ruskiej siermiędze
Z deską w dłoni po rzece chodzi.

Kropla rosy Wielkanoc odbija,
Kogut gamy durowej próbuje.
I świątecznie płonie wzrok Rusina
Gdy się w bystrą wodę wpatruje.

Przeżegnał lewą nogą
Niemal niczyje te strumienie.
Płyną samce pod prąd
Na tarło, gnane pragnieniem.

„Męskość swoją potwierdzam w tej wodzie” –
Cieszy się szczerą rybia dusza.
Choć rybiego plemienia połowie
Już się z matni wydostać nie uda.

W pianie życie rodzi się nowe,
Lecz wciąż ryby po staremu myślą.
Nie brałyby deską po głowie,
Gdyby kiedyś straciły naiwność.

Wsiadam do kolejki, gdzie w najlepsze
Grają w karty nieuki i spece.
Jeszcze chwila – i nie ma potoku,
Ani Rusina z deską w ręce.

Gołubyne, 27.04.95

MARZENIA NA NOSZACH

W zoo wpadłem w oko żyrafie.
Siwizna, siwizna, siwizna...
Pod nogami moja biografia,
jak kieliszek rozlanego wina.
Kiedy senność przełamie mój opór,
to mi czasem śni się coś takiego,
że samolot wprowadzam w korkociąg,
potem w górę znów wychodzę z niego.
Do Ameryki nie polecę teraz,
teraz nie ma czasu na rozjazdy.
Drugi rok audycji o bogatych
w telewizji słucham jak każdy.
Pamiętam: leci przekaz
z przekazania w KC portfeli,
a ma dusza uparta, próżniacza
czeka na to w piwnicznej celi...
Ileż więzień odwiedziła matka,
ile wody wypilem słonej.
Na noszach mnie niby Czernienkę
ponieśli w szeregi związkowe.

Jajta, 4.6.93 willa Richelieu

TEATR MARIONETEK

1

Nasza potężna cywilizacja, która doskonale potrafi grać w karty i tańczyć najnowocześniejsze tańce.

Nasza potężna cywilizacja, która uważa się za odkarmioną intelektualnie krowę, ponieważ udaje się jej na pierwszy rzut oka odróżnić obrazy Picassa od płócien Rembrandta van Rijen.

Nasza potężna cywilizacja, która jest bezgranicznie szczęśliwa z powodu automatu do sprzedaży guzików, dziwnego długopisu, który w razie potrzeby może otworzyć butelkę, bomby wodorowej o sile n megaton, dwudziestopięciodocinkowego modnego serialu kryminalnego i świeżego dowcipu z serii „Radio Erewan odpowiada”.

Ach, ta bezgranicznie szczęśliwa cywilizacja! Która mimo wszystko nie zapomina, że jest najwyższym przejawem wszechświatowego postępu i rusza się.

Tak, właśnie się rusza!

Piesz. Samochodem. Katafalkiem. Tramwajem. I która, ruszając się, zdąży:

wpaść do piwiarni,

pólgłosem skrytykować za plecami swego kierownika,

zrobić awanturę żonie,

rozwiązać dwie-trzy krzyżówki...

Słyszycie?!

Ona się rusza!!!

SŁYSZYCIE?!!

Wiruje świat i krąży widzenia.

Śmieje się świat, płacze i chichocze.

Trwa spektakl bez chwili wytchnienia,

Jeśli się dzieli, to na dnie i noce.

Kręci się świat. Milczy, gdy trzeba krzyknąć.

I niemal co dzień prawda w kłamstwie ginie.

Czyż ja mam także wpaść w nie i zniknąć

Bezboleśnie, na oślep, bezwstydnie?

Wpaść gdzie szaleństwo to jedyny pasterz

I pasie państwa, dusze i słowa.

Boże, nie pozwól mi upaść na zawsze,

Już nogi w górze, a w dół leci głowa.

Już i dni moje i noce bolące.

Boże, uratuj, ochroń mnie od owych

Swoje fałszywe „tak” odmieniających,

I od tych, co w usta swe nabrali wody.

I od tych, co za łgarstwa w klasztorach zamknęci,
I od tych, co po obu naraz stoją stronach,
I od idoli starych i od nowych świętych
I od pustosłowa, Boże, mnie zachowaj.

Zaćmiła głowy tępe lakieromania –
Pokadzą i czekają, co im dadzą.
I duszę każdy z nich jak ubranie
Przeszywa modnie „pod władzę”.

Spójrz! Wszędzie wokół języki
Jawnie-niejawnie, striptease tańczące!
I parad, maskarad, łez widma dzikie
Przez ziemię toczą się bez końca.

I każdej chwili ten czas niedaleki,
Kiedy to pustka na cały świat czeka.
Jak mam żyć, będąc jeszcze człowiekiem,
Jak mam od siebie nie uciekać?

Już i dni moje, i noce bolące!
Boże, uratuj, ochroń mnie od owych
Swoje fałszywe „tak” odmieniających
I od tych, co w usta swe nabrali wody...

... O, boże mój, dokąd mi iść? Dokąd?...

2

Gorącego lipcowego dnia biegnę miejską ulicą, uciekam od siebie, uciekam od słów strasznych, jakimi muszę o codziennej ucieczce mówić.

A ulica cała – nieustająca ucieczka. Bo będzie deszcz, bo się chmurzy. A ta ulica – nieustająca ucieczka. I wszyscy biegna... Czy tylko przed deszczem?

Jeden ucieka od siebie dzisiejszego, a drugi dogania siebie wczorajszego, i wciąż uciekają-przyspieszają...

Ktoś od siebie, ktoś do siebie, ktoś od kogoś, ktoś do kogoś, ktoś ani od kogoś ani do nikogo. I wszyscy razem uciekają przed deszczem...

Tak co dzień: w bieganinie, w kołowrocie czasu

ludzie uciekają od siebie i do siebie,
uciekają do książek, do żon, do obrazów,
uciekają pod wodę, na niebo, pod ziemię,
uciekają w miłość, w nienawiść, do kina,
w karty, w lotto, w domino, w bilard,
w sałaty, w barszcze, w kotlety i w torty,

w kaszkiety, w mankiety, w komody i szorty;
od diabła do boga,
od boga do diabła,
z nocy do nocy
od świtu w świt,
uciekają w milczenie, uciekają w krzyk,
uciekają w bezsenność, w prognozy, w czekanie,
w śmiech uciekają, we łzy i wzdychanie...
Uciekają pod gzymsy i pod pagony,
pod łóżka, do schronów, uciekają w prawo.
Nie wiadomo, uciekasz, czy gonisz,
i do których się świętych obrazów
pójść pomodlić i pójść pokajać,
którym bluźnić otwarcie lub skrycie?
... Czy tych, co nie uciekają,
już nie ma? I ucieczka to życie?
Czy cały sens w bezładnej bieganinie?
Czy ona wszystkiego jest głową?
Czy jakiś najwyższy Paganini
gra na skrzypcach świata exodus?

I co dzień w bieganinie, w kołowrocie czasu
ludzie uciekają od siebie i do siebie,
uciekają do książek, do żon, do obrazów,
uciekają pod wodę, na niebo, pod ziemię,
uciekają do lasu, na Marsa, w mrok, w ciemność,
bo chcą być ludźmi lub ludźmi być nie chcą.
Uciekają w ofiarę, w złość, w czyn bezrozumny.
Do domu.
Na Krym.

Na kawę.

Do trumny.

3

Same ucieczki. Pęd pogoni i ucieczek.
A potem do świata, od kart i od wyrzeczeń,
od piwa, z meczu, z trumny, z kina.
Wracają, jakby nie widząc co wina,
wracają do świata, choć wybacz pod nosem.
A świat nie ma dokąd uciec.
A świat – goły!
A świat – bosy!

Tyrady.
Dekrety.
Przemowy.
Donosy.

Tańce.
Rakiety.
Parady.
Kastety.

Handlarze.
Szpiedzy.
Generałowie.
Esteci.

Jazzbandy.
Mecze.
Kosmosy.
Narody.

Bogi.
Półbogi.
Związki za-
wodowe!

Osoby.
Persony.
Gwiazdy filmowe.

Golgoty.
Oświęcimie.
Sołowki.

Dacze.
Sobory.
Ruble.
Mozoły.

Władcy na niebie.
I
na ziemi.

Forsa.
Trucizny.
Wina.
Święty olej.

Egipskie groby
i
karambole.

Rogi i nimby.
Lochy i kraty.
Idole.
Plotki.
Auto i armaty.

Kodeksy karne.
A także – moralne.
Nowoczesne kajdany
z kartami do gry.

I

bezkręgosłupa
pyszna
elita –
to wszystko dla świata
dla jasnego świtu!

Dla świata – tyrady!
Dla świata – donosy!
A świat jest – nagi!
A świat jest – bosy!

4

Dyktatorzy, dyktatorzy, dyktatorzy –
wiśta-hetta – wielcy poganiacze.
Dyktatorzy, dyktatorzy, dyktatorzy
co dzień siebie dyktują światu.

Jeden pada, następni się rodzą!
Ilu takich w nasz Dniepr popłuwał!
I wychwala świat władzę swoją,
i swe dobro do stóp jej podsuwa.

...Wszystko podyktowano i wszystko przefarbowano
i ustalono należyte ceny:
za sumienie i myśl – skatowano!
Za służalstwo – przypięto ordery!

Wszystko podyktowano i wszystko przeфарbowano
i myśleć – prawem zabroniono!
Musztrowano i wymusztrowano,
i w roboty ludzi zmieniono.

...A ten przeklęty myślący gatunek
co do nogi najlepiej wytrzebić!
Tylu wrogów było w narodzie,
że był naród cały wrogiem siebie.

5

A świat – to teatr marionetek.

Mówię z goryczą: ten świat to teatr marionetek. I być może, to co najważniejsze – to zostać w nim sobą, od pierwszych dni swoich i do ostatnich nie być ani aktorem, ani suflerem, ani pacynką na obłudnych palcach, a tylko sobą każdej godziny, a tylko sobą każdej minuty, z twarzą otwartą twardo iść na śmierć...

Wiecie, czego się jeszcze boję? Od atomowych lęków boję się bardziej, boję się, że ktoś z innej planety napisze gdzieś w swym dzienniku: „Planetę tę nazywają tu Ziemią. A zamieszkuje ją mnóstwo chodzących żołądków – pijących i żujących, które tylko żują, tylko jedzą. Tylko jedzą i żują – i nic poza tym. Jedzą budynie, kotlety, nuty, wiersze, jedzą prawdy, jedzą całe narody, i jedzą jedni drugich i samych siebie...”

Wiecie, czego jeszcze się boję? Od atomowych strachów boję się bardziej
Boję się tego „jedzą i żują”!

... Gdy wieczór ziemię ogarnął sinością,
gdy gwiazdy w niebo zjechały na wiece,
do mego domu cicho wpadł w gości
pewien znajomy spokojny człowieczek.

– Cześć, przyjacielu, jak tam ci się żyje?
Podobno sławnym zostałeś pisarzem? –
... Złośliwy uśmiech, niby koło krzywe
Przejechał mu po dobroliwej twarzy.

– Słyszałem, że się często pchasz na rożen
w imię, przepraszam, jakichś „prawd”, a o tym
jakbyś zapomniiał, co mówi przypowieść:
„Szczęśliwy wtedy je, gdy ma ochotę”.

Co cię obchodzi ciężar czyichś rąk?
Co cię obchodzi zamieć duszy czyjejś?
Na co ci to, co za zasięgiem rąk,
i to, co jest od głowy twojej wyżej?

... Plółł jeszcze długo te zwodnicze słowa,
co zawisały szarą pajęczyną.
Kręciła się ta płyta, co nie nowa,
aż mi się wreszcie skończyła cierpliwość.

Co cię obchodzi ciężar czyichś mąk?
Za bardzo mądrzy i dumniście wszyscy...
I chociaż był poza zasięgiem rąk,
to mimo wszystko dałem mu po pysku!

Zaczął się spieszyć i wyszedł nareszcie...
I już zza drzwi, z mroku, z nocy potem
z pogroźką w głosie szepnął do mnie jeszcze:
– Szczęśliwy, kto je, kiedy ma ochotę!

6

A noc przed nami i za nami...
Idziemy. Dokąd? Wie to kto?
...Paradoksalny defilady
sens i miast prawdy – półprawd sto.

Żeby półtorej... Tak ich wiele
tych na pół żywych półprawd-kalek.
A żwawy rozum, choć niewiele
wie, co dnia nowe płodzi. Stale

unowocześnia, doskonali
półprawdy te, jak limuzyny...
Jedna się nie zużyła wcale –
a jest już w zamian dziesięć innych!

Wtedy osłabłej mówią: „Dosyć!”
i nową wiodą w miejsce starej,
umalowaną wedle mody –
i spróbuj takiej nie dać wiary!

... I o co krzyk? I o co hałas?
Czego do licha wszystkim trzeba?!
Bogowie nadal są bogami,
Nawet gdy na dół zejda z nieba!

Kim my jesteśmy? Co się zdarzy?
Dokąd idziemy? W przód? Po śladach?
A co jak jutro dinozaury
napotka nasza defilada?

Wtedy wybuchnie burza przekleństw,
zwątpienia, skruchy, żalu, złości:
– Osiągnęliśmy mezozoik,
miast do świetlanej dojść przyszłości!

Wtedy, gdy nasza cywilizacja spała i śniła szczęśliwe sny o aucie, które jej się należy, o dacy, która jej się należy i o gwieździe, która tymczasem jej się nie należy (we śnie żałowała, że nie można każdej gwiazdy z osobna ogrodzić parkanem i przywiązać koło niej psa, żeby jej pilnował), więc wtedy, gdy ona spała, wydałem na nią wyrok.

Cywilizacja nie widziała tego w swym szczęśliwym śnie. Dopiero rano przeczytała w gazecie, że ją znieważam i sformułowała przy okazji kilka interesujących myśli:

a/ „Swoją dację zbudowałem własnymi rękami i za uczciwie zarobione pieniądze”

b/ „Gdzie nauczyciele mieli oczy, kiedy ten to autor chodził jeszcze do szkoły?”

c/ „Rozumiem, że to może tak właśnie jest. Ale żeby ni stąd ni zowąd wobec całego świata to ujawniać, to trzeba być wielkim dziwakiem albo szaleńcem”.

A potem cywilizacja wzięła mój poemat i długo chrzęściły w jej wszystkożernych zębiskach epitety i metafory, długo obrażała się i żuła, żuła, żuła, póki nie zjadła wszystkiego do ostatniej kropki.

I poszła, szczęśliwie pobekując,
zapić go
piwem.

1968

SZUKANIE WSPÓŁWINNEGO

zobaczył dzisiaj w swoim oku
wczorajszą łzę

zobaczył nazajutrz w swoim oku
wczorajszą łzę

kolejnego dnia w swoim oku znów zobaczył
wczorajszą łzę i zrozumiał
że już nigdy nie zdoła jej wypłakać
i zrozumiał że to już
koniec

WTEDY

oblicze wieczornej drogi całował podeszwami
aż do urwiska ciszy długo i w męce
zdejmował z siebie ostatnią frazę nerwowo
rozpinając guziki słów długo bał się
spojrzeć na swoje odbicie w nucie re
a gdy popatrzył nie ujrzał tam nikogo

WTEDY

wyrosło w dzwonie drzewo przerażenia

WTEDY

ogromne i rozłupało dzwon
i rozłupało dzwonnice drzewo przerażenia
i posadziło sobie na barkach całą zgraję gawronów

to drzewo
zgięło się bardzo długo
a kiedy jednak się zgięło
wszyscy zobaczyli

JAK

po spazmatycznie zastygłej linii
toczy się czarne jabłko
czarne jabłko się toczy
zatrzymuje się pośród pola
i przybywa dusza samobójcy
na siwym koniku dymu
żeby dla tego samobójstwa
znaleźć współwinnego
i staje po tamtej stronie jabłka jej sobowtór
na zielonym glinianym koniku
i opowiada mu dusza swoje przewiny
a sobowtór po tamtej stronie czarnego jabłka
wypowiada swoje usprawiedliwienia

a potem mówi duszy sobowtór
również o swoich przewinach

i słowo w słowo powtarza dusza
te jego usprawiedliwienia

a gdy sobowtór rozgniewawszy się
zacznie się potrajać
to dusza schowa się za nóż

a kiedy poczworzy się sobowtór
to dusza schowa się za świeczkę

i schowa się dusza za ziarenko maku
kiedy podziesiętni się sobowtór
a przestrach wszystkich wzywa by chodzili na ślepo
błąkali się w natchnieniu między trzema drogowskazami
bo już pasie-popasa swojego zielonego konika
po tamtej stronie jabłka
tysiąc sobowtórów
PO TAMTEJ STRONIE JABŁKA TYSIĄC SOBOWTÓRÓW

a schować się nie ma gdzie
nie to nie ja nie ja
może to kwiat
nie to nie ja
konik zielony
nie to nie ja

TYSIĄC SOBOWTÓRÓW

a co jeśli to naprawdę kwiat daleki kwiat
który od trzystu już lat przestraszony pogłoskami
o inkwizycji
pali się z trzaskiem na progu domu

może to on zobaczył w nim inkwizytora
i dlatego przywiódł go do samobójstwa

to jego osiem płatków
jak osiem twarzy
mu się przywidziało

to jego zapach cicho przebiegł
nad brzęczącą taflą okna
a on zobaczył w akwarium swojej wczorajszej lzy
złotą rybkę która się dusi

a dookoła nie było żadnej rzeki
żadnego morza jeziora lub strumyka
nie było dookoła
tylko nieporadna wyobraźnia otoczyła siebie
bezmiar naciągawszy na każdą z ośmiu twarzy
otoczyła i zatoczyła się
zatoczyła i upadła
i już nie wstała i nie przyszła
nie zapytała która godzina
nie zapytała dlaczego otworzyły się drzwi
nie zapytała gdzie pochowano rybkę
na słońcu czy na księżycu
i czy nie bardzo strasznie kiedy inkwizycja

kiedy nie można zapomnieć twarzy
i kiedy nie można przypomnieć głosu
kiedy bardzo długo nikt nie przychodzi
a potem mimo wszystko przychodzi ona
z bardzo współwinnym ciałem
z bardzo współwinnymi ustami
i niby to daleki wiatr
woła sobie

a echo odpowiada i nazywa ją
kobietą

i niby to bliźniutkiego ptaka
ona sobie woła

a echo odpowiada i nazywa ją
samotnością

niby to samotną kobietę
woła sobie

I PRZYCHODZI WTEDY ON

i popełnia samobójstwo

tam

gdzie zachód jest stroną świtu

tam

gdzie trawa jest sen-trawą

tam

gdzie dziś jest wszystkimi na świecie

dniami znaczącymi i zwyczajnymi

tam

brzeg samotności nazbyt biały

noc nazbyt mijająca a droga

płynie bez jednego plusku

I DOKĄDKOLWIEK BY PÓJŚĆ

znaczy to rozminąć się

rozminąć się z ciałem swoim

rozminąć się z dziećmi swoimi

a potem z wszystkimi na świecie nocami

a potem z krzyżem

na własnej mogile

a wszystko tak zwyczajnie jak mijają się

na ulicy nieznajomi przechodnie

jak rozmija się ręka z bezmiarem

deszczowych kropli

A ZOSTAĆ TU

to znaczy być współwinną

a nawet urodzić
pierwszy gest nie jest tu iluzją
a samą współwiną
nawet jeśli tylko słuchać
jak piasek rozmawia w dłoniach
nawet szeptem jeśli tylko
zajrzeć chlorofilowi w
zielone oczy
nawet
biały motyl lilii
na wodzie
nawet
koła na niebieskiej wodzie
szybko mijające zielone koła
nawet wtedy
nawet wtedy
kiedy nikogo
nigdzie
nigdy

a co jeśli naprawdę nagle nigdzie
a co jeśli naprawdę nagle nikogo
a co jeśli naprawdę nagle nigdy
i tylko my
snujemy się podkreśleni
bardziej niż wszystko na świecie
przestraszeni własnym nieistnieniem

wierzmy że mimo wszystko ktoś
wierzmy że mimo wszystko gdzieś
i nasze ciało i nasze dusze
i żeby tak dzisiaj

ZOBACZCIE

to otworzyły się drzwi które naprawdę są
to przyszedł ktoś z nas i mówi że on
widział dziś rzeczy poza widzialnymi rzeczami
i że zaraz zobaczy ciało poza naszym
widzialnym ciałem i że my bardzo dowcipnie gramy żywych
ale ściana gra ścianę jeszcze dowcipniej niż my –
i tysiąc widzialnych tygrysów mniej nas lęka
niż jedna niewidzialna gwiazda choć ona sama
nam nie wystarcza daleko z przodu by do niej iść
choć ona sama nam nie wystarcza daleko z tyłu
by do niej powrócić

co chwila ktoś z nas biegnie upewnić się czy jest
jeszcze ściana a wtedy już wszyscy razem biegniemy do
swojej ściany i gorliwie malujemy jakąkolwiek
z widzialnych gwiazd i jeszcze malujemy drogę do niej koło
wielkiego białego mrowiska przez dziewięć skrzypiec
po widnokręgu a potem dalej po ścieżce błyskawicy

a zakończywszy spieszmy przestrzeń między swoimi
ścianami zapełnić po brzegi budynkami trawą sobą
kamieniami wodą kurami żeby tam nie osiedlił się
ktoś niewidzialny ktoś nie taki jak my

A JUŻ PRZEKLEŃSTWO

poza okolicę ust wypchnięto siłą
i mocno zaciśnięto zęby żeby on
nie mógł wrócić i zamknięto w czarnym
futerale strunę żeby nie wzywała go do domu

jego

nauczonego udawać

statek

wodę

glinę

rajskie jabłko

i sikorkę

jego

nauczonego udawać wszystko naraz

i każde z osobna i uprawnionego

by badać współwinnego samobójstwa

który jest pod jakimś drzewem

który jest przy jakichś drzwiach

który jest nad jakimś oknem

JEST

ALE TAM DOKĄD PRZYJDZIE PRZEKLEŃSTWO

tylko bardzo długie równoległe uśmieški

tylko maleńki papierowy kwiatek

tylko wielka dziecinna strzelba

TAM

brzegi nie biegną na spotkanie uciekającej wody

i brwi nie biegną na spotkanie uciekającym oczom

i droga płynie przez okno aż do ikony i dym

nad pogorzelskiem stoi

TAM

TAM
PRZYSZEDŁSZY
PRZEKLEŃSTWO
USŁYSZY

ty przeklęte przekleństwo
ale my nie uszy
ty przeklęte drzewo
ale my nie liść
ty przeklęty statek
ale my nie przystań
i nasze równoległe uśmieszki
nigdy się nie zmieniają
w srogi grymas
zbyt jesteśmy dobrzy
i tobie pozostaje
tylko upaść martwo
w poprzek naszych nie kończących się
równoległych uśmieszków
nawet jeśli ty statek
nawet jeśli ty liść

NAWET JEŚLI ON SAM
przyjdzie tu to siebie tam nie zobaczy
i zdziwi się i zawoła

dlaczego mnie tu nie ma
przecież pamiętam dobrze
że właśnie tu miałem być JA

I WYJDZIE WTEDY Z DOMU TEGO
ktoś jeden bardzo dobry
i jeszcze ktoś od niego lepszy
i jeszcze ktoś taki całkiem najlepszy
i po trzykroć na czerwonym katafalku
na koleczkach śmiechu
obwiozą dookoła tego co przyszedł
jego już takie umarłe przekleństwo
aby uwierzył że jego samego
nie ma nigdzie
ale nie uwierzy
wtedy dziewięć razy
przeprowadzą dookoła niego
sivego konika dymu
na którym od dawna już nie jeździ
jeździec jego duszy

ale on nie uwierzy
i przyjdzie jego ciało
i będzie szukać własnych śladów
i będzie zmieszane biegać
wokół domu
i zechce go zrujnować
nie znalazłszy żadnego wspomnienia o sobie
zechce złapać ptaka
i wyskubać mu pióra

ale rozminie się ciało z domem
ale rozminie się ciało z ptakiem
i będzie bezsilnie płakać w cieniu drzewa
i przejdzie obok niego płonąca chmura
i przejdzie obok niego ręka dająca kopiejkę
i przejdzie obok niego ręka biorąca kopiejkę
i przejdzie obok niego miejska

 rada delegatów ludu pracującego
i przycisnie wtedy cmentarz
całą gromadę samobójców
zapatrzonych w coś żywego
siadą na trawie
wokół jego ciała

 wokół ciała
 wokół drzewa
 wokół domu
 wokół ptaka

i długo rozmawiać będą o tym że samo tylko podglądanie
żywego nie daje im odejść z tego świata i zmartwychwstać
nie daje i zmusza by tak uporczywie snuli się tutaj

 wokół ciała
 wokół domu
 wokół drzewa
 wokół ptaka

SIADĄ NA TRAWIE
i za plecami każdego siądzie popiół
będą słuchać jak uczy się płakać
woda jeszcze nie nauczona być słoną
ktoś wypowie rozważne słowa
ktoś rozhušta ziarenko maku
i upuści je na podłogę
wszyscy przestraszą się jego straszego hurkotu
wszyscy powiedzą

to idzie tysiąc gwiazd
 wszyscy powiedzą
 to idzie tysiąc kobiet
 wszyscy powiedzą
 to idzie tysiąc kwiatów
 i za plecami każdego siądzie popiół
 ale ktoś niewidzialny nagle powie
 CHRYSZTUS ZMARTWYCHWSTAŁ
 wszyscy powoli odwrócą do tyłu głowy
 każdy zechce za plecami zobaczyć ogień
 każdy zechce za plecami zobaczyć popiół
 ktoś zaproponuje przerwać debaty
 ale ten niewidzialny znów powie
 CHRYSZTUS ZMARTWYCHWSTAŁ
 wszyscy powoli odwrócą do tyłu głowy
 aby nie przestraszyć tego co za plecami
 wszyscy nagle usłyszą jak na morzu czarnej topoli
 żółkną zielone fale
 wszyscy nagle zobaczą na tym brzegu gwiazdę
 jakiej wcześniej nigdy nie widzieli
 wszyscy zaczną czekać
 na małeńki stateczek słowika
 który ma ich przewieźć na tamten brzeg
 żółkną gasną fale na morzu czarnej topoli
 przejrzyste sękaty dno
 ktoś niewidzialny znów powie
 CHRYSZTUS ZMARTWYCHWSTAŁ!
 wszyscy powoli odwrócą się do tyłu
 oto już zaraz
 zaraz mają ujrzeć
 za swymi plecami
 OGIEŃ!

1969

MÓWIĆ, MILCZEĆ I MÓWIĆ ZNOWU

Tak długo milczałem

wiesz przecież jak ciężko było mi w mroku
 wilgotnymi ustami napotykać dobre słowa
 kiedy dookoła – złe nazwy rzek
 (kiedyś rzek takich dobrych!)
 które zwolniły swój rytm do rytmu szpitali

i chmury na ich powierzchni dzisiaj pod wieczór
ci doświadczeni psychiatrzy
odziani w biel

korytarzem rzeki
wypływają w ciemność
rozmawiając po łacinie

pluśnięcia ryb i diagnozy

zatroskane wiersze

zatroskany kolor róż

nazwy leków
które uczynią nas bardzo spokojnymi
wśród drzew zatroskanych – wśród akacji
kiedy ich czarne nasiona wytrysną dźwięcznie
z rudawych strączków
i jak chmura spłoszonych ptaków przelecą
wysoko nad nami

żeby boleśnie zranić bezbronny księżyc
nazwy leków
które pomogą nam dzisiejszej nocy
wysłuchać uważnie przedśmiertnego wołania
księżyc
pomogą nawet dopatrzeć się poezji
w tym jak on będzie kurczył się z bólu
w tym jak będzie chrypiał ostatkiem sił

– zatrzymać je

powstrzymać

przecież naprawdę umieram
w pełni sił wysoko nad powolną rzeką

przecież dzisiaj nie mogę nawet oświecić twarzy
tym którzy mnie zabijają żartując

kim są?

skąd w nich
ta żądza krwawych rozrywek?

spróbujcie ich może jakoś rozczulić –
przywieźć im „Giocondę”
w kuloodpornej skrzyni

albo zmastrujcie dla nich księżyc z blachy
niech sobie celują weń do woli
każdej niedzieli
całymi rodzinami

.....

wszystko staje się prawdziwe dopiero pod jesień
wszystko staje się oczywiste dopiero pod jesień
kiedy znów z głębi
spod korzeni starych i zdumiewająco przychylnych akacji
buldożer wygrzebuje kości Pitagorasa
i znowu jak co roku o tej porze
stroskani ojcowie pochylają się
nad jego uśmiechniętą czaszką
a potem pospiesznie biorą dzieci za ręce
i prowadzą do szkoły
żeby jak najszybciej nauczyły się Geometrii Dobra
choć każdy z nich wie dostatecznie dobrze
że reguły Geometrii Zła i Dobra są jednakowe
i że cichy a ochrypli głos
starego nauczyciela z rękawami zabrudzonymi kredą
co jesień całkiem zagłusza
żółtymi i czerwonymi liśćmi
potężna orkiestra dęta

i oto już zbiegli z lekcji tacy jeszcze łagodni chłopcy
bawiąc się wykreślają cyrklem na asfalcie
księżycowy krąg – twarz poblądłą ze złości

a potem biorą linijkę – i już po prostej
więją chłodne wiatry ze wschodu na zachód
i chłopcy widzą jak wylatuje z wiatrem
dusza kruchej dziewczynki – koleżanki z tej samej klasy
dusza która na ciemnym szkolnym strychu
pośród połamanych ławek i plecionych koszyków
choć już czterdzieści dni minęło od jej śmierci
wciąż starannie przygotowywała lekcje
przy mętным świetle
sowich oczu

lecz dzisiejszy wiatr nad dachami miasteczka
unoszą ją na zachód razem ze stroniczkami
wyrwanymi z podręcznika Geometrii
razem ze śmigielkami jesionowych nasionek
a dołem biegnie dzieciarnia
wykrzywiając się i wykrzykując obraźliwe słowa
i próbując trafić kamieniami
w znajomą sylwetkę płynącą w powietrzu

.....

a wiatr unosi ją wciąż dalej i dalej –
kruchą emigrantkę z republiki młodego ciała
aby pływała sobie wysoko w niebie
na wyścigi z samolotami
razem z duszą księżycą równie kruchą jak ona
która królestwo swego ciała pocętkowane czernią
też porzuciła na zawsze
i które odtąd tylko echo
waszych nocnych rozmów
przywróci tak wiernie
że czasem będzie nam się zdawało
że to tamten żywy księżyc –
po prostu stał się nieco bardziej milczący
i że wszystko między wami jest takie jak było
że nikt nie umierał nie cierpiał złości
w sobie nie skrywał –

przecież głosy waszych poetów
są tak samo rześkie tak samo zuchwałe jak kiedyś:
– to on
to on – nasz księżyc
podobny do żółtej twarzy Mao Tsetunga
kiedy przed nim w wiosenną noc
drzewa otwierają zielone listki
jak hunwejbini książeczki z cytatami!
– to on
to on –
nasz najwspółczesniejszy księżyc
okrągła pornograficzna fotografia
przedstawiająca scenę grupowego seksu

tak długo milczałem

wiesz przecież
jak ciężko było mi w mroku

wilgotnymi ustami napotykać dobre słowa
kiedy ślad po martwym księżycu błyszczący na powolnej rzece
jak rewolwer z ostatnią kulą w drżącej dłoni

kiedy chmury na jej powierzchni dziś nad ranem
ci doświadczeni psychiatrzy
odziani w biel
korytarzem rzeki
szacownie wypływają z ciemności
rozmawiając po łacinie

pluśnięcia ryb diagnozy

zatroškany szeleŝt skrzydeł głodnych ptaków
nazwy leków
które nam – pozbawionym wszystkich kobiet – pomogą również
głaskać czule grzbiety piwnicznych szczurów
dopomogą nigdy już więcej nie wierzyć
w obłudne słowa o miłości –

aby wśród nagich drzew nie dać się oszukać
aby wśród nagich drzew nie dać rozebrać się do naga
i nawet w porze najcieplejszej zawsze spodziewać się że Ty
albo ty albo ty albo ty
spaliwszy dawnych swych oczekiwań poźółkle albumy
nie wybaczysz nam tego
że nie staliśmy się podobni do ciebie
i ruchliwe fotografie znowu i znowu
porozsyłasz za nami w pogoń

w maskujących kitlach pobiegną po wzniesieniu niezgrabnie
potykając się o pieńki

okrążą nas pod wieczór
w przybrzeżnych kępach wikliny

– uśmiechnij się do nas księżycu!
– uśmiechnij się do nas jak kiedyś!

.....

– niech i tym razem
niczego w nas nie upolują

1975

Nagle poczujesz dziecięcą rączkę w dłoni,
nagle zrozumiesz – to czas cię delikatnie dotyka,
jakby pocieszał cię i po policzku wodził
palcem, łzą, kawałkiem starego perkaliku...
Jakże on się zmienił! Nie do poznania już ten szlak:
przez park, po zboczach – nad miastem, nad parkiem – do szkoły!
Wróciło wszystko – aleja, dzika róża i ptak,
wszystko się obróciło – po kole, po kole, po kole!...
Lecz ponad kołem, gdzie słońce, i niebo i ptak,
gdzie niedosiężna przyszłość wrasta w przeszłość, jeszcze
niedosiężniejszą i dzwoni w naszym życiu tak
dalekim, jeszcze nie rozpoznanym dźwiękiem,
jest ta dłoń mała, dotyk tej nieśmiałej dłoni,
co nieomylnie znajduje w lecie drogę zapomnianą
i przenosi się przez wieki i lata, by skłonić
raz jeszcze do lotu wyczerpane ciało.
I czujesz – jest we wszystkim ten dotyk nieśmiały,
w sztandarach, w twarzach, kwiaty świąteczne przenika.
Jest w pierwszych dzwonkach, co z ostatnim tak szybko się zlały,
w pierwszych literach, w ostatnich kropkach i przecinkach,
w dniach powszednich, które szeleszczą jak stary perkal,
w locie po kole i w prawdy powrotach odwiecznych,
w tych, których żal ci jak dziecku, alejkach,
w przestrzeniach dorosłości niezamieszkanym jeszcze.
To Ojczyzna! To, czego nawet nie potrafisz nazwać!
To, co się z tobą zrasta na wieki pozostając,
jak się łączy trąbka i trębaczka warga,
jak do serca wieńcowe naczynia przyrastają.
I wiesz – ten dotyk to wszystko, wśród czego egzystujesz,
wśród czego żyjesz teraz w postaci ojca i syna,
i nie paluszki – palce na swoich ustach czujesz,
i nie łza na policzku, a kropla krwi zastyga.

Jak pięknie i jak szybko wędrowały listy!
I skrzynka się jak w transie wtedy otwierała!
I takiej wysokości nie było zaiste
która by mnie z tobą przestraszyć zdołała.
I słów takich wysokich nie było, nie było
ni ciszy takiej, ni takiego śniegu!
O jakże lekko we Lwów się wchodziło,

jak w starą książkę znajomą od wieków!
Wołaliśmy pospiesznie, na oślep wołali
i niby ptaki, co pod niebem krążą,
stare pismo tych ulic z wysoka badali
niby dno rzeki – czułą echosondą.
Słyszysz – powraca ten dźwięk, wraca znowu,
odbity od śniegu, odbity od kamieni
i pada na bruk chłodny, wznosi się pionowo,
ażeby znów uderzyć o nieba sklepienie,
nas nie znajdując pośród gwiazd wystygłych
i w innym miejscu, czasie nie szukając.
O gdybyż można wiedzieć, ile wówczas kartek
niezapisanych w nas tam pozostało!...
Ile można by zrobić, jakich rzeczy dokonać!
I jakimi wierszami, słowami, listami,
jakim życiem niezwykłym tę księgę dopełnić
moglibyśmy, kochana, my sami!
Więc spróbujmy, przecież ten dźwięk wisi stale
między niebem a ziemią, ciągle jeszcze dzwoni
jak kamerton, który czeka tak wytrwale
na nasze niepewne, lekkomyślne dłonie.
Tutaj wszystko – jak w domu. Z wysoka wciąż czysty
blask gwiazd dalekich spływa jeszcze teraz.
Kto wie, może od kogoś znowu idą listy,
i tylko skrzynkę straszno dziś otwierać.

Wyjdiesz z tunelu i zobaczysz – jadą pociągi
ponad tunelem i ponad dworcem, i ponad
światem, który przez asfalt zaczyna wyrastać
jakby pękała czasu niewidzialna zasłona.

I przez asfalt, przez czas, przez ciemność dookołą,
przez niebo i bezgwiezdną ziemi wystudzoną przestrzeń,
przez ludobójstwo, i wojnę, i nie tylko wojnę,
przez bytu i niebytu straszniejszą otchłań jeszcze –

on wyrasta – ten świat, i maleńki naród,
na stacjach i przystankach dalekich zagubiony
w szarych bandażach tułających furmanek,
w bydłętach ledwie żywych i czołgach okrwawionych,

Boże, czemu i po co, do kiedy i jak, Panie,
ten lot tunelowy, ogniste świecenie,

to wzrastanie przez ból, przez lęk i konanie,
to nad siebie wzrastanie i całopalenie?!

Może jedynie po to, by zmóglszy tunel ciemny
ponad tunelem i dworcem zobaczyć, przystając,
tory, jak tęsknoty bandolety rzemienne,
co w plecy świata boleśnie się wrzynają?

I w dali, gdzie zielono pali się semafor,
z przeciwka pociąg nagle pojawi się nieznany,
na wskroś ciebie przeszyje, jak cierpki chloroform,
który usypia, lecz nie goi rany.

ZIMA WE LWOWIE

*

Zima coraz bliżej. Coraz więcej
żółtych liści za oknami, coraz mocniej
przymrozki ściskają ziemię. Już czas
wstawić szybę w mieszkaniu, uszczelnić okna – zima
coraz bliżej, coraz więcej liści
między ramami i na podłodze, w wiadrach z wodą i nawet
w szklance z herbatą, którą chciałeś się ogrzać, zima
coraz bliżej, coraz więcej
dźwięczącego powietrza w ogromnym mieszkaniu, i liście
szeleszczą głośno pod nogami, kiedy
przechodzisz z zimną szklanką
od okna do okna,
nie wierząc w to, że pierwszy śnieg już pada.

*

Dziecięcy płacz za ścianą, płacz
tajemniczy i niezbadany, jakaś
uparta skarga, suchy szloch ciszy,
naiwne i hałaśliwe
samopotwierdzenie się biosu – skądże on tutaj,
ten płacz, który obudził cię i speszył,
grom i błyskawica
pośród zimy, w mieszkaniu dwojga samotnych
w przybytku rozkładu, w przytułku
ludzi, którzy ledwie stoją na nogach i podtrzymują
się wzajem, kiedy czasem wychodzą na ulicę, i nawet
nie rozmawiają, nie dostrzegają nikogo, co powinni

odczuwać teraz, słysząc
swego pra czy praprawnuka, Buddę?
który osiągnął pierwszą prawdę, co
czują, spoglądając
na wibrację wieczności, to maleńkie

zawirowanie czasu i przestrzeni, trąbę,
co burzy ściany, zrywa dachy, obnaża
najbardziej ukryte?

*

Jakbyś pierwszy raz od wielu lat wyszedł na ulicę
w oślepiający blask śniegu, w oślepiający ogień mrozu,
nie spieszysz się, idziesz powoli, przystajesz,
przecierasz oczy i słyszysz szelest powietrza w płucach –
Och, to powietrze, te dźwięki, ten daleki wrzask wron,
który z początku wzięłeś za znajomy hałas fabryki!...
Co oznaczają te chmary ptaków, dokąd
leczą i dlaczego
obsiadły tak gęsto właśnie twój park?
Może to tylko widoma oznaka:

być śniegiem lub mrozem,

może to tylko
zwykły kołowrót natury – idź, idź dalej,
oddychając głęboko – och, jak szybko
znikają w powietrzu obłoczki pary – widocznie i oczywiście
być śniegiem i mrozem, być długo przeciągającą się zimą,
ale być, być!

*

Dwoje dzieci na sankach wyprzedziło cię na ulicy,
kiedy schodziłeś w dół po oblodzonym bruku,
ostrożnie badając przy każdym kroku niepewny grunt
pod nogami,
dwoje dzieci wyprzedziło cię i wspięło z powrotem na górę.
kiedy schodziłeś, i znowu
wyprzedziło, i jeszcze raz, i jeszcze, lecz ty
nie obraziłeś się – może dlatego, że zbyt bałeś się
tego zejścia, a potem
też się nie rozgniewałeś, choć ich zuchwały śmiech
długo jeszcze dźwięczał ci w uszach,
a oderwana listewka brzęczała
tak przenikliwie i bezwstydnie,
i ci chłopcy tak przypominali cię, jakim byłeś
i jakim już nigdy więcej, nigdy więcej nie będziesz.

*

Czym jest mądrość? Może
to coś takiego jak woda. ta sama,
która przebija się między asfaltem i lodem
na zaniedbanej ulicy?

Tak, to woda, która staje się
lodem i roztapia, i płynie dalej, paruje, spada
deszczem, śniegiem, rosą, przecieka między palcami,
może to jeszcze i powietrze, ziemia i ogień, i liście,
i książki, po prostu, cienkie i grube,
przeczytane i nie przeczytane,
książki, które czyta się coraz trudniej,
i przypomina coraz wolniej,
a może
to ktoś nieznajomy,
powiedzmy, tamten staruszek, z którym co rano
witałeś się i którego nagle zabrakło?

*

Oto i ty, poeto, pewnego ranka
obudzisz się i zobaczysz
siebie – obok Li Bo i Du Fu, obok
Bhagawadgity, obok listów Seneki, tak blisko –
jedna, dwie strony albo i na odwrocie, i
zamkniesz czasopismo, uśmiechniesz się: no tak, siądziesz
za stołem by zwyczajnie pisać; może tylko pióro
zawaha się przez moment, przeczuwając
otchłań.

*

Myśleć o wieczności – myśleć
o egipskich piramidach, brązowych
biustach buddów, marmurowych
kolumnach z doryckimi kapitelami, dolmenach, kurhanach,
kalendarzach maja,
albo prościej – o zimie,
drzewach tkwiących w lodzie po wierzchołki, narciarce,
iskrach słońca na ciepłych włoskach swetra, i jeszcze
porównywać zasy do egipskich piramid, i sosny
do kolumn Partenonu, nie rozumiejąc,
że wieczne nie jest to, co trwa, a to
co się powtarza.

PROSTOLINIJNE WIERSZE (fragmenty)

1.

oto i ja
kochając mych poetów
biorę się za wiersze

oczywiście
i ja
ulegam tej starej pokusie
doskonalenia świata

i oto
ogrzewam
zamarznięte ptaki

wyprostowuję
krzywe skrzydła gołębi

może coś się zmieni
wiatr zawieje
rozprostują się skrzydła
a nie posypią trociny
i oczy szklane
ożyją

2.

wojna to radykalniejszy środek
od głodu chłodu
bezrobocia
inflacji
koklusu
grypy
nadciśnienia

śmiertelności niemowląt
i śmiertelności ludzi w podeszłym wieku

liczba rannych
w zwycięskiej wojnie

jest minimalna
liczba zabitych

nie przewyższa nawet
ogólnej liczby ludności

a przede wszystkim
na wojnie
każdy może zostać
Napoleonem
Cezarem
Aleksandrem

nie ryzykując
obłądem

3.

naczynia połączone
nasze serce
i serce ojczyzny

ileż to krwi przetoczono
ile czarnoziemiu
ile świń

niekiedy przewracamy się
z bólu

niekiedy padamy
twarzą do ziemi

i wstając czujemy
nasze serce jeszcze bije
gdzieś daleko daleko
tam

bije

4.

dwaj chłopcy
niosą rannego
zatknąwszy za pas
pistolety

– jesteście zabici!
krzyczy ranny
i wrywa się

– jesteście zabici!
ale zabici nie czują

zabici zawsze
nie czują

6.

nauczyliśmy się pisać
o wszystkim na świecie
o Fudżijamie Long Island
Loch Ness

o nuklearnych procesach
transcendentalnych polach
entropii eklektyzmie
eksplozji

o percepcji i recepcji
ekstrasensoryczności infrastrukturze
gnoseologii agnostycyzmie

i tylko trzeba by się nauczyć
nie pisać
kiedy się nie pisze

kiedy pół królestwa za wiersz
a pół –
za białą kartkę

7.

poranne wiersze
są najpiękniejsze

są
jak sen
który właśnie znika
w zapomnieniu

zostaje dym
pierwszego papierosa
szorstki niedopałek
lekki rausz

kilka promieni spod firanki
cień sługi Saint Simona
monsieur czekają pana wielkie rzeczy

o tak!

9.

wiersze zawsze
są wolne

nawet jeśli
zrymujemy je
zakujemy w strofy
zamkniemy w foliach

one jak ten lis
który udawał martwego
na kruchym śniegu

nie oszukujmy się
lis ożyje
śnieg pozostanie biały
kartka – pusta

12.

oto i skończyłem
pierwszą trzydziestoletnią
wojnę
z samym sobą

nie zwyciężyłem nie przegrałem
nie zmądrzałem

wynik zmagania jak to mówią
fifty-fifty
pół na pół

teraz pewnie znów przyjdzie
rozpocząć nową trzydziestoletnią
wojnę

którą już na pewno wygram i
przegram

KONCERT NA MARSIE

1.

Przed chwilą wysiedliśmy z kosmicznego statku (rejs nr 2), włączyliśmy magnetofon. Za ścianą grają w karty niewidzialni Marsjanie. Nie słyszą nas, my nie słyszymy ich. Nie słyszymy jedni drugich. W milczeniu siedzimy w małym pokoiku spowitym tajemniczym mrokiem. Niepostrzeżenie pojawiają się na naszych ustach pierwsze marsjańskie słowa, potem całe niezgrabne zdania...

Z przyjemnością rozmawiamy po marsjańsku, inaczej już nawet nie potrafimy.

Po pokoju lata w mroku ognista kula.

2.

Marsjański bóg, z wielodniowym zarostem, w okularach z okrągłymi szklami i zawsze pijany, zajęty pisaniem obłąkanej powieści i hodowlą królików. Dla przybyszów wyhodował na swoim podwórku czereśnię, na której jedzą kolację. Na śniadanie zeszlóroczne wino i wczorajszy chleb. Najbardziej zaś lubi spiritus vini rectificati z marsjańskim sokiem pomidorowym oraz króliki z czerwonymi oczami, za które nieustannie wznosi toasty.

Marsjański boże, który jesteś na niebiesiech, daj nam dzisiaj.

3.

W marsjańskich górach rosną grzyby i czarne jagody gigantycznych rozmiarów, a tu i ówdzie jodły. Zza każdej jodełki wyskakuje zając, a igliwie ma zapach marsjańskiego Nowego Roku.

Zgubiliśmy swoje hełmy i skafandry i powoli tracimy odzież. Tylko od czasu do czasu spadają koło nas odłamki satelitów, wypuszczanych z Ziemi zgodnie z programem badania przestrzeni kosmicznej. Chowamy się przed nimi pod wodę. Leżymy na gołych kamieniach górskiej rzeki. Powoli rozpuszczamy się w wodzie, w powietrzu, w promieniach. Wieczorem ostatecznie znikamy.

Dwoje niewidzialnych idzie brzegiem.

4.

Nie patrz tak, bo słyszysz: płoną włosy i odzież, ciało, trawa pod nogami, drzewa _____

Zapałił się cały las i woda w rzece _____

Stoisz wśród płomienia i śmiesz się. Nie patrz tak, bo spalisz Słońce i Ziemię, takie odległe i nieosiągalne _____

5.

Jezioro głębokie i z urwistymi brzegami, jak wszystkie marsjańskie jeziora. Stoimy na brzegu i patrzymy na słoneczny dysk, który płynie po powierzchni wody. Wciągam na rękę czarodziejską rękawicę i przewiązuje ją żdźbłem trawy. Wzlatuję w powietrze i szybko przez słoneczny blask uchodzę pod wodę.

Staję na dnie i maszeruję aż do morza po wielką muszlę dla marsjańskich kaktusów. Rękawica wraz z moimi palcami odrywa się od ręki i, jak kompas, pokazuje drogę.

6.

Wszystkie statki kosmiczne do naszej dyspozycji – towarowe i pasażerskie, a pamiętasz, jechaliśmy na Marsa – na kosmodromie ochroniarze palili w ślad za nami z rusznic, zabili kilka chmur i ptaków. Ty wracasz – do ochroniarzy, ich reguł, grafików, świstków, kosmiczny zając.

.....
Sybillo, żono, języku.

7.

Pomachałem ręką za kosmicznym statkiem w kształcie samolotu, który łopocząc skrzydłami i głośno kracząc znikł w niebie. Gdzieś podejrzałem w słowniku trzy słowa ziemskiej mowy – sybillo, żono, języku.

Wykrzyknąłem je w niebo, lecz ona nie zrozumiała myśląc, że to po marsjańsku. Długo czekałem na odpowiedź, potem ponuro poszedłem z kosmodromu po podkładach porośniętych trawą. Moja czarodziejska rękawica stała się niemal ognistą kulą i potoczyłem ją ścieżką do miejsca, gdzie mieszkał marsjański bóg.

8.

Bóg właśnie dopisywał swą powieść o umysłowo chorych i dojadał ostatni kęs czerstwego chleba. Niewymownie ucieszył się moim powrotem. Zrzucił z krzesła czarnego kota i zaprosił mnie, żebym usiadł. Rozmawialiśmy o sianokosach, tautologii i piłce nożnej.

W nocy bóg poszedł do huty szkła zamówić u głuchoniemych kwadratową flaszę i kryształową wazę – prócz wazy przytaczał olbrzymiego dębczaka. Kiedy niósł go przez całe oświetlone miasto, musiał wyjaśniać nocnym stróżom, że wyłączono mu gaz i musi palić drzewem. Drag jeszcze teraz ozdabia salon, a wazę sprzedaliśmy, kupiliśmy pod dostatkiem wina i trochę chleba.

Żyjemy sobie spokojnie, czytamy na głos staromarsjańskich poetów, a sąsiedzi myślą, że się kłócimy i piszą na nas skargi. A jeszcze czasami schodzimy krętymi uliczkami na ratuszowy plac – popatrzeć na zegar. Choć to nam do niczego nie potrzebne.

9.

Tak oto skończył się koncert na Marsie. Co prawda od czasu do czasu przelatuje w ciemności ognista kula, ale dużo częściej komnatę zapełniają głupcy w błazeńskich czapeczkach z poważnymi obliczami albo przychodzi samotna kobieta z Tokio.

Wyjąłem z okularów marsjańskiego boga szkła i zrobiłem z nich teleskop. Wypatruję wszystkich rakiet z ziemi. Ty jednak nie wracasz.

„Głupcze – powiedział marsjański bóg – ona przyleci tej jesieni albo zimy. Jeśli tylko nie opadną liście z wielkiej czereśni na moim podwórzu”...

I codziennie przywiązuję nitkami każdy listek na drzewie. Jesienią wiatry na Marsie wzmagają się, muszę więc wybierać jak najkrótsze nitki. I jednocześnie z wierzchołka drzewa patrzę w niebo.

Przylapuję się na tym, że czasami wyśpiewuję jakieś słowa w nieznanym języku.

1974

Drży woda w szklance, i drży
od chłodu. I jak kobieta dygocze
od chłodu. Zimne teraz są noce,
jeszcze chwila – spadnie pierwszy liść.

Już rok miłości naszej przeminął,
a wciąż jakby zapach tego liścia,
i ta woda, w tej szklance. I blisko
do tego roku, który już przeminął.

I ten but, odrzucony na bok,
i na krześle ubranie. I do ranka
jakiś wiatr tunelowy pieni szklankę:
jeszcze chwila i tryśnie z niej strumień.

Więc co, stulecie? Może krok,
jeśli płonie czarno-jedwabny tunel,
i wrzesień – tylko przypadkowy krzyk,
i całe życie – łyk albo strumień...

RÓŻA

Czas spakować walizkę i odejść.
Bóg wie, co wziąć – żeby nie za ciężko
nieść ją było; a jednak pod ręką
mieć to wszystko, co przydać się może.

Dwie-trzy szczotki, mydło i ręcznik.
Bieliznę czystą, by kiedy chwila przyjdzie,
że kochanek albo Bóg przyjmie,
dla każdego być w czystej bieliźnie.

W dzikim kącie rajskiego ogrodu
trafi mi się róża wśród burzanów,
Tak mistyczna jak z Blake'a obrazu,
Róża, która robaka kocha.

Oddawszy mu swe cudowne łono,
Drży, ode mnie najwyraźniej stroni
i ta cała poezja – tylko wstyd i nuda,
biedny kwiatek, kochany, drogi...

WINO ANIOŁÓW

Jest łagodna ziemia, gdzie panny jak kryształy,
a dzieci – niezłomne i niezmiennie – niby stal;
i gdzie wino aniołów w zimnej ciszy sal
walczący ze smokiem piją przyklękając.

Jest łagodna ziemia, trawa, która kona
tam, gdzie smok śpiewa, czekając całymi stuleciami.
Jego głowa rozumnie pochylona,
brokat olbrzymich skrzydeł kwiatkami haftowany.

Skał, gdzie cele mnichów, czerwona barwa,
gdzie w ubogich osiedlach płoną kamienne czasy;
gdzie wino aniołów niewidziane od dawna
jak lzy na rzece, jak martwe dusze nasze.

Tu nie ma zwycięstw, klęsk szukać daremno;
tu skorpion drzemie u stóp rododendrona.
W rozbłysku okna – boża ciemność,
jak hieroglify na skórze skorpiona.

DESZCZ

Deszcz... Deszcz we Lwowie, w Tarnopolu...

Deszcz – na skraju
pola, gdzie koleina równa, błyszcząca – jak strzała...
Ty w wagonie nie śpisz – jak wtedy, pośród nocy...
Nie, to nie gwiazdy dokoła, to senne ciała.

Śpij, wyobrażaj sobie, że ta ulewa zmywa
ubrania, zmarszczki, grymasy, szminkę, pot i lzy;
fałdy cudzego ciała i skórę co oblepia,
które jakby nad sercem ktoś przylepił ci.

Zmyje się wszystko, sens i życie zostanie,
i poezji – humor i rzecz – płonąca kość.
Spójrz – kołysze się szklanka;

spójrz – rana
rozlanej kawy plami rozścieloną noc!

Smród sypialnych wagonów, wilgotnych poduszek,
smród klozetu, papierosów, miłości i biedy,
i nietrwale imiona dawnych przyjaciółek –
wszystko zostaje w strugach tej nocnej ulewy...

NÓŻ

Nóż,
 żeby pokroić chleb.
Nóż – żeby wyciąć fujarkę.
Nóż,
 żeby dobić jagnię,
okaleczone przez wilka.

Tak
goła, sucha i postna
pieni się raptem powierzchnia
potem oczyszczonych ryb
w warzywie Pańskiego dnia.

Znak miłosierdzia i łez.
Bez
 błogosławionego znaku
nie dotykaj:
 to nóż,
muzyka, która zabija.
To już nie tylko słowa –
To poezja
 bez
słów,
 w której trawa omywa
ostrze niebios.

* * *

Umrę w Paryżu w czwartek wieczorem
César Vallejo

zacierają się linie zapachy barwy i dźwięki
słabnie wzrok gaśnie słuch i radość najprostsza przemija
obracasz za swoją duszą twarz i wyciągasz ręce
lecz ona leci wysoko daleka i nieuchwytna

pozostaje tylko dworzec na ostatnim peronie
szara piana rozpaczy kłębi się puchnie i już
rozmywa rozpuszcza moje bezbronne dłonie
i mdłym ciepłem tylko się klei do ust
miłość która została lecz lepiej by jej nie było

my nie w Paryżu umrzemy teraz na pewno to wiem
w prowincjonalnej pościeli przesyconej potem i łzami
i nikt ci nie poda twojego koniaku wiem że
nikt nie pocieszy nas pocałunkami
pod mostem Mirabeau mrok się nie rozejdzie kręgami

zbyt gorzko płakaliśmy i krzywdzili przyrodę
zbyt mocno kochaliśmy
innych kochanków zawstydzając
zbyt wiele wierszy pisaliśmy poetów znieważając
nigdy nam nie pozwolą umrzeć w Paryżu wodę
pod mostem Mirabeau kordonem szczelnym otaczając

STO LAT MŁODOŚCI

Sto lat młodości, a dalej – pustynia.

Okolicy swego starego miasta
chyba nie słyszysz, zamknawszy oczy?
Przez martwy dym palących się liści
biegną psy naszego dzieciństwa
i rośnie krew... Sto lat

młodości, a dalej – pustynia.
Tutaj słowiki, jak gwoździki, białe
w piersi dokwitających krzaków;
we wrześnie wysuszone deszcze
płuczą się na słońcu, jak bielizna,
wywieszona między oknami. A śniegi!
Wielkie, fioletowe... A jednak

musisz się zbliżyć
do rąk, ramion, do skóry, do koszuli,
gorącej od upału. Do ściany
zimnej od strachu i od mchu.
Czy nie czujesz zamknięwszy oczy
swojej dawnej krągłej czystości?
Czy nie chcesz wcisnąć się w kamień,
kryjąc się przed pierwszymi pocałunkami?

...Tam, tam – w kamień i w mech,
w pokruszoną cegłę, w porwane piłki,
w słowiki! W łagodne psy
naszego dzieciństwa, co wciąż pełzną za nami
przez martwy dym palących się liści,
aż krew pokazuje się im na grzbietach.
W mech! W strach!

...a dalej – pustynia.

SZALONE SAMOLOTY

szalone samoloty
przelatują rano o świcie
rozpadają się gwiazdy
na kawałki ciał
tak kończy się świat
we wtorek o dziewiątej
wszyscy będziemy w raju

kiedy gnój i wrzątek
wypełnią czaszę gniewu
przewinie się zwój
odetnie nić
a nad przepaścią drżą
szeregi biednych grzeszników
wszyscy będziemy w raju

i kiedy zostanie krok
do oczekiwanego cudu
i dwie wieże jak dwa
skrzydła bramy –
oszałałe samoloty
przelecą
to niemożliwie
ale tak kończy się świat

wszyscy będziemy w raju
we wtorek o dziewiątej
tam gdzie prorok układa
arabeski lat
tam gdzie ropy łagodny ślad
w sennych jeziorach –
ogród niewinnych dziewcząt

miód płynie z ich ust
mają oczy gazeli
ciała jak łoża winorośli
piersi ostre jak miecze
z ich pachnących dłoni
wylatują nieporównywalne do niczego
szalone samoloty

SZARO-NIEBIESKI

Zbyt wiele jest sztuki na tym podłym świecie.
Zbyt wiele rymów w ciszy, od której kraje się serce.
Zbyt wiele czerwonego – namiętność taka nie jest.
Przynajmniej nie ta ostatnia.

Nie, to nie krew, która zawsze rymuje się z miłością.
I nie ogień, który pali za sobą mosty.
Nie vers libre, kiedy ciężko podnieść powieki jak z ołowiu.
Niebiesko-szary garnitur człowieka,

który odchodzi.

Jeszcze przed chwilą całował kobietę,
po której pozostał tylko ruch głowy
na obrazie artysty, który umarł sześćdziesiąt lat temu.
Pomyśl, że jesteś nimi – razem lub pojedynczo,
wyobraź sobie siebie – jako mężczyznę lub kobietę,
jako pocałunek (tak nazywa się fragment) albo księżycowe światło.

Jej szyja naprężona, ale się ukorzy.
Jego plecy pochylone – to już koniec.

Szaro-niebieski odcień czarno-białych fotografii,
szaro-niebieskie ekrany czarno-białych telewizorów,
kolor narkozy i sal operacyjnych,
neonowych ramp, teatralnej sali.
„Autor! Autor!” – krzyczą widzowie.
„Autor! Autor!” – krzyczy umierający.

Ale autor w szaro-niebieskim garniturze
odchodzi.

POMNIK

Umrę w Paryżu o czwartej po południu
César Vallejo

My nie w Paryżu umrzemy
Natałka Bilocerkiweć

My nie umrzemy w Paryżu, bo my w ogóle nie umrzemy,
a jeśli już umrzemy, to w Paryżu tak samo jak w Ghanie,
w Hollywood, Hongkongu, Jaremczu, San Remo, Genewie.
Morze pustych butelek pod stołem po nas zostanie.

Jakaż to niemożliwa służba dla gawiedzi dobra! –
wbijać kolek poezji w dupę czasu, swój herb
wymalowywać na debilnych rozszczekanych mordach,
zabawiać partyjniaków, patrycjuszy i KGB.

Naród nas nie zapomni. Będziemy mieć pomnik. We Lwowie –
i staniemy tak samo na wszystkich cokółach na świecie,
„Neborak! Irwaneć!” – jakiś turysta powie
i z głupia frant zapyta – „A kto to jest ten trzeci?”

Ja bym mu odpowiedział! Już odpowiadam: ty pało,
och ty gamoniu, ciołku, durniu i skurwysynie!
Trzech nas jest na cokole – ten czwarty to Fallus
(starogrecki filozof chyba, znany także w Rzymie).

I na wieki zastygniemy w obłąkanym Lwowie –
przed operą, w centrum. Aleja Bu Ba Bu szeroka!
I nocą małolaty wała domalują Saszkowi,
a kruk na Neboraka nakaka z wysoka...

ELEGIA 60-TYCH

Lato pachniało piłką, czarnym bzem, porzeczką,
w przedwieczornych krzakach całowały się pary,
i gdy dojrzałe słońce siadało za rzeką,
pachniały cichym deszczem kamienne trotuary.

Piłka leciała do niebios, nad antenami, lipami,
skórzane i kosmiczne ciało w równej mierze.
Z altan, spod winorośli cherubińskimi szlochami
wunderkind Robertino rozpychał się w eterze.

Mrok nagle zgęstniał, piłka w ciemności topniała,
zapaliły się lampy w ogrodach i na gankach,
i drzew się tajemnicza głębia objawiała,
odzywały się cienie na zblakłych firankach.

Piłka już nie krążyła:

znikła gdzieś daleko.

Czasz przepelnionych błękitne wodotryski
pulsowały nad parkiem, gdzie tańce co wieczór,
gdzie nocą karuzele i komety stygły.

Piłka zawisła w górze, i jak morza słone,
jak pustynie piaszczyste, lata się otwierały,
i karuzele skrzypiąc, smutne, opuszczone,
aż do rana się dla nas, jak świat, obracały.

TANGO „BIAŁA RÓŻA”

Gdzieś w latach dwudziestych, trzydziestych,
pośród dachów, balkonów i sztyldów,
w zaśnierzonym mieście, co ściemniało pod wieczór,
snuje się tango bezdomne,
wymyślone przez studenta konserwatorium na skraju chodnika
z pomocą akordeonu, romantycznych wyobrażeń i głodu.
Z akordeonu wylewa się taka argentyńska namiętność,
że w sercach podchmielonych przechodniów burzy się krew
i tułacze papierosnice ostroplece
czarną farbę wyplakują z cichych oczu,
i chłopcy w kaszkiecikach sprzedający gazety
tupią do taktu bosonogimi trzewikami,
i nietopniejące profile futrzanych pasażerek
wychylają się z aut i fiaków,
a melancholijny pocziwy stójkowy
wzruszony, puszcza z bogiem dzielnicowego żebraka –
pierwsze serca poruszenia,
pocałunki i westchnienia
i dłoń twoją drżąca taka...

A każdy muzyczny miedziak – to uznanie,
to szansa żeby nie umrzeć z głodu, zostać geniuszem,
to przepustka do jubileuszowej sali,
gdzieś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych,
w której posagowy sopran i tenor o szerokich ustach
(a kiedy je otwiera – na lustro lecą słowiki)
w której haftowana publiczność nabrzmiewa owacjami

jak groźna gęsta chmura gniewnym deszczem,
gdzie medale, i laury, i łyzy na biustach chórzystek,
gdzie nie ma zimowego tanga, zapomnianego jeszcze w latach trzydziestych,
a kłujące jak ciernie piękności niosą ci kwiaty,
i szukasz w pustce niewidzialnego akordeonu,
lecz profil cienisty wychyla się z łoży
żeby uśmiechnąć się do ciebie przyjaźnie,
żeby wzywać po nocy, niby w utracony ogród,
w przeżyte miasta, w ściemniały oddalony raj –
pierwsze noce niespokojne,
pierwsze męki snów upojne,
i to pierwsze słowo – kochaj!..

Niby w muszlę zszedłeś po schodach w dół
obejmując akordeon, niby ciało praczki
i jakbyś to był ty, i jakbyś ty grał im do tańca
tym niemytym gościom piwnicznych zadymionych knajp,
tym układaczom bruku i szwaczkom,
węglarzom, kowalom, kopaczom, kominiarzom, prostytutkom,
i czy to nie oni dopchawszy się do twoich pleców
krzyczeli na cały głos: Białą różę!..
I przy pierwszych taktach ogromniały oczy
nieletnich tancerek, które żyłę przekłuwszy,
wylatywały parami na światło, jak na pomost
i obejmowały się białe ramiona w porywającej parnocie...
I wtedy w tym dymie, w tych oparach, tam,
między dwudziestymi, między trzydziestymi
tak rozmycie i niepewnie wychylał się profil
i ty byłeś gotów umrzeć, i znów to tango, i znów
pierwsze zaklęcia i błagania
te pierwsze męki i szlochania
i ta tajemna pierwsza miłość...

PLANETARIUM

uczymy się dalekowzroczności
niedzielnego dnia ciągniemy do pouczających rozrywek i widowisk
oglądamy niebo ze sferycznej baszty
wylupiajanej jak oko cyklopa
w pobliżu diabelskiego koła i letniej estrady
kręconymi schodami podążamy do gwiazd
przypadamy do teleskopu jak do drzewa
ustawiamy ostrość w okularze
ta cudowna armata do oglądania wysokości

pokazuje nam paradę planet
na mocnym kartonie niebieskiej mapy
zapalają się jedna po drugiej elektryczne konstelacje
chcemy zapamiętać ich nazwy
ale dookoła tyle mglistości
niecierpliwie pytamy kiedy będzie
czumacki szlak
zszedłszy z powrotem na ziemię
strzepujemy z pleców księżycowy pył
pijemy lemoniadę w kiosku naprzeciwko
właśnie tu i właśnie dzisiaj
przypadkowo
na zawsze

KOSZARY

nawet ich nie widzimy i nie wiemy jakie są
przecież przed świtem wybiegamy z nich i wracamy
o północy
pewnie są murowane
jeszcze dziś pachnie w nich końskim potem
i sianem ze stajni husarskiego regimentu
zdaje się że mają kamienne schody
a kiedy skrobiemy ich nieskończenie czarną podłogę
odłamkami szkła i tępych brzytwami
to jest tak jakbyśmy skrobali grzbiet wielkiego wieloryba
który ugrzązł na mieliźnie
w listopadowej mgłę o szóstej rano
rozlega się trąbka pobudki
odrywająca każdego od jego nocnej dziewczyny
i przy chrapliwych pokrzykiwaniach kaprali
druga zmiana zeskakuje na głowy pierwszej
w żaden sposób nie możemy rozewrzeć powiek a dłonie
wciąż jeszcze wyciągają się ku odpływającym dziewczętom
i tak zaczyna się dzień.

GROBOWIEC

i oto zebraliśmy się wszyscy cała rodzina razem
kiedy cmentarna służba odcięła
niepewny promień na ostatnim z nas
znowu spotkaliśmy się jak za najlepszych lat
gry na giełdach

przejażdżek fiakrem
niedzielných zabaw w podmiejskim klubie
leżymy na twardej podłodze
pod marmurową czasą
ciężką od opadłych liści i mżawki
lecz przecież w porządnym towarzystwie
po prawej cukrowy magnat
po lewej operowy tenor
nie czujemy jak płynie woda szumi wiatr ale
czasami w głuchej nocy wzdramy się
kiedy wzniesie łajdacką piosenkę młodzież
wracająca późno z potańcówki
na robotniczym przedmieściu

INDIE

1.

Indie zaczynają się od tego, że sny się śnią
o wyprawie na wschód. Pełne fabuły, są
niby film, w którym jesteś bohaterem-zuchem.
Po prostu trąbę lub gong, albo dzwon wody słyszysz
albo szept „Wstań i idź” rozlega się w ciszy,
lecz nie wiesz, czy usłyszałeś go sercem czy uchem.

Indie to nie całkiem półwysep. To kontynent,
który graniczy z Nicością. Tego, że świat jest Nilem
opasany, atlasy i słowniki żadne nie uwzględniają,
ni tego, że gwiazdy na niebie – to w Boga teatrze
jedno z przedstawień tylko. Widać czas nie nadszedł,
bo płaskość nam łatwiej uważać za kulę. Za Ciało.

Bierzemy za kulę to, co leży jak placek.
Ale ty posłyszawszy „ruszaj”, ostre i władcze,
dobywasz miecza i podążasz na wschód ku swej śmierci.
I skrzykujesz zastęp wesołych i złych zabijaków
I oni w pochodzie śpiewają w przybliżeniu jako
aniołowie w niebie nocne cherubińskie koncerty.

Płasczyzna – to pustynie i królestwa, grzbiety, miasta,
nad którymi tylko gęste powietrze wyrasta
we wszystkim wrogich niebios – jakaż z nich radość czy manna?
Tylko straciwszy konie i przyjaciół, cały swój obóz,
uparty jak pokręcona i zbity winorośl
tam się przebijesz, gdzie właściwym słowem jest „rachmanna”

2.

Marco Polo mijał się z prawdą, kiedy mówił,
jakoby go muły, woły, osły
nad przepaściami mroku przez tybet mgły niosły
dalej na wschód – do Chin. Zawęził
w pętlę się jego szlak bez wątpienia,
Marco Polo z pewnością jadąc w siodle drzemał.
Przecież dalej na wschód nie istnieje ziemia,
Indie – to jest granica, to, co na krawędzi.

O jakim tam wschodzie można mówić, gdy granica
jest mur, za którym wielka i niema Nicość,
co, nie wiadomo czemu, moglibyśmy przysiąc,
nie kocha nas, choć naprawdę nic nie czuje do nas.
Tak więc tu jest ostatni pielgrzymek przystanek
i puszcza, ostatni deszcz, i krzew, i kamień,
dlatego pychę na pokorę zamień,
ten mur nie z tych jest, które rzezimieszek pokona.

Ten mur to jest przywidzenie takie, że w zderzeniu
z nim się rozsypie Azja w oka mgnieniu,
tabory się wszystkie rozbiją o niego,
nad nim już inny wymiar: Bóg i niebios chwała..
Lecz ty jesteś przybłądą i los, co cię czeka,
to w dół wędrować, pokąd płynie rzeka,
póki wierzysz: w światło, jak z worka, co obleka
można wyjść mimo wszystko. Za cenę głupiego ciała.

3.

Wszedłszy w gęstwinę, gdzie ptaki krzyczą,
pomyśl: przyroda to jest warsztat Boga,
po którym błądzi bezsilność twoja.
Wszystko, co możesz – to upaść w nicość.

Nieubłagana zieleń wezbrała jak mór,
jak potop, piana, co śliska na dotyk.
Te rośliny się pyszną. One to narkotyk.
Te rośliny śpiewają jak potworów chór.

Ale cóż tam zieleń! To jest tylko tło
dla gadów, dla demonów. I idziesz wdychając
tę zgniliznę, tę rozkosz – ten praobraz raj,
co nie całkiem się udał, w którym wszędzie zło.

Ty, który miecz posiadasz i do niego duszę
w ciele szczęśliwym trafem ocalonym,
rąb niby Jerzy harpie, furie i demony
i pytony rozplątuj mieczem jak ropuchy.

Skoro Bóg oszalał, oszalał, rzecz jasna,
gdy jest koroną stworzenia bestiarium,
gdzie huczy rechot diabelskich arii,
ty powinienes padłem mech ten zasłać.

Wyjść powinienes z gęstwiny kipiącej,
póki nad tobą Jasna Pani świeci.
Ty, co w oczach przybłądy ciągle światło niesiesz,
wejść w srebro musisz – w nurt tej rzeki wstąpić.

4.

To normalne, że rzeka ku dołowi spływa,
jak roślinny śluz lepka i jak on leniwa,
gdy twoja ręka za grot oścień trzyma.

I przyglądasz się rzece i widzisz, jakbyś zasnął,
nie ryby, nie muszle w głębi leżące na piasku,
nie lilie ciężką i jak jaśmin jasną.

Twarz swoją widzisz, która w wodzie moknie,
samotność w czólnie, w swojej dłoni oścień,
twarz na dnie, policzek rozdarty na oścież.

Na brzegach tych żyje chimeryczny lud,
pokręcony naród spadł na równinę tu,
chciałeś to masz tu tych świntuchów w bród.

Kopyta jak u kóz i tysiąc ponęt mają,
kochają się od tyłu, przez nos się odżywiają,
czernieje u nich las, żadnego „nad” nie znają.

W ich żyłach kompot krąży, jak lochy jest ich brzuch,
mowa jak u Tatarów, jak mowa zsechł im duch,
ich car jest długoręki, a sześcioreki bóg.

Kto rozwiązał ten wór, z nicości ośmielił
wyjść na świat, jak na śmiech, tych kopyt właścicieli,
kto im być „pod” pozwolił, cieleśnie się weselić?

Płyniesz w płaszcz otulony, żerdzi się trzymając
przez ryk trąb spod serca i żebra, zdążając
tam, gdzie otwór do piekła. Nie tylko do Raju.

5.

Wszepochecność w zaroślach smoków i trytonów
gryfów, pifonów i to, jak szaleją koty
zmienione w duchy, pojawienie się komet i cyklonów,
to oznaki, że piekło dyszy gdzieś obok. A ty
znajdujesz ten otwór, spuszczasz się w smród i mrok
i idziesz ponad ogniem. Chwieją się wielkie mosty
i kto tam wie – czarty, i charty, i chwosty –
Żegnaj się, nieustannie – sto czterdzieści po
czterdzieści razy. Wyprawa to wojenna,
za poły płaszcz, za ramię chwyta cię gehenna,
za pochwę miecza, za łokcie – i słyszysz: Płacić trzeba!
Hej, w górze, czyście pogłuchli? Rzadko święci z nieba
wtrącają się w bieg zdarzeń, ale zawsze w porę..
I jak wskrzeszeni piloci lecą aniołowie
– po trzech, po pięciu, siedmiu – miecze ich rozkwitają
i skrzydła płoną, i ciebie z dziury wyzwalają
i ogród za tobą otworzony wzdłuż wertykalu:
drzewa coraz wyższe, ptaki coraz bliższe i dary
coraz słodsze, coraz cięższe. Te sztandary,
bębny, tulipany, i tak dalej, i książki w perkalu,
i tlen, i miód i tak dalej. I ty nad ziemską
powierzchnią, nad płaszczyzną wzniesiony zwycięsko
i już się nie cofniesz, choć spal się, choć krew wypij własną
to jest twe przeznaczenie: świecić z góry jasno.

AND THE THIRD ANGEL SOUNDED

Jeden z niedobitych w dziewięćdziesiątym pierwszym
ostrzegł mnie, podbitego, w środku nocnego Lwowa.
Nocny Lwów w zasadzie należy do nich,
a ja, na pewno, jestem jedynym, który o tym nie wie.
On też chciał piwa, jak się okazało, –
pijany maruder, uczestnik bojowych akcji itd.

„Bracie! – powiedział do mnie. – Bracie! Piwo się skończyło,
wyobrażasz sobie? Piwo się skończyło, żona odeszła!”

Nie wiedziałem, że jest na świecie taka rozpacz.
Wciąż coś mi się przypominało o jednej trzeciej mórz

i piotunie.
Anioł z trójką na piłkarskiej koszulce szedł po niebie
ze swoją głupkowatą fujarką.

Objęliśmy się, jak przed stratą.
Przepraszam, przed startem.

WELCOME TO MY FOOLISH DREAMLAND

Taras ma rację, kiedy pisze:
Nie powinny nas rano podrywać budziki.
Ranek i bez tego jest porą udręki,
całkowita nostalgia, najgorsze, co może się zdarzyć.
Konieczność, żeby przeżyć jakoś resztę dnia
przywiązuje do łóżka. Wygraj jeszcze pół godziny.
Zastanów się nad zobaczonym.

Zastanawianie się nad snami –
to próba wprowadzenia ładu w nocne przygody,
nadania treści kształtu, obrazom jasności.
Co się naprawdę stało? Po jakiego grzyba
pijany Tomas zostawił pod siedzeniem suche
ekskrementy? Seksowna zakonnica
czegoś się domagała, pokazując palcem
na mnie? Jeszcze pamiętam zegarek.
Do odjazdu zostawało morze czasu,
ale nie było możliwości zostawienia przyczepy
z tłumem znajomych. Co przeszkadzało?

Znacznie gorzej, kiedy z naręczem kwiatów
idziesz do kogoś, kogo naprawdę już z miesiąc temu
zabito, na jubileuszowy wieczór.
Dlaczego jubileuszowy? Jeszcze dwie minuty
i wyjaśnię, dogonię zakonnice,
Tomasu zmuszę
by po sobie posprzątał...

Zastanawianie się nad snami najczęściej
nic nie daje, prócz paralelnych wniosków:
życie mija. Problem poranka
w tym, że go ubywa i ubywa.
Jedynie w snach, gdzie wszystko jest głupie,
życie wygląda na prawdziwe.
A więc wieczne. Wygraj jeszcze pół godziny.

GLORY TO THE CAMELS

Na tyle uszła z nas cudowna para,
że godziliśmy się nawet z powodu reklamowego klipu.
Mniej więcej takiego:

Za kontuarem baru siedzi On.
Kilka stolików dalej – Ona.
Nie znają się.
Oto Ona zaczyna szperać w torebce.
On podaje jej w wyciągniętej ręce
otwartą paczkę papierosów.
W tej chwili jej udaje się znaleźć w torebce
swoją.
On śmieje się.
Ona się uśmiecha.

Następny kadr:
Dwie paczki cameli na blacie baru
jedna przy drugiej.
Popielniczka, niedopałki, dym.

Potem znowu
On i Ona wychodzą razem z baru.
Zrozumiałe, w przyszłość.

Napis:
PAPIEROSY „CAMEL”
SAME W SOBIE OKAZJĄ DO ZNAJOMOŚCI

Zostało parę drobiazgów:
dobrać muzyczne tło,
domówić się w kwestii wnętrza i statystów,
postanowić, co z przyszłością.

Najpierw było kilka
niezłych listów.
Potem ktoś z dwojga pierwsze wstrzymało się z odpowiedzią.
Potem to stało się normą, potem obowiązkiem
stało się odpisywanie.
Życie przywróciło na miejsce wszystko, co chcieli.
Teraz pozostaje myśleć:
czy w ogóle cokolwiek było, prócz dymu?

Ale po jaką cholere, potworze,
gasieś swoje żółte niedopałki w popielnicze

tak rozpaczliwie, jak poganiacz wielbłądów,
przez pomyłkę dopuszczony do przyzwoitego towarzystwa?

CALIFORNIA DREAMING

Zapominam nazwy, zwłaszcza hiszpańskie.
Wszystko, co pozostaje – San Francisco,
L. A., a także, bez wątpienia,
Santa Barbara, Santa Monica, Santa Cruz.
Pamiętam szybciej dzięki serialom, których nie oglądam.
Ale jak jest z nazwami ulic?

Wysp i zatok, zalewów? Więzień?
Świetnie, pamiętam chyba wszystkie imiona:
Weronika, Natalia (pomyliłem się, wróć), Natalia,
Weronika, Jarosław B.B, potem jeszcze ten rosyjski
chłopaczek i, oczywiście – Longin.
To, co w nocy piliśmy na plaży,
to była *śliwowica chorwacka* –
Idealna sztuczka, żeby rozgrzać
wewnętrzny świat, czyli jelita, po pluskaniu się w zimnym oceanie.
Wbiegaliśmy w niego, jak w noc,
wybiegaliśmy na brzeg i wlewali
do środka *śliwowicę chorwacką*.
Świetnie, pamiętam, że to była śliwowica.
Ale jak się nazywał ocean?

Tak, niewątpliwie, Chińczyk, do którego
zastukaliśmy dwanaście minut
przed gongiem, to znaczy przed zamknięciem bramy
i kuchni, wybrał sobie nie najpiękniejszą nazwę –
Dragon River – (wyobraź sobie tylko te dżonki
i tego potwora, który wali ogonem po wodzie i zieje ogniem!) ale co,
co było potem? *City Lights*? Jakies skrzyżowania?
Jennis Joplin i inne?

W drodze z Frisco do Palo Alto
pozasypiali wszyscy włącznie z Longinem.
On był za kółkiem.
Ocean był po prawej, księżyc w górze,
życie –
jak i śmierć –
w przedzie.

LIFE IS A LONG SONG

„Popatrz! A taki jeden wyznał,
że się boi śmierci!” –
pokazał na mnie palcem
mądrała z nietypowym błyskiem w oczach.
Zresztą, to mogły być okulary.

Ostatnimi czasy lubią mnie coraz częściej wypytywać publicznie
o rzeczy najintymniejsze.
Na przykład, mój najcięższy grzech.
Co mi się śniło ze środy na piątek.
Czy podoba mi się najwyższe kierownictwo kraju.
Czy chciałbym być sumieniem narodu.
I czego się boję.

Odpowiadam przeważnie tak,
Jak mogę.
Kiedy rozmowa przy kieliszku albo na kacu
znacznie bardziej otwarcie. Kiedy
na trzeźwo – to z rozmysłem
i przeważnie chimerycznie.

Tym razem powiedziałem,
że boję się śmierci
bliskich ludzi.
Głównie przez nieszczęśliwy wypadek.
Choć naprawdę nasze życie jest długie
jak pieśń o Dowbuszu i śmierć trzeba przyjmować,
jak rozstrzygnięcie,
dawno oczekiwane dlatego, że zmęczyło cię śpiewanie.

Ale w cytowaniu najważniejsze – to
we właściwym czasie postawić kropkę,
o czym mądrała
wie jeszcze od ojców-nauczycieli.

I postawiwszy kropkę, gdzie chce, sam się utwierdza jak może:
„Wyznał! Patrzcie wszyscy
na jego strach!”

Tak, naprawdę nie boję się powiedzieć, czego się boję.
Tak, naprawdę boję się nocnych dzwonków telefonu
i e-maili z napisem *sad news* w temacie wiadomości.

Patrzcie wszyscy na mój strach:
oto tak się boję.

Ale we wszystkim innym *to* po prostu pieśń,
długa przepiękna pieśń o drodze do przepaści
czy nie mniej piękna, powiedzmy,
o kuli w potylicy.

BOMBING NEW YORK CITY

Osoby płci żeńskiej zapraszamy do wyjścia –
Do zniknięcia w ciemności.
To numer wyłącznie nasz, męski.
Tak zresztą chciała sama natura,
właśnie tę niepotrzebną pleć obdarzywszy zdolnością
gaszenia bez wody tłącego się ogniska.

Niebo nad nami w gwiazdach. To sierpień, sierpień.
Miasto pod nami piękne niby Galaktyka.
To sierpień, sierpień.
To ognisko, przy którym dopiero co siedzieliśmy.

„To Nowy Jork – mówię –
Przygotować się do bombardowania”.

Zaczynamy niejednocześnie,
ale wszyscy czterej. Strumienie się krzyżują,
miasto pod nami syczy i gaśnie całymi
kwartałami.

„Więcej uwagi na Manhattan – mówię. –
Czarnego Harlemu i Bronxu nie ruszamy”.
„Z Brooklinem i Queenssem skończone” –
dopowiada John,
trochę bardziej pijany i bardziej skoncentrowany.

Zburzywszy Chryslera, Seegram i Empire State
jesteśmy w pełni zadowoleni z operacji.
Zaciągamy zamki w rozporkach, wychodzimy
na bazę, w ciemność, czując się asami przestworzy.

Minie jeden miesiąc – i takie żarty wydadzą się
niestosowne.

ROZCZAROWANIE

J.A.

Uśmiechnij się, chłopcze, uśmiechnij,
 To nie pierwszy raz w życiu przecież.
 Znowu stoisz w tym samym miejscu,
 Tylko nastrój już całkiem nie ten.
 Nic na świecie wszak nie umiera,
 Żyje miłość i żyje honor,
 I tylko Muzyki chimera
 Już nie krąży nad twoją głową.
 Już na plecach ci nie przysiądzie,
 Z płaczem ci się nie rzuci do nóg –
 Rozbita strzałem przysięgi,
 Leży

z twarzą do śniegu zwróconą.
 W nitkach szłochu porozrywanych
 Zaplątana haniebnie, kona.
 I płacze w niebo dzwonami
 Notre Dame osierocona.

I duszy twojej gotyk,
 Łamiąc strzelisty szpic,
 Pod skrzydłem szynelu filcowym
 Niespokojnie i trwożnie
 śpi...

1980

EINE KLEINE NACHTMUSIK

Od Sanu do Donu
 Leżysz oświetlona,
 Od Tygrysu z Eufratem
 po Oslo i Chabarowsk.

Już słońce niziutko,
 Już wieczór bliżutko,
 I mówię ci, matko, mówię, jak syn mówi – „Dobranoc...”
 Lecz najpierw, zanim do jutra zamkniesz

jak bramy swe oczy,

Wspomnijmy wszystkich,
 Co powód mają by nie spać tej nocy lub nie śpią bez powodu:

Twoi kosmonauci
Na stacji „Tryzub” jak zawsze krążą po orbicie;
Twoi nastawiacze
Jak zawsze składają szczęki, kolana i łokcie rozbite;
Twoi pederasći
Jak zawsze respektują prawo (lub go nie przestrzegają),
Albo zarzucają za piec, albo za kołnierz wylewają;
Twoi milionerzy
Jak zawsze liczą zarobione przed chwilą miliony;
Twoi oficerzy
Uczą mowy i musztrują jeszcze nie gotowe
przejsć Desnę bataliony.

Twoje Roksolany
Popod „Bristolami”
Idą za mąż po pięć razy na noc.
Grzeszna i przeczysta, święta i nienawistna,
Dobranoc, ojczyzno, dobranoc, ojczyzno, dobranoc...
Wszystko inne zasnęło.
Zwierzęta w twoich lasach śpią poprzytulane,
Legł osioł z baranem, a tygrys jak z bratem śpi z eufratem,
I na wodach mórz twoich śpią okręty:
lodołamacze, sejnery, trawlerzy, wielorybniki,
kanonierki, dżonki, czajki,
katamarany, niszczyce, lotniskowce, krążowniki,
kutry, trimarany, kajaki,
kanoe, galery, motorówki, galeony, jachty,
barki, krypy, rudowce, tankowce,
minowce, klipery
a oprócz nich osobno – gondole i karawele.
Śpią ludzie w domach, i nawet poeci –
ci johnowie donnowie twoi, donżuani, kondomy –
Nawet oni śpią w jakichś alkowach i niby w okowach
Tkwią w objęciach epileptycznych, gwałtownych swych małgorzat.
Poetów jutro w szaty odziejesz i w ramki oprawisz, tylko rano
Wstaniesz i z szat krew i smarki odpierzesz.
Więc dobranoc, ojczyzno, dobranoc...
Ja też już odpływam, ale słyszę jak gdzieś w miastach swoich rodzinnych
Chyli się do snu także dwóch mych przyjaciół, braci moich bliźnich.
I my się już kładziemy, bołące swe 3 (trzy) pióra na bok odkładając,
I już zasypimy i po raz ostatni już nie zdołamy ci powiedzieć dobra...
Noc.

1992

Smutek dopadnie nas i wyźmie,
Zostawi coś na samym spodzie.
To wszystko skończy się za tydzień.
Maksimum za osiem dni może.

I mokry wiatr zetrzemy z czoła,
I jesień z ubrań postrząsamy.
Nigdy już ciebie nie zawołam
...Więc już się nigdy nie spotkamy.

SONET

A.W. Żygulinowi

W tej całej wiosce nikt nie mieszka.
Wiatry sięją po podwórzach lebiode.
Mrużąc oczy w niebo żuraw zerka,
Chory na kurzą ślepotę.

Wyszczersizają usta puste chaty,
A z gałęzi na starej wierzbie:
„Ktoś ty taki? Ktoś ty taki?” –
Dzikie pytają gołębie.

Krzew dziurawca, złotem obsypany:
„Ktoś ty taki? Ktoś ty taki?” –
Kto ja taki? Żeby to ja wiedział.

Wejdę na wzgórze i przez ramię
Spojrzę za siebie. „Ktoś ty taki?” –
Znów się rozlega.

1985

5 000 000 połyka poranne buliony,
Ich z kolei
 głodne ranne metro połyka.
Jestem żołnierzem budowlanego batalionu.
Jestem nikim.

Jestem nikim dla was, ludzie, bo krew mam po prostu słoną.
Odbijam się w wodach kanałów, dla siebie sam jestem nikim.

W sobie tylko mam krewnych – kolumnę jednym imieniem ochrzczoneą
I nie skończony obraz, co w magazynach Ermitażu wisi.

Dokądkolwiek by mnie życie poniosło
i jakie by mi nadało imiona,
To, kiedy napotkam
Wzrok pytający
stając przed Piotrem Klucznikiem,
Powiem: „Jestem żołnierzem budowlanego batalionu.
Jestem nikim...”

Przenocuj mnie, mój wiśniowy sadzie
T.Szapowalenko

Przenocuj mnie, wiśniowy sadzie,
To już ostatnia ma noc na tym świecie.
Krzyżem się jutro na mych plecach kładzie,
Znakiem rozdroży i sprzeczności gniece.

Przenocuj mnie, wiśniowy sadzie.
Wiśniowy sadzie, sadzie Getsemani.
Bo jutro, jutro krzyż na plecy kładzie,
Jak symbol – czego jeszcze? szlochów i męczarni?

Za chwilę świt i pianie kogucie
Wiatr lada moment rozniesie wśród wzgórz.

Oto mnie już całuje w usta uczeń,
I wiśni smak na ustach czuję już ...

1992

Nagle się wszyscy stali bojownikami.
Wszyscy spod marynarek błyszczą sztandarami.

Ja bojownikiem nie jestem, mówcą ni trybunem.
Ja głupi mam charakter, paskudną naturę.

Ja pozycji nie mam – nie mam nawet pozy.
Tak sobie balansuję wśród wierszy i prozy.

O patriotach pisać w nich nie mam ochoty
Ni o sławnym rycerstwie – jeszcze bardziej o tym.

Jeszcze bardziej? Nie, chyba to jednak przesada.
O Hunach się i Gotach też nie wypowiadam,

O zdrajcach, o janczarach nie piszę, panowie,
Ani o Baturzynie, ni o Poczajowie,

Ani o Kałnyszewskim, ani o Mazepie.
Parzę sobie kawę, przeglądam gazetę.

Chodzę do ubikacji. Chodzę do teatru.
Palę papierosy. Najczęściej to „Watry”,

O ile mi Cameli ani Gaulleaise'ów
Nie przyśle nikt z Broadway'u ani też z Montmartre'u.

KOCHAJCIE!

Kochajcie Oklahomę!, w południe, w noc potem,
Jak matkę i ojca mocno.
Kochajcie Indianę. Południową Dakotę.
Kochajcie Dakotę Północną.
Kochajcie w łunach pożarów Alabamę,
Wśród szczęścia kochajcie i bidy.
Iowę kochajcie. Kalifornii sady,
I palmy szerokie Florydy!
Dziewczyno! Choć błękit twoich oczu nęci,
I jesteś fizycznie bez wady,
Kochanek cię kochać nie będzie miał chęci,
Jeżeli nie kochasz Nevady.
Młodzieńcze! Stokroć silniej od własnej dziewczyny
pokochać jest ci pisane
Dystrykt Kolumbii, obie Karoliny,
Montanę i Luizjanę.
Innych nie będziesz stanów kochał, jeśli
Nie kochasz jak braci własnych
Pół Arizony i sercu tak bliskich
Przestrzeni Alaski, Nebraski.
Miłości tej, większej niż pociąg do bulw,
Niech w duszy twojej gorze płomień.
Virginie – stan i Virginie Woolf
Kochaj. I kochaj Oklahomę!...

wiosna 1992

MÓJ KRZYŻ

Dzisiaj wieczór, a ona – jest z nimi.
Dzisiaj wieje, a ja sam, jak niegdyś.
Oto mój krzyż, zdejmij go ze mnie.
Oto mój krzyż, mnie z niego zdejmij.

Oto mój krzyż. Długo go dźwigałem.
Spotkałem ją, rzuciłem pod nogi.
Oto me drzewo jest – powiedziałem –
A ty mi rozpal z niego ogień.

„We mnie są freski – odrzekła – widzisz.
We mnie świątynie, a na nich iglice.
Jakby maleńki, ze złota krzyżyk.
Jakby na szyję, a nie na plecy”.

A teraz przyszli, mówią: „Czas się rozstać”.
Centurionowie stanęli, jak wryci.
„Weź to maleńkie ze złota szczęście
Zostaw to wielkie kamienne lichy!...”

Noszenie krzyża to dogmat, mówią.
Czasów mnie nowych zmieł żarna ciemne.
Oto mój krzyż, niosłem go tak długo.
To krzyż mój. Zmień mnie.
Zdejmij go ze mnie.

KRÓTKI WIERSZ O KOŃCU ŚWIATA

A jutro znów po prostu będzie dzień,
Zwyczajny dzień, o nazwie – ostatni
Na całym świecie, też ostatnim, gdzie
I my jednostajni jesteśmy – jak w stajni,

Gdzie wszystko jest ostatnie, ale o tym nikt
Nie wie, bo o tym nikt nie informuje,
I nikt nie kuje, nie mle, nie zamiata, ni
Miary z przechodniów też nikt nie zdejmuje

Na to (także ostatnie, jak wszystko) ubranie,
Więc, widać, nago pójdziemy i boso
Szlakiem do nieba, w kolumny zebrani,
Gałązki palmy tylko w dłoniach niosąc.

LIST OTWARTY DO PREMIERA
KANADY BRIANA MULRONEY'A
I GENERALNEGO GUBERNATORA
ROMANA HNATYSZYNA OD PRACOWNIKÓW
KOŁCHOZU „SZŁAK ILLICZA” (PRZEKREŚLONE)
„SZŁAK ILKOWYCZA”

Nie możemy jeść ni pić nie możemy,
Gazety, książki lecą z ręki,
Kiedy quebeccy ciało twoje
Separatyści rwą na strzępki,
Kanado, matko nasza droga!
Niemota twa już dziwi nas.
Czego chcą jeszcze? Czyż, na Boga,
Ptasiego mleka u was brak?
Już nas nie dziwi ta Marianna,
Przez którą bajzel ten i draki.
Pisaliśmy do Mitteranda.
(Nawiasem mówiąc, kto to taki?)
Trza, do Butrosa też się zwrócim,
I do Galego. Pchniemy posłów
Do Anglii. Niech ich pan ukróci,
Hnatyszyn. Żabojadów ostro!
Gwizdnijcie tylko. Wszystko rzucim
I wnet się stawim. Całą wioską.

kwiecień 1992

Dobra moja! O miłości i przyszłości – ani słowa.
Niechaj inny żar swych wyznań wciąż od nowa
Sypie ci za kołnierz, za pazuchę, pod spódnice –
Mnie nie robi to różnicy.

My – w innym wymiarze jesteśmy. Lecz i między nami teraz
Rośnie odległość – woda do luków się wdziera,
Czarna i chłodna, przystań unosi się w górę.
Odpływa z nas które?

Zdaje się, że ja. Nie tracąc cię z oczu, ruszałko jasnowłosa,
Zatrzymam się jeszcze na mostku, zapalę papierosa,
Nasze spojrzenia skrzyżują się w ciszy.
Ani słowa, – słyszysz.

W milczeniu postój jeszcze nade mną krótki moment,
Bo już powoli do wnętrza podwodnej łodzi schodzę,
I luk za sobą zamykam, i fala zalewa go z chlupotem.
Proszę, w mych peryskopach pobądź jeszcze trochę!

WSPOMNIENIE ŚWITEZI

Ten wszechświat jest jeziorem, a świat jest wyspą na nim.
A dookoła wszechświata – bogowie.
Tworzyliśmy prosto, ostro odpoczywamy,
Czas się zatrzymał w siódmego dnia połowie.

To jezioro to jeszcze – misa kryształowa,
W której paruje białe ciepłe mleko.
Przechodzi słońce przez gwiazdozbiór Lwa,
A w piasku kuca mały Lewko.

A świat ten – to jeszcze słoneczna pustynia,
Która się staje rozkosznym ogrodem,
Kiedy ją przemierzają Marta i Krystyna
Przez piasek do stołówki idąc i z powrotem,

Gdzie jedna używszy tamponsu, jedna zwykłej watki,
Doszły ze sobą wewnętrznie do ładu,
I znów na słońcu teraz pieką się mulatki,
A między nimi mulat, lepki, jak marmolada.

A ja z mulatki zdjęwszy amulecik,
Odjadę – nie tak jak wszyscy, inaczej,
I na głębinę rzuciwszy monetę
Za nieświadomy swój grzech tak zapłacę.

sierpień 1992

MARZENIE

Koło miasta Santo Domingo
W Republice Dominikańskiej,
W chacie na palmowych palach,
Mieszka mała Dominika,
Córka miejscowego czarownika, –
Mulatka o oliwkowej skórze,

Długonoga, maślanooka,
Co już skończyła 10 lat.
Gdybyśmy spotkali się wieczorem
Na brzegu oceanu,
Gdzie palmy stoją jak wycinanki
W blasku wody i piasku,
Wziąłbym cię, Dominiko,
Za twe chude przedramię,
Szarpnięciem przyciągnąłbym do siebie
Przestrach w twoich oczach...

A potem przepelniony wdzięcznością
Za to nietrwale szczęście,
Do którego dużo częściej droga
Wiedzie przez bramy aptek,
Gorąco-emocjonalnie
Bym się z tobą, mała, pożegnał,
Obiecawszy ci skierowanie
Do obozu pionierów Artek.

W KWESTII PYTANIA O KATEGORIĘ CZASU

Ojcowie nie mieli skłonności do obstrukcji,
Aż z sił wychodzili, tak pracowali,
A tu im jacyś instruktorzy z instrukcji
Instruktywny instruktaż czytali.
Na wsi taki inteligencik chudziutki
Ocierał czoło złane potem:
„Kochanieńki! Mój ty złociutki!
Tyleś cierpiał. Pocierp jeszcze trochę!
Ten brak pędzli, kremu do golenia
To nie powód jeszcze do wściekłości.
Jak nie wy – to przyszłe pokolenia
Już na pewno żyć będą w przyszłości!”

Ojciec drapał niegoloną szczec swą,
Myślał sobie, że pewnie tak jest,
I ustawiał, nakręcał dziecko,
Że za niego będzie żyło też.

Nam też nie raz śmiać się w kuliak przyszło:
Żółknie trawa i znowu kielkuje.
A tu wciąż się nie zaczyna przyszłość.
Terazniejszy czas dalej panuje.

Coś nie wyszło – prawdę mówiąc wszystko.
Ktoś tu winien. (No, nie naród, przecie!)
Na pewno pełną gębą przyszłość
Będą już jadły nasze dzieci.
Nam oficjalnie nic nie obiecali,
Choć coś podobno zostało powzięte.
Nawet w pieluchy przecież nie sikały
Nasze dzieci, jeszcze nie poczęte.

Jeszcze jeden dzień na tym świecie bez ciebie przeżyty –
Cicho, spokojnie, bez wzruszania podstaw.
Niby kółeczkom złożonej maszyny,
Co się rozeszły, nijak nam się spotkać.

Kręci się pas i walce obracają się lekko.
Niedorzecznie tu rozpacz, gniew i smutek brzmi.
Jeszcze jeden dzień został przetopiony w przeszłość
W tym mechanizmie do przetapiania dni.

Dzień jeszcze jeden zastyga do formy wylany,
Skrzep nie naszych z tobą i spotkań, i słów
W szafce w laboratorium stanie podpisany:
„Dzień, w którym oni nie spotkali się znów.”

Czas jak alchemik pracuje bez świadków, tajemnie,
Lecz ja się uśmiechnąć przecież mogę, gdy
Znajduję jedną czy drugą schowaną przed nim wlewkę,
Któryś z tych, gdyśmy jednak razem byli, dni.

Na skrzyżowaniu jesieni i zimy
Chyba nie warto zaczynać love story.
Pusto jest w lasach, nagie pól przestwory –
Czy w tej przestrzeni się nie pogubimy?

Na skrzyżowaniu jesieni i zimy
Za nic się nie chcę zarzekać niczego,
Ani więzienia, ni smutku, ni winy,
Tym bardziej trąby Dnia Sądnego.

Na dnie jesieni, na samym dnie,
W dnie chłodne, nudne i niemiłosierne,
Powiedzieć – „tak” (albo powiedzieć „nie”)
Nie jest tak łatwo, jak powiedzmy w sierpniu.

I dnia każdego my, jak na wygnaniu.
I do głowy nikomu nie przyjdzie, nikomu,
Że może wcale nie na białym
I nie na jakimś innym koniu

Ale na BMW albo na BMP
Zima wjedzie po oblodzonej alejce
(Dotyk – chłodny, ciemny i tępy
Niby trumna zamyka serce).

I przeczuwając głos trąby rychło,
Czy znaleźć sposób zbawienny zdążymy,
By ocalić tę jesień przekwitłą
Spod ostrych lodowych kół zimy...

ŻAGLOWIEC

Fantazyjnie

W bezwietrzność uciekłem, jak w niewiarę
Ucieka się od tysiąca wierzeń.
Że ja to zwierzę, nagle pomyślałem,
Jednookie, zaszczute zwierzę.

Uciekałem, jak w głód od sytości,
Jak od pokoju i wojny – w nieznane.
I oranżowa ryba bezsenności
Wpływała we sny rozbryzgane.

I mówiła: „Popłyni za progi
Gdzie jak żyję życia nie było.
Pogwałcimy tam prawa przyrody,
Nasze ciepło tam uwiecznimy!

Niczego nie żał! Więc płyni, nie zwlekaj! ”
Lecz kiedy w chłodne wstąpiłem głębin,
To mi rusalka o ustach sinych
Cicho z tyłu szepnęła:
– Zaczekaj...

1984

Komediantko, aktorko, figlarko,
Marionetko, pudrowana lalko!..
Kością w gardle zniewaga stanęła –
Jak dopiekleś, tak i swoje wzięłaś...

Wzorze matki dla całej parafii,
Uśmiechnięta śmiać się nie potrafisz,
Mówisz pokrętnie, kopcisz bez miary,
Że ciebie znoszę – to nie do wiary.

W jasnym płaszczyku ty blond igielko,
W pod samą brodę zapiętym sweterku.

Wiersz mereżkuję. I duszę chłodzę.
A gdy cię nie ma, jak błędny chodzę.

WIDOK Z OKNA KOSZAR

Śniegiem otruła się planeta...
Ptak zamarznięty spadł na ziemię.
Gdzieś Ukraina się daleko
Śniegów błękitnych tli płomieniem.

Brzeg biały załamuje rzeka,
A nad urwiskiem stromych brzegów
Samotny Pieter Brueghel stoi
Pośród rozpaczy niemej śniegów.

Paleta kragła, jakby z pniaka,
Białego płótna białosc trupia,
A w niej brązowy kontur ptaka,
Który bezgłośnie na śnieg upadł.

KRYMINAŁ

(videoclip)

Byłem zaproszony do „Dniestru” – o tym prasa napisze jeszcze.
– Pierwszy dubel! Cisza! Ein, zwei, drei... „Sir, czeka na pana ktoś!”
Irena poetessa czekała na mnie w „Dniestrze”,
awanturnik Iwan Bachstein i Józio, dziany gość.

Wkroczyłem, jak Belmondo, z uśmiechem dla pianisty,
uprzejmie witam wszystkich... Stop! Na diabła Belmondo!
... idę jak młody terrorysta przez gąszcze „Intouristu”,
a nuż mnie wokalista na górnym „do” chce rąbnąć!

Różyczki – damy, dla was „zdechł pies”! Kamizelka. Motyl.
Słaby cień ust. Szampana szal. Butelki i talerze.
– Jak dobrze, że jest to wszystko: kobiety, upał, alkohol!
(Choć naprawdę piłem „Bajkał” i myślałem – „szpanerzy”...)

Reżyser – stare próchno; to wszystko bluff, panowie!
Chciał z nami kręcić niemiecki kryminalny film,
Lecz hipnotycznie za oknem zawisły oczy Lwowa!
I grupy „Lwów” słuchając, ze „Lwowa” puszczam dym!

Dziewczęta-lalki ciągną bar, ciągną dżentelmenów,
a w dżentelmenach czarna krew, niby gryczany miód.
Iwan w rytm walca szepcze: „Pragnę cię, Irena!”
Józio milioner w damskiej wszedł toalety chłód.

Czarowny świat! Brygid! Lolit! Pończochy! Muszle! Przejście!
Nie wrzeszcz, dziecinko – oliwa, prze ze mnie oliwa...
Klasyczny kadr! – seksbomby, yes! Napinając mięśnie
wyciskajcie swe łajno tam, gdzie milioner rzyga...

Spuszczajcie wodę!... Józio znikł. Irena niezrównana.
Co dalej? „Twojam luby!” Iwan transem ścięty,
i dokładnie w pięć sekund Iwana – narkomana
czarną windą posyłam do boga i wszystkich świętych!

A bydlę żre i pije, na sprzedaż się wystawia,
i nie podejrzewa, co się za chwilę stanie tu...
Zostawiam dyplomatkę – „serce swoje zostawiam!”
leci „merc” mój, ciemności nocnej dno rozbiwszy,...

SERCE, RZUCONE W TŁUM, WYBUCHA: – BU! – BA! – BU!

Niebo przepełnione irami trzepotało skrzydłami
a na oczy padały palce niby anioły
o kochaniu i o gaju usteczek o czytaj

KAWA

Natchnienie – służę państwu – jest barmanem:
zaklinacz żmiję, on kawę zaklina
i w płynie wrzącym moją głowę trzyma
biedną, tureckim ściętą jataganem

za brak posłuchu. To prawda, przyznaję,
stałem w kolejce facetów z zarostem,
smukłych cukierków i noży dorosłych.
Lecz jeszcze się nie zapoznałem z rajem.

Woń czekolady, ta temperatura
czerwonych ust i obłąkanych pszczoł.
Wzrok nieznamomej niby wzrok lemura,

aż kostki cukru pękają na pół.
Zaś ja, myślami koło Singapuru
już, wychlapałem swoją twarz na stół.

KLATKA Z PANTERĄ

Tak lubisz wzrokiem badać giętką
skórę, co ciało panny spina.
W panterę tę, na wiarę wziętą,
tulipanową lancę wbijasz.
Ją nauczyli mówić, w nosie
ma jednak kwiaty, to nie syci –
o mięso ten uśmieszek prosi!
W krew! na arenę, neofici!

Upadek Rzymu, ryk pantery,
czad orgii, prądy sodomiczne,
olejki w mózgach eteryczne,
piżmo – poeci złotej ery! –
niech wasze się księżycą blaskiem
przeleją głowy w czasie pełni,
pory, jak przyptyw, wam wypełni
wino i krew smolista – patrzcie –

smagła, piekąca, pręgowana –
bogini, zwierzę, otchłań może?
gumowa lalka? skóra? sama
Wenus, co wyszła z piany morza?
gitara w palcach lowelasa,
na dźwięki wyszukane lasa.

KLATKA Z LWEM

Lew – ten, co krwi wypuszcza kwiaty –
wąsaty maupassant, śmierć z grzywą,
ślicznotek powiew poprzez kraty
wdycha, ich gładkie brzuchy liżąc.

Płyną ich włosy przez żelazo,
uda się rozsuwają, drżące,
ich palce w grzywie, jak wśród lasu
łękliwe sarny, krople gorzkie,

i kryształowe gardła, zwinne
języki, zasze mglą żrenice...
Płacze się słodki oddech w grzywie,
bledną młodzieńcy, ryczą lwice.

PIOSENKA O PANU BAZIU (zaśpiewana przez Wiktora Morozowa)

on święty duch mieszczańskich ścian
on wieczny żyd i wieczny chlām
on międzygwiezdnych krain pył
nieślubny carski syn – pan bazio

w Londynie jest królewski dwór
w Paryżu szansonistek chór
we Lwowie bazio piwo pije
za zdrowie nasze oraz swoje – hej bazio!

astrolog to i spec od kuchni
alchemik miłości i kłótni
na plecach nosi swych ikara
gości przedrzeźnia kar-r-r her bazio

przychodzą prości i książęta
przychodzi flądra oraz święta

ci co zgubili drogę w życiu
na tacę mu złotówki sypią – czort bazio

on to palladyn i muezin
on z mediów medium numer jeden
on to drabiny skrzyp piwnicznej
on wieczny grzyb i bóg traw licznych

pan bazio! gej bazio! her bazio! czort bazio!

dziewczęta sen w objęciach trzyma
król każdej się na tron już wspina
opryszki ciągną je po ziemi
a więdźmy je z krukami żenią

a młodzieńcy idą do bazia
i duszę baziowi sprzedają
gorzałkę piją szklanki biją
i w odmętach nieba znikają

wszystkie dusze w czarnym foliancie
tu milioner a tam aspirant
terrorysta co z andów przybył
jeszcze dantolog i grand gigant

przychodźcie panienki złote
przychodźcie flądry i święte
pan bazio wskaże wam drogę
sypcie na tacę sypcie złote!

orkiestra marsza grać a żywo
bo się ożenił nasz milioner
bo w ustach wener tkwi aspirant
bo skołał z miłości grand gigant

pan bazio... gej bazio... her bazio...czort bazio

ROCK AND ROLL „OLEŚIA”

Uczony kruk
i czarny krzyk
ja śpiewam rock
przez cały rok
maluje bruk

Toulouse-Lautrec
a gwiazdny pył
Neborak pi-
je - zeli trzeba
ja wypić wszystko mogę
Olesia
mnie pasie na nieboskłonie
przez telefon
niczym po scenie gonię
bezdenny mrok
jak morze biorę w dłonie

mam rudą brodę
mam kiepską głowę
mam bladą łysinę
cały jestem w ruinie
to ja
zawisłem za oknem na moment
i jak
wór łajna w dół runąłem
podniosłem się
jak Jean Marais
nasza sprawa
nie umrze nie

niechaj drżą za granicą
niech do madonn skargi piszą
albo do diabłów niech się zwrócą
nam telefonu nie zakłóca

Olesia mi do ucha wyszepcze hallo
????????????????????????

* * *

Grafika lat, drzew oraz zmarszczek.
Smak barszczów, jajek i konfitur.
Leje się światło mleka w garnczek.
I księżyc srebrzy futra lisów.
W piwnicach stoją szczerze trony,
których zdziczałe koty strzegą.
I tchórze są, te kur charony,
czarty, co się po nocach śmieją,
i krótkowzroczne, ciepłe świnię,
psy powłóczące łańcuchami,

do odkopania skarbów skrzynie
i głosy gości są pijanych...

TRZY ELEGIE

(znalezione w butelce po niewiadomym napoju)

I

Zamurowała mnie zima. Zapomniała mnie królowa.
Lustra, organy, witraże, drzewa pokryła gładź lodowa.
Stoją komandorzy na wieżach – smutne posągi, nic więcej.
Za murami – zamarzłe morze, najzimniejsze, najbielsze.
Toną w nim statki, poławiacze pereł się ścigają.
Wszystkich kochanków królowej bermudy ciężkie ściągają,
potwory dna, śliskie i sine... Co widzi to chłodne oko,
planeta metalowa?... Cienie, co dno przerosły. Wysoko
obrasła nimi sufit, gdy ono z mroku je wydobywa...
Nigdzie nie ma kochanej: ni w niebie ni na dnie. Pustynia.

II

Orkiestra ślepców sunie po promieniu lodowym
W dźwięki uciekły konterfekty – bezwase? – siwe? nie wiadomo
na parterze wibrują wina, przeciąg odwraca kartę,
pół stron się przewróciło z nutami i literami.
Zgęstniały w miód cyferblaty, portrety impresjonistów,
jak sny, zastygłe, promienne – potrafię z nimi rozmawiać –
o sobie, myśli, obojętnie, mijam niemo galerię,
bibliotekę. A za nią – zima, gdzie chłodno i ludno,
ale nie zacisznie... Mija godzin koło demoniczne,
jak dożywotnie więzienie, kiedy kochanej nie ma.

III

Kina i dworce – ku światu obrócone ekrany,
co w przeszłość najlepsze dni, jak filmy w Cannes, przegnały.
Altanki, talie i piersi, listy, nie z Wertera rejestru.
I odpowiedź – milczenie Buddy, sto metrów nudy, metr seksu.
To film o mnie i dla mnie, refleksja na dwie godziny,
niezwykła sztuka światła od światła słońca ginie.
Patrzenie wypływa z wizji, do mieszkań ciała przenosi,
otwiera światło telewizji – nam wrażeń, panowie, nie dosyć!

Kolejne odcinki seriali... I kto usłyszy wołanie
czyjeś... daleko – przez dworce: „Nigdzie nie ma kochanej”.

ŁAPANIE RAKÓW (przemówienie)

– Krawiec wody – przeklęty słowik,
stawonogi!
wąsy sobie zapuścił!
Kram jego – topielcy,
kłaskania nie biorą,
dla nich
co kleszcze, co nożyce – wszystko jedno,
WSZYSTKO JEDNO!
„Grand opera” u robaków. Robaki krzyczą bis!
Krawiec wody! esesman! sztandartenführer!
duszę wpuszcza w lilię – niewolnik obowiązku – rak –
sirota nie bez talentu – nie, bo taki nie bez
niebios boże zbaw, bo – raka!

Kościół i trumna
Fundament i Du Fu
Piwo i prawo!
Rak i ręka!

Zarysem w błękiecie – ruchliwa ciemność.
Puszczaj farbę!
Mitynguj! Oburzaj się!
Cofaj! Stosuj taktykę!
Przerabiaj wrzątek! Syp skargami!
Potrzęsaj kleszczem!
Bliźniego sobą nasyc!
Siej swój smak!

PROCES „ZAGŁADA ATLANTYDY”

Majowe rekreacje rozłożyły się w powietrzu. Nie ma ich.
Wchodzą świadkowie. Postarzali. Adwokaci dobierają kolory.
Pod wieczór przez lustra idzie sobowtór. Jak zawsze. Nie zauważa go nikt.
Bierze płytę. Ustawia głos. Gra pod publikę. Takie gry reguły.
Oto fotografie. Mumie. Wzory włosów, liści i metalu.
Totemy i sztalugi, perspektywy, skamieniałe samoloty.
Oto nasze dźwięki, nasze teksty. Hieroglify wreszcie odczytano.
Kontynent więc zatonął. Przyznaję się. Duch – do nieba i w piach poszedł.
– Co to było? Kto się wygadał?
Gdzie się podziało? Skóra prokuratora szara.
Wprowadzają przyjaciół i dziewczyny, montują sytuacje, tłumaczą głosy,

kręcą filmy, piszą muzykę
 człowiek-zwierzę hoduja drogą krzyżowania
 i wypuszczają z klatki na arenę,
 i wśród oklasków zabijają, rozszarpują gladiatora, i spojrzenia i ręce, jak psy
 – Szukajcie w piaskach śladu krainy, powiększajcie, łączcie ziarna piachu
 – Szukajcie w powietrzu schodów do nieba, w mirażowych zamkach mój dawny śmiech!
 – Szukajcie w niebie romantycznego młodego rysu ojczyzny!
 – Szukajcie wiatru! Zatrzymać go! Udało mi się wyjaśnić?

 Wydaje wyrok sąd. Wyprowadzają podsądnego
 wypuszczają w lustro – niech idzie w listopad.
 On listopad porówna z Veralainem i Vivaldim.
 Zapomniany krok do tyłu – jak brama rama złota.

SEANS SPIRYTYSTYCZNY

Stołu przepaść prostokątna. Kot Wasyl z talerza chłepcze.
 Skwierczy świeca, pot na palcach. Kartka papieru – jak menu.
 Niebo się zapadło mętne i wstąpiły duchy w rzeczy,
 języki przy świecy grzeją, w każdym oku – po płomieniu.

– Wzywam Lucyfera! Duchu! Tyś tu? – Czarty wnet przycichły.
 Głos – północny kamień – wprost do tronu Lucyfera zmierza.
 Lucyfer charczy: „Cholera, niech spirytus skręci kiszki,
 nad tym stołem krążyć wiecznie, szlag by trafił tego Bella!!!”

– Duchu, mów imię wybrańca! – Drgnął talerzyk, w wir się wprawia,
 oto już litery składa – S.A.I.D., przez palce przeszło mrowie.
 Cieszy się naiwna pańcia – Maryjko, to jakiś Arab!
 Cóż to będzie po weselu? AIDS – duch na to jej odpowie.

Łopocze skrzydłami przeciąg, kot się rozparł na kanapie,
 kot ma profil dżentelmena, kot uśmiecha się królewsko.
 A u króla – kocie oczy, noże krwawe trzyma w łapie,
 od Wasyla biegnie rura telefonu wprost do piekła.

– Duchu, czy będę szczęśliwa? – Sufit runął pod ulewą.
 W sinym blasku kruk się zjawił jak jakiś czarny meteor,
 rechot z piekła – piana z piwa – filar z otchłani tunelu –
 uniósł w górę stół i grzmotnął grzmot ze słowem NEVERMORE.

Diabłeta wypychały czarne duszyczki w tunel zadami.
 Wrzeszczały i ich ogonów łapały się spirytystki.
 Strząsano je niby gruszki do kotłów, gdzie prima damy
 W smole moczyły swe pyski i wiły się, jak glisty.

Ratunku mi nie trzeba
daj tylko daj tylko
pomarańczę

zimową
porysowaną jak szkło

daj mi całą wenecję
pomarańcz

napełnioną alkoholami światła
i osamotnienia i kruchości rąk

które wyciągają pomarańczę
zamiast ratunku

Nadzieje Drogan

kochaj mnie kiedy już nie kochasz
kiedy masz dość papierosów
kiedy codziennie zakwita twój kaktus
z nakłutymi na kolce monetami
które i teraz znajdują się w obiegu w krainie Drogan
krainie włosów kasztanowych
szarych oczu i nocy
gdzie maleńka Izolda przymierza czy jej do twarzy
z maleńkim imieniem nadia
gdzie Tristan spękanymi jak kamień ustami
powtarza raz jeszcze: kochaj mnie
i wychodzi z malusieńkiego pokoju
kiedy już nie kochasz
jeden papieros zostawiwszy tobie jeden sobie zabrawszy
tobie z wszystkim do twarzy Nadziejo

ROZMYŚLANIA

I

Wtedy mnie nazwą trwałym imieniem,
kiedy narodzę się i mój krzyk

dopłynię do wrót, za którymi królowie
czekają na zbawienie, w nieskoszonej trawie
z młynarzami grając – to w szachy,
to w inne bardziej lub mniej szlachetne gry.
Niechaj wtedy jeden z królów się dowie,
i odwróci filiżankę do góry dnem,
i, dławiąc się fonetyką dawnych Żydów,
wszystkim to ogłosi, spoglądając na rów,
wypełniony głowami niepokornych hiacyntów,
ogłosi, zimne słońce języka przenosząc
z jednego policzka na drugi, klaszcząc w dłonie,
aby królewską uwagę przyciągnąć, chociaż i oni
też już odwrócili filiżanki.

I ogłosi jeden z królów:

„Droży bracia, krew błękitna w rubinowych skrzynkach,
szczodrze obsypana męką (i niziutki ukłon
w stronę zasępionych młynarzy),
droży bracia, czas się zbierać, przygotujcie dary”.

I ogłosi jeden z królów:

„W drogę żaden z was zawiniątka nie weźmie,
bo krótka jest droga”.

I ogłosi jeden z królów,

ku przestraszonym sługom zwracając jasne oblicze:

„Otwierajcie wrota!”.

Czy wrota skrzypią? Czy w trąbę trąbią?

Królowie na kolanach witają wóz z sianem,
witają woła, na którym siedzę,
czekając na imię przygotowane, abym mógł
zbawić, zbawić, zbawić królów...

Świerszcze przyjechały wraz ze mną,
pełny ich księżyc trzymam w srebrnych dłoniach,
i nikt się mnie nie boi, nawet sługom już
lżej na sercu, i przynoszą studnię z krwią,
i niosą pszenney bochen – jak Howerlę
i wreszcie – imię moje, zawinięte
w wyszyty przez matkę krzyk; spieszę się
by je rozwinać, a królowie sprytnie
łapią świerszcze, amen.

II

Słowo „pokój” – jest jak wiatrak, którego
Don Kichot broni, może i niezbyt wprawnie,
za to do końca szczerze: tak pierwszy raz się kocha,
tak matkę pierwszy raz się chowa, tak ceniom

odrąbuje się ręce, kiedy się zauważy,
 że cienie te skłonne są do zła;
 tak oto zło się kończy, flagi powiewają
 na każdej chatynce, nad bukiem i palmą,
 Don Kichotowi dziękują, wzywają do biura,
 chcą zapłacić, żeby kupić sobie przynajmniej konia,
 konia nowocudnego, jak fiat, jak listek wawrzynu.
 „Trzydzieści srebrników wystarczy wam, Don Kichocie?” –
 pyta odświętnie ubrany makler,
 bo maklerzy nie znikają wraz ze złem,
 bo nie zło rodzi maklerów;
 otóż to: czy wystarczy?
 Pańską lancę pokrywają odciski,
 pański koń ma pozbijane kopyta,
 sługa pański schudł, brać, póki dają.
 „Słowo «pokój» – jak wiatrak, co wyrósł z ziarna
 posadzonego na widnokręgu przez martwe obramowania.
 My nie wybieramy wiatraków, my wybieramy
 konie i sługi, i wio; świat nigdy i nigdzie
 się nie kończy, dlatego trzeba go bronić
 do ostatka, a trzydzieści srebrników
 zawsze się przyda” – odpowiada Don Kichot.
 Słowa «świat» się nie wykorzystuje,
 albo się go ma, albo nie ma go ani w sercu, ani w umyśle,
 jak nowego konia, jak laurowego listka,
 jak listu od matki z tamtego świata:
 „dobrego dnia, synku mój kichocie,
 martwię się twoim zdrowiem,
 bądź grzeczny uważaj na siebie i rosynanta
 bardzo tęsknimy za tobą
 i wciąż czekamy aż wreszcie powrócisz
 u nas wszystko dobrze
 nie całujemy bośmy martwi”.

III

Oto wyrosłeś, pałacu, nabrawszy akacjowego zapachu,
 barwy lży; gesty nasze, zapomniawszy nas, odlatują,
 jak nieustraszone motyle, dogadując: „Oto wyrosłeś,
 pałacu”.
 A więcej nic nie wyrosło, tak już się zdarzyło,
 że kolor i zapach nie rozwijają się, są tylko wchłaniane,
 tylko wchłaniane przez białe i ogniste drzewo akacji,
 pałace słone, łachmany.
 Błyszczą migotliwie łachmany na gestach,

które do pałacu lecą, okrążając krąg kolumn, –
i oto już cały pałac w łachmanach,
i cały już zamek zwisa w łachmanie,
bo nie ma do rąbania piękniejszych pokus,
niż jasna budowla płomienia
z pachnącą akacją na wieży,
z kurantami koloru łyzy, bo czas –
to nie więcej, niż płacz, szloch w ciemności,
gdzie nigdy nie było gestów.
Oto wyrosłeś, pałacu,
oto już się ubrałeś w łachmany,
i schody już masz, jak każdy sensowny pałac,
i taras, na który dostojnie się wspinają, a wspiąwszy,
długo regulują oddech i wskazówki kieszonkowych zegarków,
bo tu już inny czas, bo inny tutaj płacz,
bo tu boją się dzikich gołębi – na niby –,
bo tu na obdartych, płonących ścianach
napisy tych, którzy wcześniej tu byli,
i na każdym kroku ich ślady, –
dlatego tak tu nieprzytulnie i niestraszenie,
choć w dole sady i dym –
to my zeszłoroczne liście palimy,
dlatego że na tarasie pod nogami zbite szkło
i zbita cegła, i zbity plusz
i w drzazgi połamane krzyki
wszystkich pałacowych ptaków.
Czytasz i czytasz, kwitnie akacja,
kiwasz głową, płynie łza, –
przykładasz ją, jak pieczęć,
wleciesz się do pocztowej skrzynki.

IV

Nie ze wściekłości rozbłyskują oczy
stogami przerażającymi, pachnącymi;
nie od kwiatów, co schludnie wsiady się
na szybę styczniową, –
zwykłą bryłą heksametru własnego,
wspaniałego,
który wzięto na utrudzone plecy cyrylicy.
Kalendarzyku, uparty Kaleniku chaty,
majątek zmęczenia po robocie splukałeś z fałszywym
nie raz
w poszukiwaniu świąt dla tego niemądrego stulecia,
dla nas niewysokich. Niechaj ci nagrodą

będzie kurz na pustych smukłych kredensach
które od niedawna – niepotrzebne są
narodowi syzyfów.
Jeszcze cygarko ubłagam,
żeby dymem ogrzało płuca skontuzjowane;
noworoczne kartki – ulubiona lektura ostatnich dni;
ostatnimi dniami noszę kornie pochyloną głowę,
niby i naprawdę te kwiaty w oknach
malowałem z nicości; a tymczasem
na kolczastym drucie pies-nieprawda trzepoce,
smukły dym z marniutkiej „Prymy” leciutkim rymem
toczy runo,
ekierkami śniegów ktoś odmierza złotopole,
z siniakami grzechów syn zbłąkany wraca konno po przekątniej.
I tępemu cenzorowi, stałemu w nicości rozkładu,
bosonogi Szewczenko piętnastą głowę odcina,
i tańczy zwierzę wierne, wolne, nagie
w liczbie pojedynczej własnych pragnień, w ludzkich strzałach
i rękach liczby mnogiej.

Trzepocz na kolczastym drucie, psie-nieprawdo,
całuj przeciwgazowe pyski stycznia,
rozlegaj się dzwonieniem na sto na dookolnych gwiazd;
dla poetów – i noc – to tylko świeczka, metoda, czy nawyk,
ty niczemu, nieprawdo, nie wierzysz, uwierz – jestem ostatnim z nich,
bo ciebie pokonałem.

V

W jesienią niepogodę serca opadają z gałązek w kałuże,
kałuże przyjmują zabarwienie szaro-czerwone;
koń stęka w stajni, biją kryształ na wieży,
siedzi żebrak na bruku, płyną archaiczne
fale deszczu nad miasteczkiem, kałuże
zlewają się w jedno, serca w jedno,
wysoka dziewczyna modli się i milknie gniewnie,
na dźwięk organów.
Żebrak wchodzi do soboru, pies przybłąda
wślizguje się za nim, pies z zaropiałymi oczami,
bez serca – ono tam, w kałuży, razem
z żebraczym, i mokre ślady.
Cóż wtedy robi Bóg?
Żebrakowi i psu mleka nalewa,
wysoką dziewczynę po chleb posyła
i o nic nie pyta, przecież jest Bogiem

dla obojga.

Stęka koń w stajni, biją kryształ na wieży,
wysoka dziewczyna mija pierwszy sklep,
i drugi mija, i nie zbiera się
wracać do soboru, gdzie na nią wszyscy jeszcze czekają,
choć chleba już nie trzeba, chleba nie trzeba:
organista zszedł na dół, do domu chleb kupił,
i oddał.

Organy grają dalej: ci trzej do Boga mówią „bracie”,
mleko piją, chlebem zagryzają, czekają
na wysoką dziewczynę, tymczasem deszcz nie ustaje,
dziewczyna wciąż się błąka, jest samotna, nie chce
być samotna, będzie.

Dziewczyna opadłe liście podnosi, z piersi serce wyrywa,
porównuje i szepcze, że zmarła, a to wcale nie prawda.
Woda do soboru zacieka, woda zalewa organy,
każdą piszczałkę, czarną i białą – obojętnie, klawisz każdy.
Organista i żebrak trzymają się kurka na dachu,
pies w rękach Boga: kałuże, serca
wzbierają. „Zaraz potopimy się, bracie” – spokojnie
zauważa żebrak i, żeby tak się nie stało,
Bóg całą trójkę do nieba zabiera. Amen.

VI

Żwawiej w zimę, w niedeptane śniegi.
Szybciej pod niebo, które krukami cywilizowanymi się
zakręciło; jak tu nie uciekać od jesiennych
długów przed wieczornymi książkami, przed sierpami,
które w stodole wołają i błyszczą?
Czy tylko narzędzia błyszczące, potrzebne,
minione wreszcie, dawali na kredyt?
Chyba tylko tomy w miękkich okładkach
rady i soli na wiarę coraz to pożyczali?
A ty przypomnij sobie nie straszone okiem jastrzębie
nad stepami i nie zapomnij nocy,
kiedy wiersz, jak pszczoła, powrócił do ula,
gdzie się narodził, gdzie żył i być może umrze. Zawsze nie na ulicy.
A płochliwa ryba poranna, która tak ufnie,
i po śmierci ufnie, patrzyła na ciebie? Jej
też nie zechcesz teraz zwrócić zielonemu żytu,
piekielniku chciwy, diable zachłanny, czarcie niesyty?
Wszystkie twoje długie ramię przy ramieniu stoja: prędzej
uciekaj w niewesołą swoją zimę; ciesz się tam swymi martwymi naturami
nieprzyswoitymi okrzykami kroków za oknem;

twoje szczęście, siło nieczysta – kordon
jeszcze za Polski między zimą a nami zbudowany;
szczęście, mimo to, nietrwale: wiedz, czarnoksiężniku,
zaprzedańcu duszy, wiedz – na wiosnę powrócimy,
wtedy w żadnej szczelinie kisielu swego cielesnego nie ukryjesz
przed sądem, gdzie ostro, o ostro spytają „A za kogo to wy
się chcecie uważać?” Złapiesz się za włosy swoje przeredzone
i nie powiesz ni słowa, ani nawet nie zaklniesz plugawo
i tak oto, w milczeniu, pójdziesz na długie zesłanie
z zakazem czytania, pisania, malowania,
z przestrogą dla dowódcy garnizonu: sierpa nie dawać,
pszczół hodować nie pozwalając,
a tym bardziej – na jastrzębie patrzeć.
Znajdziesz rodzinę; niepiśmienna córeczka zapyta kiedyś:
„Tato, czy wiecznie już będziemy żyli w zimie?”

VII

Już chata wystyga, już ranek niebawem,
czas konia oporządzić, zbierać się do roboty.
Ryba schnie na sznurku, grzyby i trawy;
drzemiącemu skrzatowi figę pokazują,
a on pogodnie głową kiwa.
Ranek już dojrzewa, już dzień nastaje,
przyniosą gazety z wojnami;
zajadę do brzeźniaka, naskręcam mioteł,
żytniego wilka, może, na skraju lasu się spotka,
pogadamy o polityce i poetyce.
Już dzień dojrzewa, święty wieczór nadchodzi,
krowa wydojona, nietoperze arkan wodzą.
Usiąść na ganku, wypalić fajkę,
popatrzeć jak Mars nad chatą wschodzi,
pofrasować się.
Kilka polan do pieca wrzucić,
skrzata z komory wygonić – niech się pogrzeje;
literę długocierpliwe
z książek w książki się sieją.
Serce pośród nocy rozboli.
Kłode rękami odsunie – „co ja widzę, nie ma mnie”, –
a skrzat pobiegnie po lekarza.
Przyjdą obydwaj ubłoceni z gazowymi lampami,
po cichu będą rozmawiać, będą leczyć.
Leczyć rybą, grzybami i trawami,
skrzat masaż zrobi, lekarz recepty wypisze.
Przybiegnie zbożowy wilk, też ubłocony,

korzeń walerianowy w zębach, i czerwonia lekarzowi
przyniesie.
Pogładzi się łapą po głowie włochatą,
„Nie bierz sobie tak tego durnego serca do serca”, – pocieszy.
Chciałoby się jeszcze wilkowi o polityce i poetyce,
ale się powstrzyma, ostrożnie się pożegna,
inną drogą – żeby koni i krów nie straszyć –
na pole swoje pójdzie w ciemności.
...Już chata wystygła, już ranek niebawem,
trzeba skrzata... tfu, konia oporządzić,
do roboty się zbierać.

VIII

Ukraino, ziemio niepoznana, szybko, do której
wiecznie płonącym czołem się tulę; kajam się –
na papier przenoszę imię twoje zbolale,
dagerotypy, mchem porośłe, z matki-skrytki
proponuję przechodniom, a kto z nich wartego,
żeby smutną ową chorobę – ojcowiznę –
przyjąć do piersi, do tego tak przyjąć, aby
tylko wewnętrznym życiem żyć odtąd, chorobą żyć...
Być może, powiesz: „Beauoplan tak samo był obcy,
a mimo to moje rzeki i wioski, góry i miasta
w wiecznie płynnym kamiennym papierze potrafił wyryć”.
Tak, ale żadna wdowa tam nie przedstawiona,
zatem – w ogóle nie wypada spierać się o wierność
tych, po prostu, rzetelnie-miłośnie-mistrzowsko sporządzonych map.
Bo ile on sierot – choćby kropką
każdą dziesiątkę – zaznaczył? A kobzarzy?
Nie, nie chcę sławy Beauoplana, fortec,
co jak trumny – obliczone na rozkład;
każdy ślad współczesnych orłów i bocianów
w łonie nietkniętego kwitnącego nieba
chcę przedstawić i każdą łzę w połączonych ramach
postawić w salach oleskiego pałacu,
każdą łzę, co jest jak odciski palców,
które obelżywie i na szczęście przynosili
Roksolanie... A konie, które ani razu
przez cztery stulecia nie spały?
A czajki kozackie, a chlupot wody
pod wiosłami ze szczerzego złota?
A dzwony, w których żelaznym ciele
ryto wiersze? Serca położnic,
żywcem zakopanych przez Łachów

tak nie były, jak te dzwony z wierszami.
Wreszcie co tu gadać! Spójrz,
gdzie teraz jesteśmy – zgodzisz
się: tylko dzielny i uczciwy naród
mógł się tutaj znaleźć.

IX

Legenda kusi. Tak i ten świecznik
z wyobrażeniem scen mitologii greckiej
od dawna przyciąga oczy; po kolana te oczy
grzęzną w brzozy, po szyję
i podeszwami nagle dotykają skały –
ciepłych i delikatnych rąk Atalanty,
które zrywają, jak jabłka, – i niosą je
do Heraklesa, który także po pas zapadł się w ziemię,
mocno trzymając zaśnięzone niebo. Wieją silne wiatry.
Ledwie dostrzegalnie drżące dłonie Atalanty
zmieniają świece, bo, żeby ziemię trzymać,
trzeba wyraźnego światła:
zamyślony patrzy prapoc – Herakles –
na króla, który przyniósł mu jabłka,
kłania się, skrycie zerkając:
czemu wiatry nie tykają migotliwych płomieni
świeczek? Te ognie są namalowane, żołnierzu, podobnie jak
i fałdy płaszcza, krwią Nessosa nasyconego...
Potem jeszcze: cienie i rozbłyśki, szmer wody –
jak pył na świecznikach:
wędruje Orfeusz królestwem twardym,
pociętym szramami pleśni;
Hermes zamyślony kwiatek niesie,
właściwie nie kwiatek, a odcisk paproci
prehistorycznej, torfu nikczemnego szmat;
czy Orfeusz się odwróci – nie wiadomo, ale
lirę czemuś przełożył z prawej ręki do lewej.
...W domu bezludnym milcząc siedzę
nad świecznikiem brązowym; kto
i jakimi kluczami drzwi do niego otworzy?
Kto na upragnioną wolność (czy na niewolę wiekiustą?)
Hermesa wypuści, potem Atalantę, Heraklesa?...
Nic o tym nie wiem, napisu także nie ma,
gorzko milczące usta ma Orfeusz, i lira
tak niedbale przedstawiona.

X

Losu swojego nie zna ni pies, ni poeta, ni Zeus.
 Kto wspomina życie poprzednie czy cenę płaci
 wspomnienia sąsiada? Chyba nie jest żebrakiem ten Krezus,
 który wzdraga się wulgarnych, wesołych gości powitać?
 Chyba nie jest bogaczem ten żebrak, który dzielić się z innym
 nie cierpi, a mimo wszystko nie przemija, jak śnieg, jałmużna.
 Ładne było to lato: nie omijali też i przyjaciele
 mojej maleńkiej chaty, i wrogowie;
 wszystkich rad przyjmowałem, bo wino, które zostało z jesieni,
 umiało w prawach zrównywać;
 niektórzy pisali potem krótkie listy,
 ktoś tam mój styl życia oszkalował przed ludem,
 mnie nie znanym; dochodzą słuchy. No cóż,
 także i Horacy, bez wątpienia, kiedyś
 nawet nie raz, pomylił się czynem podobnym,
 ale dość o tym. Ja także ubierałem się tego lata
 w ubranie podróżne, widziałem nieznane wcześniej miasta,
 w rzeczce, która nazywa się Ślucz, ryby łowiłem;
 pięknie mnie tam przyjmowano,
 może i aż za dobrze; nie moja
 to zasluga, a humoru i serca otwartego gospodarzy.
 I nie raz wspominałem ulewę tamtejszą,
 szczerą rozmowę w pobliżu tureckiego mostu,
 cmentarz żydowski, gdzie właśnie dojrzewały wiśnie,
 skały, po których bez strachu hasały małe kozłeta...
 Jeśli będę żywy i zaproszenie znowu otrzymam,
 z radością w dalszą drogę się udam.
 ...A teraz powinienem kartofle wykopać, okna opatrzyć,
 drew narąbać, żeby zimą nie zamarznąć.
 Trzeba jeszcze trochę grzybów nazbierać, dzikiej róży,
 tarniny i głogu, i kalina także się przyda.
 Kłopot z tym, ale rad mu jestem – to wskazówka
 jak trzeba się dalej poruszać; dokąd?
 Wróć do początku tego rozmyślania, proszę.

XI

Szlachetnego nie sława zdradza,
 nie uśmieszek subtelny czy zgrabne ruchy rąk,
 nie sto książek, rzetelnie przeczytanych,
 i nie cudowna znajomość języków obcych
 albo maestria wyszukanego stroju i ozdoby
 i wypielęgnowane drzewo własnego rodu...

Tym bardziej nie pieniądze, nie majątki,
w jakich człowiek – jak rosa na pajęczynie
nie trwała, i każda wada znajduje sobie w niej miejsce.
Szlachetnego wolność, wolna wola zdradza,
one wybrały jego jednego jedynego świadomie
i tak idą, nie mając domu ni pół domu
po swojemu ciesząc się, smucąc po swojemu.
Słów w nich nie widać, tylko widać uczynki,
po tych uczynkach ich poznać;
bez tłumaczy, obcy, w zimie nawet
rozumiecie, wyrazistych. Wtedy już łachy nie obchodzą,
wychudłe twarze nie odstręczają,
jak i promienie, które zaczynają płynąć
z rzeczy, ludzi niezdrowych i zauroczonych zwierząt
które szlachetna wola dotknęła.
Nie wzywajcie jej śmierci. Zamilknijcie,
Uczcie się u niej, dzieci swoje uczcie
niewidzialnymi słowami; pamiętajcie,
że świat nie kończy się na was,
bo wasze rany wysysają szkoły leśne
albo aszramy, gdzie naukowe pomoce
to wasze blizny, a pędzle i papier –
włosy, skóra, ból, wreszcie wasze.
...Na przekór woli jesień pokochajcie
bo pięknie powiedziałeś, proroku:
„Do jesieni jesteśmy tacy podobni
kropla w kroplę na obraz boży, –
rzecz jasna, że nie wszyscy, jednak
– przynajmniej niektórzy.” Szlachetny
najmniej o śmierci myśli, a
i tak nie umiera, najczęściej.

NONSENS

a w wiosce Poniwki w starej wieży ciśnięć
 dwóch pierwszoklasistów zgwałciło nauczycielkę
 przyjechali strażacy zaczęli gasić
 tymczasem w Kyświe dom spłonął do szczętu
 lekarz w ciepłej kupce popiołu
 długo mierzył ciśnienie
 tego samego dnia we Lwowie ni z tego ni z owego T-34
 zjechał z postumentu przetoczył się skwerem
 tuż obok czołgu biegł rozchełstany staruszek
 usiłując wetknąć kij między gąsiennice
 ogień się dopalał Dniepr pluskał
 chrypiąc z natężenia
 modliłem się do Pana by mnie co prędzej zabrał
 sznurek się urwał kasały komary
 przyjechali strażacy zaczęli gasić

SI-SI-SI

można zawołać kici-kici-kici, i kotek
 zrozumie i podejdzie nawet w warszawskiej kawiarni

można zawołać cip-cip-cip i kurka
 zrozumie i podejdzie nawet na istambulskim bazarze

można zawołać fiu-fiu-fiu, i pies zrozumie
 i podejdzie nawet w moskiewskim metrze

można zawołać si-si-si i koza zrozumie
 i podejdzie nawet w amsterdamskim porcie

będę spływał krwią w wiosce w nocy o
 trzy kroki od swojego domu i nikt się nie znajdzie

chyba tylko koza wyjdzie z komórki, chuchnie
 ciepłem w policzek, obwącha na ostatek

ŚLEPE KONIE

we mgle
 pasą się
 gryzą

PIEŚŃ O POWIATOWYM CENTRUM

z wszystkich koziatynów najpiękniejszy jest dla mnie korosteń
ale gdzie mu tam do szyszaków
azbest także niczego sobie miejsce
nie gorszy w zasadzie i antracyt
jednak tak-tak, przypominam sobie też kobyłaki,
kochane, piękne, młode, wonne
i niedrygajłów, rodzimy niedrygajłów
(a o chersonie w ogóle milczę)
tak samo lubię wszystkie konotopy,
mańkiwki, gadacze, ciurupyńki, charciszki
lecz z wszystkich tych miłych szepietówek
najmilszy z wszystkiego na świecie...
boże mój
budzę się i płaczę, nie przypominam sobie rodzimej,
kochanej, pięknej, młodej, wonnej
– mojej ałupki
jednocześnie pamiętam
przeświałone twarze rodzimych ałupczan
a przy tym nie mniej przeświałłe twarze
zdolbunian, krematorczan, sarnian
koziatyńców, antracytian, czortkowian
zmerian, hadian, herjan i korostjan,
– wszystkim dzięki, wszystkim pokłon do ziemi,
za chleb, za wodę, za słońeczko jasne,
za szczęście całego naszego narodu,
za to, że wyprowadzili mnie na ludzi!

RYBA ABSURDALNA

Dalejże, okularami,
I robiła za okulary, potem za oprawki,
potem same szkła.
Dalejże, rybą
i robiła za rybę, ryba popłynęła
w niej, wypłynęła, upadła mokra na kilim.
Dalejże rowerem
I robiła za rower, na przemian za kierownicę
siodełko a potem otworzyła przybornik
z kluczami i za wszystkie klucze.
Dalejże, paszportem
I robiła za mój zagraniczny paszport
nowiutki, pachnący jeszcze farbą

złożony, otwarty, potem tylko za kartkę z moją
fotografią,
Dalejże, jeszcze czymś takim, co łaskotało nerwy
budziło żądze, wywoływało mdłości, dodawało
słodczy. A potem na kolanach obchodziła
ikonę i prosiła o dziecko. Choćby i rybę
jakąś absurdalną.

STO LEGEND O SŁOWIE HONORU

Słowo zucha.
Słowo pioniera.
Słowo komunisty.
Słowo pederasty.
Słowo burżuja.
Słowo chłopca.
Słowo prostytutki.
Słowo kolonisty.
Słowo żebraka.
Słowo monarchisty.
Słowo lewe.
Słowo prawe.
Słowo trzeźwe.
Słowo pijane.
Słowo głuche.
Słowo nieme.
Słowo ni be.
Słowo ni me.
Słowo kapitalistyczne.
Słowo nacjonalistyczne.
Słowo onanistyczno-marazmatyczne.

CHŁOPIEC Z JASKINI TESZYK-TASZ

faraoni, psu na budę wasze piramidy
carowie, psu na budę wasze trony
królowie, psu na budę wasze pałace
wodzowie, psu na budę wasze mauzolea
prezydenci, psu na budę wasze rezydencje
 chłopiec z jaskini teszyk-tasz
 już upodobał sobie kamień
 już przymrużył oko
 już umoczył pióro

NOTATKI RASISTY

murzynożercy nie jedzą Murzynów
mongolożercy nie jedzą Mongołów
europożercy nie jedzą Europejczyków
ukrainożercy nie jedzą Ukraińców

czyje więc krzyże sterczą z naszej ziemi
czyje sieroty płaczą
czyje mlaskanie słychać

SZCZĘŚCIARZ

będziecie topić – na próżno – wypłynę
zarzucicie pętlę – a wała – wyśliznę się
oblejecie benzyną – i nic – lunie deszcz
będziecie rżnąć – och jak strasznie – złamiecie ostrze
będziecie strzelać – ha! – a ja w pancerzu

weź mój pancerz, Ukraino

HASŁA NA 1 MAJA

1. Pod sztandarem ojca Machno – naprzód, do nowego porządku!
2. Niech żyje marksizm-leninizm, bi-, trans- i homoseksualizm!
Zboczeńcy wszystkich krajów, łączcie się!
3. Niech żyje GRU – prekursor i organizator kapitalizmu w ZSRR!
4. Braterskie pozdrowienia dla muzułmanów, żydów, buddystów, baptystów i adwentystów dnia siódmego.
Uspokój, Panie, dusze wojowniczych ateistów!
5. Kobiety lekkiego prowadzenia! Walczcie o pomyślne wykonanie zadań pięciolatki! Nowymi zdobyczami pracujących powitamy Czwarty Ogólnoukraiński Zjazd Prostytutek!
6. Mafiozi! Bierzcie aktywny udział w zarządzaniu państwem, poszerzajcie zamówienia rodzinne!

8. Włóczędzy i bezdomni! Zewrzyjcie szeregi! (Tak ciepłej).
9. Pionierzy i uczniowie! Kochajcie płomiennie! (Ministerstwo zdrowia ostrzega: stosowanie prezerwatyw chroni przed AIDS)
10. Hurra!
11. Nalewaj!
12. Aby nam się!
13. Jeszcze po jednym!
14. Na koń!
15. Wyprzęgajcie, chłopcy, ko - o - nie!

NACIĘCIA NA PALCACH

zapomnę tych, którzy wieszają naszych chłopców, zapamiętam
tych, którzy czepiają się ich nóg, by szybciej przerwały się kręgi
szyjne

zapomnę tych, którzy palą nasze książki, zapamiętam tych,
którzy grabią w żarze pogrzebaczem, żeby wszystko spłonęło do
szczętu

zapomnę tych, którzy wydłubują nam oczy, zapamiętam tych,
którzy je kolekcjonują

zapomnę tych, którzy kładą nogi w butach na stół, zapamiętam
tych, którzy co rano czyszczą im te buty do połysku

zapomnę tych, którzy gwałcą nasze dziewczęta, zapamiętam tych,
którzy trzymają świeczkę

zapomnę tych, którzy pluą w twarze naszych świętych,
zapamiętam tych, którzy uczą tego nasze dzieci

daj boże pamięć

daj boże

daj

A PO CIEMKU ŻŁE

kocie,
na próżno się myjesz
nie czekam na gości

kukułko
nie mnoż lat
i tych mam za dużo

dziewczyno,
idź po wodę –
śmieję się z pustych wiader

wróżko
nie kłam, jesteś siwa –
powiedz prawdę

muzycy,
utnijcie coś marszowego, no –
dobra, wesoło zagrać na moim

panie
oświeć duszę –
a po ciemku źle

BŁĘKITNE NIEBIESKIE FILARY

kobieta
leżała na ginekologicznym fotelu
okno było otwarte, chłopcy
wspinając się na wysoką podmurówkę, zaglądali
do ambulatorium,
stary felczer w gumowych butach robił
kobiecie aborcję,
rzucał skrzepy krwi do białej
emaliowanej miski pod krzesłem,
stary, milczący, w okularach,
które zsuwały się ze spoconego nosa, felczer
chybił, strzępki ciała raz po raz spadały na
but,
pies który chleptał z tej samej miski,
rzucał się za każdym strzępkiem, warczał na dzieci,
wylizywał but, znowu

przechodził w pobliże miski, może
byłoby lepiej, gdyby w swoim czasie i mnie
wyskrobał z brzucha matki niedowidzący
felczer i nakarmił
na oczach dzieci psa, a ja
bujalbym sobie pośród błękitnych niebieskich filarów
i nie nudził się światem

TEN KIELICH

Numer mojej metryki – 651
Kwatery na cmentarzu (zaciszne miejsce, wytargowałem
u dozorczy za litr spirytusu) – 652
Legitymacji komsomolskiej – 653-0
Uchwały Komitetu Rejonowego o wykluczeniu z szeregów
Komsomołu – 654
Dowodu osobistego – 000655
Sali w przytułku dla włóczęgów – 656
Książeczki wojskowej – 65/7
Więzienia o zastrzonym rygorze, w którym siedziałem za
dezercję – 658
Dyplomu ukończenia Uniwersytetu Kijowskiego – 659
Zaświadczenia dla bezrobotnego – 660
Legitymacji Wszechzwiązkowego Ochotniczego Towarzystwa
Walki o Trzeźwość – 661
Kwitu z izby wytrzeźwień – 662
Mieszanej polisy asekuracyjnej – 663
Dozymetru (jeszcze nowego, kupionego na ulicy) – 6-64
Zaświadczenia lektora propagandy ateistycznej Towarzystwa
„Wiedza” – 665
Świadectwa chrztu w cerkwi Bożego Narodzenia w wieku
33 lat – 66(7) 8 (poprawione ręką kapłana)

ZNAK PRZESTANKOWY

coraz więcej tekstów
piszę bez znaków przestankowych
coraz bardziej się boję
postawić nie tu kropkę
nie tak wykrzyknik
przewracam się pośród nocy
biegnę do stołu łapię długopis
wykreślam znaki przestankowe

darujcie mi znaki
ale muszę się was pozbyć
bo moja matka moja siostra mój ojciec
nagle stali się modernistami
nie chcą znać
żadnych akcentów
żadnych pauz
żadnych apostrofów
żadnych myślników
bezprzerwy na wyścigi aby dużo
oto nowa gramatyka
ich życia

bosaiprostowłosabiegnienocąksiężycowymbitym
szlakiemkobieta
dokąd to, mamó?

CZYTANKA DLA PRZEDSZKOLAKÓW

kro-wa

Krowa stara.
Krowa głupia.
Krowa głucha.
Krowa bezroga.
My pijemy mleko
od starej, głupiej, głuchej
bezrogiej krowy.
Innej u nas nie ma.

KONFERENCJA RDZENNYCH NARODÓW

skąd wiedzie ten bity szlak
zapytajcie Indianina

kto idzie tym bitym szlakiem
zapytajcie Afrykanina

po co iść tym bitym szlakiem
zapytajcie Żyda

Ukraińcu, dokąd wiedzie ten bity szlak...
zdejmijcie mi opaskę z oczu

SOBOTNI SAMOLOT Z PARYŻA

co sobotę gdzieś między piątą i szóstą kiedy wszyscy
zbierają się do kolacji nad naszym terytorium przelatuje samolot

stamtąd wiezie dziesięć ton rozbawionych pasażerów tutaj
sto ton nostalgii bo to samolot z Paryża ni mniej ni więcej

w tym czasie wszyscy spoglądają w niebo i kozy i obłożone
podatkami jabłonie i śliwy i dzieci i babcie pod kościołem i miedze

na miedzach rośnie czarny bez i kalina i wszelka bezimienna
trawa

tu czas zgęstniał jak kogucik na patyku słodki wiśniowy
kogucik to terytorium naszej duszy

a ścieżki Pańskie biegną aż hen za górami

jaskółczą robotę tu niekiedy wykonują ludzie bo jaskółki zbudowały
kościół wtedy kiedy ludziom zabronili

i oko z dzwonnicy na wszystkie strony patrzy szukając śladu
Pańskiej stopy

a że chodził tędy Pan to starsi ludzie mówią że to prawda

a jeśli nie Pan tu chodził to Dziewica Maryja na pewno
stał bo skądby się tutaj wzięli ludzie

ale i ludzi tu nie ma jakby nie widać tak zjawiają
się co sobotę koło cerkwi

a miedze tu są i kozy są

niekiedy w dzień można spotkać kamień co sobie dokądś idzie pijany
gdzie się
wybrał nie powie jak to kamień

niekiedy sam z siebie jedzie wóz

co roku w czerwcu kwitnie lipa

a babcie i dzieci pod cerkwią tylko w soboty gdzieś tak między
piątą i szóstą kiedy nad naszym terytorium przelatuje samolot

tutaj nikt nie wierzy że człowiek pochodzi od małpy
bo nie ma z kim o tym porozmawiać ale co sobotę na dachu cerkwi
ukazuje się
Pismo Święte

i babcie te które umieją latać czytają go i przekazują
dzieciom

niebo ma tutaj właściwy kolor bo innych nie ma a czwartek
czysty choć mówili że był jeszcze jakiś lecz o nim już zapomnieli

kalina tu też jest skrzydlata a kwiaty same siebie malują na
ścianach chat

to terytorium naszej duszy i dusza oddała się stąd dalej
niż na pięć kilometrów zamienia się w glinę

glina tutaj jest biała przeważnie zdarza się również ruda

ale naprawdę ruda nie jest to trzmiele ją tak przemalowują

o jedzie wóz sam z siebie i macha skrzydłami samolotowi
więc to sobota gdzieś tak między piątą i szóstą

o świcie w studniach widać gwiazdy więc pochylać się w studnie
nie należy

bo można wypaść z tamtej strony ziemi a wtedy
czym wrócić z powrotem

od ciszy czasami dach idzie na chatach dokąd i po co nikt nie wie
ale w tym czasie z reguły nie ma deszczów

deszcze tutaj zrzucają żabki ale żabki szybko
dorastają i gdzieś się wynoszą

od czasu do czasu ptaki podrzucają komuś złoto kolczyki
obrączki itd.

wybierając się tutaj przemieniasz się cały w pyłek kwiatowy i
odtąd już pszczoły od ciebie się nie odczepią

to terytorium duszy nic nie poradzisz a samolot w soboty
leci i już

TEKST NR 1

o bezkresny o niewyczerpany o niewysłowny świecie form
wykrzykuje Miłosz ukłuwszy się o kaktus
metalowe kochanki pieszczą ten twór przyrody
szykując się do czegoś bardziej metafizycznego
wszystko odbywa się w czasie teraźniejszym i śnieg
zbija się w płucach brązowych dni epoki
a miejsca tam dosyć tylko dla spowiedzi

bo Duch zstępuje jedynie na wąskie grono wybrańców
i jeszcze na paru redaktorów Bożych pism i obywatelskich
testamentów orkiestrowe marsze krwi znów szepczą Europie
że od dawna już nie jest dziewczynką
schody zarastają trawą wszystkich tych metafizycznych przysięg
piwo piszczy ponad narodami
na Mesjasza zstępuje
błogosławione milczenie a więc
przez czas milczenia można patrzeć w
w intymne szczeliny zamku

oto za tymi drzwiami toczy się bitwa
za tymi śpi złodziej czasu
za tymi bohaterski obrońca księżycą przed kobietami
przed zlocistymi złościami które spią popiół pod
drzewa które strzelają zębami i paznokciami
w gardło ostatniemu który ich nie lubi
w oczach złotego kamienia wspomniany i wieczny
napój byłem takim kamieniem szarym
upiłem się miłością i czeka mnie piec dantejski
dantejski krąg z siwym i sennym Dantem
który delikatną pincetą wyjmuje z
puszki serca dobijam z nim targu
jest kapłanem zapomnianego kultu
chwało- czy falloterapeutą
na mój turecki uśmieszek fałszywie
odważa gruszki i trochę suszonych moreli i
trochę chałwy wam niebios pastusze
wam przydałby się kozi ser i postne wino
bo wódka to tłuszc chłopskich spowiedzi
to biała kurewska krew kiedy rozwiąże język
jak szalik czy rękawiczkę
weselną finalną smutną zielonoświątkową
zielone świątki nasze dni w zielone
świątki to smutne i brązowe konie

które mają płuca zapchane śniegiem a w nas
zebranie ławy oskarżonych na wieczny
i senny Kazbek a w stronę Golgoty już
odjechali posłańcy więc i my też tam
umownie obecni bo oglądamy
paradę kolorowych karłów a także
samonakłuwanie się metali i innych...

wszystko jest wieczna harmonia cała jest wieczna harmonia
o niewysłowny świecie form
nie dotykam kaktusa kłującego logosu
moszczę się we własnym głosie jak
grudki wspomnianego złotego kamienia
w torbie poszukiwacza złota który z nami stwarza czas!
zawsządnę ciągnie się włoka
jeszcze nie zebranego przeze mnie cła ze znamienitego pola
pole odpłaciło mi niedobrem ale chata wyobraźni
napęnia się tym czym teraz i sto lat temu bogacił się
jeden człowiek nawet i ochrzczony tylko imię jego zwierzę
zwierzę bo głupiec bo walił piersiami o skałę
ze słowami nikogo nie skrzywdziłem skrzywdził!
Imię Pańskie i czas i to wydzierżawione pole
jestem kamieniem złotym i milczącym o świecie form
sam jestem dłużnikiem ale i zbieraczem długów
nadaję się wymierzenia winy i pierza głosu i logosu
popiołu i krematoryjnego rytmu państwa
i jasności słońca nad Austerlitz

nie chcę szturmować fortecy
która sama padnie pod nogi wrogom moim
nie chcę paść owiec
po to by dzięki nim rośli w siłę moi wrogowie

ten który błaznów uznał za filozofów
a filozofów przekonuje że są błaznami
jeszcze nie wie jaki kamień spadnie na jego miasto
jakie fortece zostaną zbudowane z tego kamienia
jakie latające świątynie ominą te źródła
jaka spóźniona iluminacja
zatrzyma filozofa co już ustąpił błaznowi

jednak szturmuję fortecę
która sama padnie pod nogi moim wrogom
klinę uparcie suczych wrogów
jednak pasę owce
w nadziei że wypasę wilki

o świecie form! o formo spowiedzi!
chwałę obrzędowi zbierają uszy Bacha
jak siatki motyli tak wieże ratusza
filtrują czas precedzając przez kapelusiki
żelaznych pańienek ostatnie sekundy cnoty
tak ryba szepcze w ucho Güntera Grassa
zieloną piosenkę o trawie o lebidzie
w ukraińskim słowie „step” i o radości owczarków
na widok człowieka czy człowieczka

o formo krzyku! czerwonym kwadratem wprasowano w piersi
milczącą maszynę maszynę porównań i uogólnień
Karola Marksa i Friedricha Tampaksa pod tłustą
polewą z czekolady dla odciążenia swoich ofiar
od walki klasowej
i wieczne zgubne kumoterstwo gotowe nas dalej wołać
w bagno tam pochowały się różowe jelenie z
prymitywnych chłopskich obrazów i łabędzie spod
cerkwi jesteśmy biedni jak cerkiewne łabędzie a czego to
nie nachowaliśmy w oczekiwaniu na Chrystusa ten cukierka
dla niego ten orzeszek ten szalik i rękawiczki
ten prezerwatywę a ten miniaturowy model miejskiego ratusza
i buławę ABBA OJCZE! nasi władcy już
doczekali się ciebie i narcyzy i egzorcyzmy
oderwały się od luster

kiedyś w pijanym widzie opowiesz
i zrozumiesz okno wciąż jeszcze otwarte nie dla tego kto
przychodzi codziennie zwyczajny jak sól

gdyby z obciętych paznokci
zakopanych koło progu przebiły się róże
gdyby szafranowym proszkiem przypalały powieki
i ty znalazłbyś swój wiek
wszystkie nerwy byś spalił za tydzień czy nawet za rok
a potem dopiłbyś resztę dni

władza popiwszy obkłada cię podatkiem
od krzywdy przez nią samą zadanej
podatek gruntowy zapłaciłeś poglówne tylko połowicznie
spłacisz pokrywane krwią

tak skazany na karę śmierci
staje się krwiodawcą dla swego chorego kata

rozpalony stalowy pierścień baroku
spadł ci na dłoń i wypalił oko na dłoni
kiedyś po pijanemu i teraz dawno już martwy
dłoń podnosisz i każdy widzi

kultura –

karmelkowy kogucik na patyku którego już do znudzenia
nalizal się zahukany naród

biedny Hector Berlioz

tak przychodzi pamięć z niepamięci jak Chrystus
O świecie form! O państwowe herby drzew! O opętani!
O-O-O-O-O!

z takimi okrągłymi O! sąsiedzka kwoka siedziała
wysiadując słońce a nasza kwoka księżyc
a jeszcze byłem maleńki a ludzie wielcy i dumni
ale to było tak dawno! tak dawno!
tak dawno i tak okrągło
gdzie ci ludzie są teraz takie krągłe ich mogiły
gdzie ta duma teraz płacze z pamięci kroplami
kobieta to niedorobiony mężczyzna żartował Tomasz
Akwinata moja ukochana to niedorobiony ja
nasza krzywda to niedorobiona przez nas prawda –
a to wszystko Ty Panie! my przecież ufamy

tam na niebie błyszczy kamień złoty przez kogoś
porzucony ja o świecie form!
brunatne fale chloroformu tylko nam
odstąpić od łóż
a wysycha ciało pod opuchniętym słońcem mędrkowania

gdyby rozwiesić na wietrze jak lotniczy rękaw
dżinsy Allena Ginsberga zgrają impotentów
jak latające ryby przeleci koło nich
jak przez magnetyczną ramę ust Buddy
ruski bałajkarz Rawi Shankar siedzący na podwiniętych nogach
metr nad ziemią i w budionówce
wskaże Ty zapisałeś się?
marsze karzełków dalej zgęszczają krew
do konsystencji mleka świt przez lupę historycznej
niepamięci spostrzega jak w bańce z pajakami
pożerają siebie Ukraińcy
dużo mniejsi od pajaków bo Ukraińcy
to takie motyle z oberwanymi skrzydłami
skrzydła mają bardzo kolorowe i kształtem

przypominają kontury ich ojcowizny
zagubionej niepoliconej przez biografów lzy matki Bożej

ta smutna narkotyczność na dworcach ta ojczyzna-walizka
te wytrenowane gesty kalek i symulantów jeśli ja grosz
to we mnie nie ma mnie i nie w smak wam mój płacz
i nie dom wam mój płaszcz płaszcz kamienia

takie słowa wkładał święty Tomasz w usta osmalone
przez prawo i bezprawiem połykał ogień i łyk
poczynania zwątpienia w stare lustro
że te słowa stawały się potem w czyichś ustach błękitnym zębem
z kropelką trucizny dla każdego kto krzywo się uśmiechnie
w stronę ojczyzny i Chrystusa

i jeszcze lilią i jeszcze zielonym makiem
i makowym mlekiem
o Allenie Allenie twoje dzieci to kwiaty na dzinsach

czy dziką różą języka owinie się krzyż i
wiśnia w krajach gdzie stertowano motyle skrzydła
lubią wiśnie sadzić na cmentarzach

sterty motyli skrzydeł płyną we mgle
wczesna zima jak wczesne dziecko doczepiona i niechciana
o świecie form! w takiej zimie
poeci przecedzają się przez siebie a poeci to złudne gardła
piaskowych zegarów
pod hurkot kroków Mikołaja
twoi bezdomni świecie powycinani jak tytoń
twoi skrzywdzeni świecie to dzieci deklaratywnej prawdy
ich ręce krucha makowina wyciągają się do nieba
twoje szczęście świecie to jak najdorodniejsza Ewa
Medea czy jakaś inna suka czy jeszcze jakaś ferma prawd
bo takie uroczysto kolorowe dymy upajają w płucach
i efekt odwróconych okularów jest ostatnim ratunkiem
aby oddalić siebie wybielić siebie przelać
siebie w nowiusieńką formę jeszcze pachnącego mlekiem Ja

DYPTYK NA TEMAT POEZJI

I

pytają
 – po co jest poezja –
 jakbym był poganiaczem ich wiatru
 pastuchem ich wody

przynoszą suche źdźbła
 szaleństwa
 obmurowują nimi swoje wiotkie
 łodzie
 i spółkują jak głuchoniemi

po co poezja
 chyba mogę zdradzić tajemnicę
 jaką czasami w sobie odkrywam
 w jasnych pasmach złotej wody

po co drzewo
 po co ptak
 po co złota skorupa słowa
 rozłupana na dziecięce zabawki

pytają
 milczę
 milczą
 pozostawiam to pytanie
 zapisane kijem topoli
 na piasku
 może woda go nie zmyje

ale białogłowa fala
 zabiera je w pierwotną
 głębinę morza

II

kilka pytań pozostaje bez odpowiedzi:
 biały papier – czy łatwiej pisać na piasku
 na kamieniu w powietrzu Być poetą
 księgi powietrza poetą księgi piasku
 poetą księgi wzgórza. Lepiej być
 białymi szatami – zakreśloną literą –
 ważne być ziarnem piasku –

żrenicą ryby – pamięcią rośliny –
ciągnącą się krwią kaktusa

ważne iść manowcem z kijem
lecieć motylem światła – jeżem ciemności –
amfiteatrem morskiego dna – głuchym dźwiękiem
ważne iść do domu – wejść do domu – mieć dom
przywyknąć do przedmiotów do zapachów do siebie –
jakich odpowiedzi szukasz jakie znasz jakimi
rozetną mieczami – na jakiej wojnie –
czyjego żołnierza jakiego wojska w jakie czasy
czy poetę – ale ważne iść i ważne patrzeć

zaczynasz patrzeć wewnętrznym wzrokiem
pisać: o spowolnionym myśleniu – widocznym odczuciu
jeźdźców w białych szatach – księgach elińskich
rzymskim powietrzu – chwiejnej kładce wiary –
światlistej linii szlaku – połyskliwych kolorach
ziemskich łąk i polan – owocach ziemskich i zwierzętach
chyba nikomu nie przykładać muszli do ucha – i słuchać
porywistych potoków morskich wiatrów – i twojej
samotnej pieśni

stać w jaskini światła – i patrzeć na proch Rzymu
w wody lichtarzu łapać spojrzenie niby rybę

być piwosem smutnym – chodzić ziemskimi łąkami
słyszeć pełznącą żmiję – myśleć ciała ruchami

astronomiczną teorię wykladać przy pomocy zapalek
poetów Chin czytać – wyjąć zza pazuchy kamień

widzieć wszystko jak jastrząb: wiosny i lata zmianę
pisać językiem znaków przejrzystym jak dzieci małe

być rośliną – miastem – i mieszkać w celi maku
okien tego mieszkania nauczyć się jak mapy

i dziwić się wszystkiemu – i mieć pięć bochnów chleba
nimb łamać jak obwarzanek – nakarmić kogo trzeba

nudzić się światem – przy świetle pisać w wierszach powieść
czasem patrzeć na rzekę – czasem w oczy pieskowi

O HAMLECIE

Hamlet przechodzi z teatru do teatru

(zapewne to kwestia konfliktowego charakteru)

zostawiając osławionych reżyserów

w kompletnej rozterce
czy tak czytać *ten monolog*
czy tak nie czytać

ich wskazówki wprowadzają w pomieszenie aktorów

aktorzy wprowadzają w pomieszenie widzów – którzy też usiłują zrozumieć

skąd przychodzi duch Ojca – co zmarły król mówi synowi

dlaczego zdrada jest taka śliska – jak zmija –
czemu biedny Yorick jest szczęśliwszy od tych
którzy patrzą na jego czaszkę odsuniętą przez but Hamleta

no cóż głupota ludzka – przechodzi wraz Hamletem

z teatru do teatru

płodzi –
:pułki reżyserów
:dywizje aktorów
:armie widzów

idiotyczne komentarze szekspirologów
i recenzentów teatralnych

i nie da się tego przezwyciężyć

1/ ofelio – dziewczątka z przedmieścia – siadłszy na brzegu oceanu
– dodaje przypływy wątpliwości – i odejmuje odpływy pewności
– na pewno pomyłę się w podsumowaniu jako że nie znam matematyki
– nigdy nie wierzyłem że miecz: przedłużenie życia a żdźbło: przedłu-
żenie śmierci – że anioły niebieskie kiedy zbierają się w gromadę przypo-
minają przyrodnie rodzeństwo – czym się mają dzielić – czym losem?

2/ kwiat ofelia – harfa ofelia – jeszcze nie wymyśliłem tekstu który
ochroni jej ciało i jej głos – w sztuce tego nie ma – dlatego tak nerwowo

dośpiewuje swą pieśń – w której dzielą los anioły

odbyła się premiera Hamleta:

gazety z recenzjami wykorzystały to jak trzeba

miasto: mówi że zmądrzało o *jedną setną hamleta*

aktorzy: że zagrali rolę życia

ofelia: że się uwolniła i przemieniła w głos

reżyserzy: że im już nie uda się powtórzyć takiej wynalazczości
wyobraźni (bo czymże jest teatr jeśli nie wynalazczością wyobraźni)

i tylko pijani rekwizytorzy uważali że za dużo śmieci:
za dużo aktorów – za dużo niedopałków
za dużo słów
o słowach

premiery nie widzieli
i wątpliwe czy kiedyś zobaczą

wchodzą do teatru przez kotłownię
poczerwiali od wódki

ale tak czy owak
być albo nie być?

w ciepłym futrze nowego jorku – soho mordka lisia
miejscowa kolonia mew pilnuje kolejności przyływów
i obecności pejzaży – z których każdy z nicości wynika
jak myśli flamandzkie malarstwo – pokrzepiony piwem

siedzieć nad morzem – w kawiarni którą zamykają na zimę
zimowy okres najdłuższy – w to wierzy mewia orkiestra
może to ona skomli – może to rybak szymon
rozwiesza sieci – smołuje łodzie – i stale mu przeszką-

dza – kudłaty pies i może ten rybak i ma na imię szymon – może
zapomnisz go o to zapytać – bo mewy siadają na pirsie

i ich papierowa muzyka – i drzewa skrzyp – i wyszczerbiony nożyk
którym otwierasz małże – czyścisz ryby – jest tępy

zima – to powieść z dalszym ciągiem – ciepłego futra runo
niedbalstwo ziemskiego życia – rządków kursywa
kodeks praw – czytanie których jest stymulatorem chóru
i twoim – by patrzeć dookoła na to co zbyt estradę przypomina

żadne twe najmniejsze doświadczenie co splata zimę z ziemskim
doświadczeniem poczucia ciągłości od dodawania przypływów i lat
niczym cię nie pocieszy – i będzie tylko jednym
składnikiem – który przypadkowo w sieć wpadł

szymona – człowieka co pilnuje kawiarni – na nogach codziennie
chleba pokruszy mewom – przeklina zimę
nie czyta wierszy – tylko psalmy – mnich albo i pewniej
po prostu miłośnik mew – co zresztą także minie

ziemia która przypomina ptactwo – zwyczajną czapłę
w cieniu – długą przerywaną grą na lutni rozmowę
wina nie nastarczysz – i nawet ostatnią kroplę
gadania o marszach: tym dawnym i tym nowym

oprócz służących co przy tobie i do śmierci wierne
a w każdej sny – jak śliwa – ciemne: ciała – ciasno przy sobie
jest przyjaciel i imperium, co niby psy pokorne –
grzeczne jak dzieci – posłuszne jak twój ogier

to czas kiedy kronikarz zapisać datę zapomniał
kiedy obrona stolicy w beznadziejności wyła
nikt już nie wspomina – jak barbarzyńska horda
przyparła nas do ściany świątyni, lecz wziąć jej nie potrafiła

tak, i to także być może; smak miodu – złotej moreli
i utrata ziemskiej władzy – spójrz: jak buntują się poganie
im wszystkim trzeba czasu by w ślad za Markiem Aurelim
zaznaczyć się w przestrzeni, stosownie do wieku i stanu

wszystko wymaga ofiary – w cieniu – nad wodą
aż wino – pokłute ciało łoży – rozwiąże ci język – czekasz
wiek określają dziewczęta – trucizna. «Chodźmy» –
mówisz. I wiesz: czas się zatrzymuje, a dalej – śmierć i rzeka.

O APOLLINAIRZE

mimo wszystko śnieg nazywamy fletem – tym który z fletów mo-
wy – najcieńsze źdźbło – i najgłębsza studnia dla ukrycia
dźwięków – dla trąb międzywojennej ciszy którą tak polubił pod-
porucznik: i żołnierzom każe się nauczyć tej rzeczy wojskowej

ale dla żołnierskiej sprawy – nie flety wina – czy surmy
i leci – niby anioł na niebie samolot – i rozrzuca pióra
jastrzębiej ofiary – zawinięty w biel – jak wycięty – arkusz mroku
w znoszonym cieple fletu nerwowo zalepia dziury

może w muzyce co między srebrnym i miedzianym – co śnieg i woda
wypływa żaglem – smolistym dnem okrętu –
podporucznik zapomina rozkazy – marzy – zakwita midgałowe
drzewo i żołnierze – jak śnieg – po wsi za portweinem się rozeszli

podporucznik marzy śniąc – jest ranny w głowę – apollinaire’a
zawiodła pamięć – w końcu o sok z kiszzonej kapusty poprosi
lecz chłopów tutaj nie ma – anioł śmierci w drzwiach – drzwi otwiera –
on oczy zamknie – wstąpi w muzykę – pióra zdmuchnie i w łodzi

odpłynie po rzece – a żołnierze w tym czasie portwein przynoszą już –
i zasmuceni siadłszy przy pagórku – pod namiot wbiwszy w ziemię rusznice
wyciągają z kieszeni suchary – i zapijają winem – smutek – i sur-
realizm – śmierć już tutaj – bo dookoła wrony i lisice

O ZIMIE I PISANIU LISTÓW

pisząc list – na adresata wybrawszy ocean – i mewie pióro cienkie
maczasz w soli co rośnie w wodzie – która mówi nam o wszystkim
nawet da się wyczuć ten telegraficzny styl – który piętnem
płonie w zwierzęcym wzroku – Gwiazda którą nasienie piasku odniesie

na kilka mil – niezależnie od tego ile lat będziesz czekał aż ktoś
z innej strony – z innych lat spíše kronikę zim i ilość jedzenia
nawet w ostatnich dniach z artykułów w gazetach zrobi rejestr i do-
pisze swoją nieumiejętność czekania – styl pisania oskarży – a ty:

styl mówienia do wszystkich którzy nie nauczyli się mowy ryb – mową gryzoni
ich ruchami – lasem ogonów – śliną z języków im cieknącą
mówić ci o soli i owocach – zamknąwszy szufladę snów
co rozrywa słowo i dźwięk – słodsza od czerwonych latarni morskich owoców

co sokiem lepkiem ściekają w zagłębienie – miłosnym potem – owocem
i drżą z satysfakcji – On leży jak zwierzę – ocean – i ty
przy jego sierści Z okolic domostwa – zdaniem bez przecinków i kropek –
w sandałach na bosc nogi biegnie pieśń miejscowego autora – i między tym

wszystkim dopisujesz pierwszą część w nieładzie z winem
przychodzi dziewczyna z sąsiedztwa co zna więcej imion oceanu
i soli którą liże jak karmel – niż ty zeszytów ze słowami zmęczysz – pory
roku mijają – zima nie była najcięższa – gnije zacisze nieme

drugiej części nigdy nie zaczniesz – bo: 1/ kwaśne wino 2/ cena piór idzie w górę
o czym masz pisać? O zimie bez śniegu – o drżących rąk chłodzie
o książkach przez zimę spalonych – o popiele z nich – na granicy za który
zapłacisz bo tam nie uwierzą – że lepiej spalić – niż oddać drukarzowi

tak więc półzycie pośród piasku i soli – krzykliwych kobiet – wody
zwierzę co z piętnem – przychodzi – jak zielony pagórek ognia i roślin
milcząc wino i atrament zliże z podłogi – zniknie jak przeciąg – jak dym papierosowy –
znowu czekać na zimę – i słowa żeby słowa przyniosły

że cień ojczyzny – najzieleńszy pagórek – gdy przywykasz do tego
i gdy w najbliższej kawiarni muzyka pali słomę
bożonarodzeniowego snu – i pięciu z santiago caballeros
siedzi tutaj od wczoraj, zatrzymawszy się po drodze do domu

można się przysiąść do kompanii: pachnie rzemienna uprząż –
kute srebrne obcasy – do wąsów przylepiony owies
ich mowa dźwięczy – jak lorca – jak pika na grzbiecie byka
leją do szklanek i wypijają cały ogień

z tych rozmów co się toczą – jak ich kapelusze na gwoździach –
z szerokimi kryzami nocy – twarde jak orzech włoski bywa –
żucie-przeżuwanie – żona i dzieci, zima w tym santiago,
zarobki i ojczyzna – i rechot wstrząsa budynkiem – i śmiech dziewczęcy słyszać

a trzeciego dnia, zapłaciwszy gospodarzowi, jego córce hojniej jeszcze
oni już przy pagórku, ich nozdrza łaskocze wilgoć – siwo
znika ich tupot we mgle i srebrne obcasy w rzece
rozpływają się smugami przędzy – więc rzekę minęli szczęśliwie

zazdrościsz tym caballeros – chcesz być jednym z pięciu
w najciemniejszą noc uśpić gospodarza – i jego córkę poznać –

korpułentną dziewczynę, co myje teraz podłogę i będzie zamiatać kuchnię
co gościom ścieli w kącie i do miłostek jest skłonna

bo cień ojczyzny na stokach i pagórkach najzieleńszych
sprzedałeś słowo po słowie tym którzy tutaj gościli
lecz oni – prawdę mówiąc – okazali się sprytniejsi
od ciebie i – choć im tak dolewałś – ofertę twą odrzucili

JAZZOWA WARIACJA

o mamó afryko
czarną afrykatą drży twoja jazzowa
wymowa w ulewie dźwięków – w wielogłosowości –
– cichych śniegach Kilimandżaro –

ze słoniowej kości saksofonu wypływa tęsknota spirituals;
pomyjowym dołem harlemu – smrodem porzuconych budynków –
wilczymi jagodami twoich dzieci
z nienasyconymi brzuchami wiecznego głodu
zawsze ciężarnymi twoimi córkami

o mamó afryko
czarne oliwki twoich oczu – czarne deszcze włosów
twoje córki dorastają szybciej niż dojrzewają owoce
opadają szybciej niż one –
jak srebro ozdób – ubierają się w odzież miłosnego potu
ich taniec pulsuje strwożoną żyłką
zgrzytaniem zębów i skrzeczeniem lawrence'owskiego żółwia

twoją muzyką – o mamó afryko –
napelniają się ciała roślin i zwierząt
ona jest w ryku słoniowych trąb
i ciurkaniu komarzych orkiestr
jękach jastrzębiej ofiary
wyschłym badyłu nikolajka
głośnych uderzeniach po napiętej bawolej skórze
piecze – jak zdarta z bawoła skóra –
srebrne gardziółka twoich śpiewaków
płoszą rozpalone suche powietrze
i zwracają je jak ptak który karmi przetrawionym szarym mięsem swój pomiot

o mamó afryko
twój postarzały jazz i twoją ciemną mowę życia
słyszę w podziemnym przejściu przewiewanym przez wszystkie atlantyckie wiatry

przesolonymi dźwiękami melodii saksofonu jaką wydmuchuje
twój bawelniany syn
kiwając się raz za razem
przebiera guziki instrumentu jakby łuskał kukurydzę

wydmuchuje melodie twojej wiecznej i niezrozumiałej tęsknoty
o mamó afryko

KRONIKA WĘDRÓWEK MRÓWEK-BIBLIOFIŁÓW

Pierwszego dnia zauważyły wielki pagórek gdzie pośród brązowych linii
biały stopy cukru

i wszystkie ruszyły do szturmów na pagórek

Innego dnia – pagórek się otworzył – biała płaszczyzna się zwiększyła
i łatwiej było się wspinać – niektóre dochodziły do białego płaskowyżu
ale okazało się że *białe* wcale nie jest słodkie – do tego poryte czarnymi
znaczkami – z początku pomyślały że to grobowiec ich rodziców
i poprzedników
ale później – ktoś ze starszych ich rodu temu zaprzeczył

któregoś z kolejnych dni przeważająca większość mrówek
– porzuciła złote drukowane litery
i cielecą skórę której użyto do oprawy tego wydania
– szczególnie nie spodobał im się zapach –
i ruszyły do kuchni gdzie zawsze można było czymś się pożywić

i tylko kilku włóczęgów zostało tam
żeby oglądać dziwne znaki podobne do nich samych
rudych mrówek – jakby muśnięte cienkim pędzelkiem
chińskiego kaligrafa

i kiedy zatrzymały się na słowie Ant
ktos, kto bardzo się spieszył – zamknął książkę
i postawił na półce

i niemal za rok powrócił do tej książki i do tej strony:
od razu zauważając że po lewej od słowa Ant
błyszczą kilka złocistych plamek których nie da się zetrzeć
to były dusze tych śmiałków

na stole – jak zawsze – białe kryształki cukru
i zadowolone mrówki z prędkością światła uciekały gdzie popadnie

KAPELUSZ NIKITY STANESCU

Czarny kapelusz Nikity Stanescu przypomina czarnego ptaka
który wyfrunął z gniazda kiszzonej kapusty jego języka
i krąży nad głowami poetów

Radomir Andrycz nosi ten kapelusz – jak dzban wody na pustyni –
trzymając ptasią nogą kapelusz (bo jest ptakiem) w jednej ręce –
a drugą ogrzewa przezroczyste ciało rakiji
i powoli opowiada o średniowiecznych czasach Serbii

Kapelusz Nikity Stanescu – przymrużywszy oczy – złożywszy skrzydła jak cherubun –
cicho drzemie –
kapelusz przywykł do opowieści Andrycza i dlatego może odpocząć

piłśniowa tkanina przepasana czarną wstążką żałoby
– czarna mowa śmierci –

poeci rozmawiają tym językiem – piszą w tym języku i po śmierci się stają
czarnym brokatem tego języka

dlatego Nikita Stanescu siedzi z nami w karczmie i pije czarne wino
ale niczego nam nie mówi i dla wielu jest niewidzialny
dlatego niektórzy nie wiedzą że siedzimy obok niego
bo widzą tylko czarny piłśniowy kapelusz
choć kilku wtajemniczonych wie że szeleści kukurydza
to jest to szelest jego cherubińskich skrzydeł

niczego nie mówi nam już Nikita Stanescu

jego kapelusz staje się: to lwem – to wołem – to orłem – to aniołem

i dzieli nas żółty moczek jesiennej kukurydzy

i czarny brokat cherubińskiego skrzydła

i zamotane usta anioła
chcą nam coś powiedzieć

ale białym wapnem powietrza ochlapują nam uszy
i wiemy tylko jedno:
– pić czarne wino –
bo nam nie wolno słuchać tych słów

Przy wyłożonej marmurem czaszy basenu
odpoczywa ostatni cesarz dynastii N.
poranny śliwkowy wiatr rozwiewa poły jedwabnego szlafroka
i – zdaje się – że wyszyte smoki co chwilę
odlatują

Za dwa lata na nim skończy się jego dynastia
wyrzną jego dzieci
uwiężą żonę
a jego spalą – rozsypując popiół z północnej ściany pałacu

jednak teraz:
jego twarz przypomina bramę zamkniętą na sto tysięcy zamków
i żaden klucz nie należy ani do żony ani do dzieci
ani do doradców ani do wojewodów ani do nałożnic

nikt nie zna jego planów i pragnień

W basenie w gęstym mleku mgły pluska
głos jego najmłodszej nałożnicy
– młodej dzikiej kaczki –
– śliwowego kwiatu jego sadu –
i młodzieńcze podniecenie – wrzask i jęki
– jak wino – dodają cesarzowi pewności

obok doradca któremu nie warto wierzyć
też milcząc patrzy na śliwową gałązkę ułamaną
przed wschodem słońca
co samotnie wpłynęła we mgłę w czółnie miedzianej misy

doradca zakrywa oczy dłonią
kiedy młoda nałożnica wychodzi z kąpieli i zmierza
niaby rozbity flakon perfum

zrywa się wiatr

cesarz odprowadza ją wzrokiem do drzwi wewnętrznego podwórca
nawet straż stara się odwrócić
bo można zrzucić zbroję i biec za nią

Doradca: należy wzmocnić północne granice
Cesarz: północny wiatr podsypie ziarna siwym czaplom
Doradca: mam złe przeczucia i sny
Cesarz: kamień w tym roku porósł zielonym mchem żabiej skóry bo padało

Doradca: podaruj mi te nalożnicę
Cesarz: bierz bo śliwowy kwiat tak czy owak opadnie

I to było ostatnie o co poprosił doradca

DIALOG

„Slave, come to my service!”

„Yes, my master, yes”

Josif Brodsky

„sługo – słyszy: wypełniaj nakaz – wypełniaj i idź
nikt ciebie nie zatrzyma – w tobie inne owoce
w tobie cisza i rzeki – które psy nocne zwabiły
masz z nimi być – masz grzać się od ich języków
lepiej idź na północ – dlatego rozkaz ten spisz
który ci dałem, bo inni jakoś nie potrafili”

„panie – mówi cicho, jak gołąb – i mrok zapada gęstszy:
liczb już się nie policzy – kluczy od szlaków nie ma
każdy palec już w złocie – spowity pszczelim pyłem –
a ty mi każesz służyć i zdążać w nieznany kraj
spać z głową na kamieniu od stu poduszek lżejszym
ja wiem że sługą jestem – innego zastąpiłem –

„sługo – jam nie wybierał twych szlaków – ni twoich owiec
ni tego co cienkim piórem zapisał na dłoni Ojciec
bo nic tu nie zostawiasz i wrócisz pewnie z niczym
lecz nie ma kim się posłużyć i tylko ty pozostałeś
– chleb, wino przygotowane – napełnisz bukłaki wodą
i w drodze z każdym groszem masz liczyć się – mówię liczyć”

– panie – oczyma ryby patrzy w ślad skrzydłopióry
posłaniec i ofiara – ziarenko złotej ikry –
on szepcze mi na ucho – nie idź nie idź mi mówi
mówi: co mam ci skłamać – odmówić każe tobie
kiedy z powrotem wrócę – zacznie się jedna z wojen
co potrwa lat czterdzieści – popiół zostanie i dym

„sługo – co moje tym się nie martw – martw się o to ty
co twoje i wykonuj nakazy – siedem razy po siedem
myśl o mnie przede wszystkim – wiąż nici pajęczyny
mówiąc do moich wrogów – jeżeli na proch ciebie
nie zetrą wcześniej – udawaj lekkoducha
szczęśliwym jeszcze wierzą – pomożesz mi choć tym”

NOWOJORSKA KARTKA DLA BOHDANA ZADURY

chciałem wysłać Ci kartkę z Brooklińskim mostem
i nie znalazłem w sklepie
w Ameryce też nie wszystko jest

natomiast znalazłem kartkę z Johnem Ashberym z lat sześćdziesiątych

i mimowolnie porównałem go z tym którego widziałem na 22 Ulicy w jego mieszkaniu
kiedy to John do końca nie rozumiał skąd na Ukrainie biorą się poeci

zapłaciwszy 70 centów
zdziwionemu sprzedawcy u którego nikt dotąd jeszcze nie kupował kartki z poetą
schowałem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki

i poszedłem w kierunku Broadwayu

potem skręciłem i zobaczyłem Brookliński most

interesuje cię ta nowojorska topografia?

bo w Nowym Jorku nigdy nie zabłądzisz
ale czy odnajdziesz siebie?
jakich tu ponabudowali labiryntów?
te kanały wyryte przez buldożery – skały wysadzone dynamitem

pod dostatkiem tutaj
śpiewaków – marynarzy – dziwek – żydów – Afroamerykanów jak w każdej linijce
Poety w Nowym Jorku Lorki
który szukał tu seksualnych przygód wówczas kiedy wszystko się wywróciło
w 1929 roku kiedy zbankrutowała Giełda
może dlatego odpłynął potem na Kubę
a może dlatego że nie nauczył się angielskiego i robiło mu się coraz smutniej i samotniej?

chciałem ci wysłać Brookliński most: bo on jest jak gest wyliniałej dziewczyny –
statuy Wolności – pozieleniałej od oceanicznej wilgoci którą postavili na sztucznej
wyspie i która tyłu oszukała

chyba można wierzyć sprzedajnym dziewczynom?

czasami w Greenwich Village zbierają się poeci żeby posiedzieć w jakiejś kawiarni i
czytać wiersze
ale jakoś nudnie to robią jakby żuli gumę

mówi się: że wszyscy tutaj to emigranci

i wędrowcy
i poszukiwacze przygód:

jak Gombrowicz który zostawił więcej autografów w Buenos Aires na pokwitowaniach
Banko Polaco
niż napisał tekstów

jak Witkacy – wieczny turysta i mieszkaniec Zakopanego – który nie wiadomo czemu
kiedy zaczęła się wojna pojechał do Przemyśla (czy gdzieś w te okolice) i tam targnął
się na siebie

jak Bruno Schulz z przestrzeloną potylicą koło cynamonowego sklepu na jednej z
uliczek Drohobycza który nie będąc w stanie wykonać nakazu niemieckiego żołnierza
zostawił obrazy i freski – pracę gimnazjalnego nauczyciela i swoje erotyczne marzenia

czemu my wszyscy jesteśmy emigrantami?

*Panie – kiedyś wykrzyknął Zbigniew Herbert – dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i
bardzo różny*

i ja też dziwię się za każdym razem spotykając tych podstarzałych – hippiesów – :pomalowanych
punków – :miejscowych alkoholików którzy obsikują sklepy
a policja ich nie aresztuje

kontempluję:

nocne ognie wielkiego miasta – one płoną futrem niebieskiego lisa

metra które drżą od ruchu pociągów
i dźwięczą muzyką różnych narodów która wycieka razem z kanalizacyjnymi wodami

te głodne karaibskie kobiety które potrzęsają cyckami i biodrami – te suche i
wymalowane Anglosaksonki które niby żerdzie sterczą na ulicach zamiast drzew jak
latarnie i świetlne sygnalizatory

interesują cię ci nowojorczyści?

te rytmy – te dźwięki?

pamiętasz że jeszcze są te prowincjonalne miasteczka zbudowane na prawie magdeburskim
z placem który nieodmiennie nazywa się Rynek
z cerkwiami i kościołami – zrujnowanymi synagogami

czy one – w zaciśniętej dłoni Bruno Schulza – przypominają maleńkie jaskółki?
czy do tej pory udało mu się schwytać cień piórek?
przypominam sobie pagórki Buczacza:

na głównej ulicy jeszcze zachowały się sklepy z kutymi drzwiami
i starymi zamkami roboty miejscowych kowali

żydowski cmentarz na którym płyty z napisami po hebrajsku – niby księga rodów
galicyjskich żydów –

czy to nie o tym Buczaczu pisał Szmuel Agnon?

czy nie tego Buczacza szukałem razem z jego córką Emmą Jaron wśród ocalałych resztek
żydowskiego cmentarza w Tarnopolu
a telewizja francuska filmowała ją jak przeciera palcem zatarte i
pozieleniałe litery na grobowej płycie jakiegoś swego dalekiego krewnego?
i przytuliwszy się do niej długo coś szepcze

dlaczego Brookliński most jest taki krótki i dlaczego nie można nim dojechać do Europy?

dlaczego pamięć jest taka długa i jej długość mierzy się nieskończonością?

po prostu znajdę tę kartkę – a ty kiedy kupisz samochód wyjeżdżaj na Brookliński
most koło Puław
i jedź do Nowego Jorku

posiedzimy w Greenwich Village
i jeden drugiemu poczytamy wiersze

bo ich chwila (i nasza także) jest jak chwila nocnych motyli
i od tego – że komuś przyświecisz – nie staje się lżej

NA FESTIWALU POETYCKIM

10 poetów
zapowiedzianych w programie
czyta wiersz
dla 10 słuchaczy może dla 100

brzmi symfonia języków:
ukraiński z erotycznymi jękami skrzypiec
odlatują lekkie dźwięki arabskiego
wybuchają w piersiach marszowe dźwięki niemieckich bębnow
ścieka po plecach jazzowa trąbka angielskiego
obój trawi w swym brzuchu hiszpańską wymowę
galanterijny saksofon francuskiego budzi seksualne marzenia dojrzewających dziewcząt

dyrygenta nie ma
i orkiestra trochę gubi rytm

przekłady – fatalne
bo robione w pośpiechu
organizatorom
jak zawsze brakuje czasu

jeszcze 10 poetów którzy będą czytać jutro
słucha tych 10 którzy czytają dzisiaj
i ziewają ze zmęczenia
myślą o piwie o miejscowych dziewczętach
o kursie walut
o kilku poetkach które przyjechały na ten festiwal
i z przykrością zauważają że wiek poezji kobiecej
nieubłagane zbliża się do emerytalnego
a o czym może pisać kobieta po menopauzie?

niestety młodych achmatowych – sylwii plath – ann blandianych
na festiwalu jeszcze nie zapraszają
oczywiście czekają aż się zestarzeją
no cóż jest w tym swoista logika

w kraju gdzie odbywa się festiwal
trwa kryzys gospodarczy
dlatego po hotelu biegają karaluchy
a w restauracjach podstarzałe kelnerki
nie wzbudzają specjalnej sympatii

poeci dają poetom swoje książki
wiedząc że nikt nigdy ich nie przeczyta
bo nie można znać wszystkich języków świata
dlatego ten rytuał przypomina
rozmowę głuchych i ślepych
po zburzeniu wieży babilońskiej

o, wreszcie czyta ostatni w dzisiejszym programie

niedługo kolacja

i można będzie porozmawiać o poezji
na którą nie łapie się ryba miejscowych słuchaczy
bo oni wszyscy rozwiązują problemy gospodarcze
przez komórkowe telefony

sala coraz to pustoszeje
bo ktoś wychodzi na papierosa

ktoś na piwo
a ktoś odpocząć w hotelu

czarna dziura poezji

zaciska się od ilości wierszy
aby wchłonąć
i to jest najśmieszniejsze
samą poezję

która od niedawna obsługuje samych poetów
jak podstarzałe kelnerki w restauracjach
które od dawna nie interesują mężczyzn

formuła poezji
to $10 + 10 = 0$

choć jak twierdzą matematycy zero jest może najważniejszą liczbą
w działaniach matematycznych

i jego czarna dziura mieści także energię
która jest zdolna wchłonąć samą siebie

jak mitologiczny smok
który zjada własny ogon
i formą swego ciała tworzy magiczne koło

z którego nie ma wyjścia

SYN MARNOTRAWNY

jak w ewangelicznej przypowieści – którą właśnie czytają w wiejskim kościółku –
ojciec wybiega na spotkanie synowi i każe sługom by go przebrali i zabili jagnię

mnie musi świecić choć słabe światło w którymś z okien na szóstym piętrze

jednak jest ciemno – nikt nie czeka: albo posnęli – bo właśnie minęła północ
– albo gdzieś pojechali

i kluczy nie zostawili u sąsiadów

może pójść do najbliższych przyjaciół: tak miło mnie przyjmowali na nocleg kiedy jeszcze
nie byli żonaci i tak wdzięcznie słuchali moich wierszy
jednak na granicy skonfiskowano mi notatnik (walka z terroryzmem) a nie znam ani
adresów ani wierszy na pamięć

kiedy czytają ewangeliczną przypowieść o synu marnotrawnym w wiejskim kościółku
ktoś musi odczuwać najbardziej piękące słowa
i stać na dworze z odkrytą głową
na którą pada śnieg

NA KAWIE W „STARBUCKS”

w grudniu – w dolnym nowym jorku – pijąc kawę w „Starbucks” – widzę
jak dwaj meksykanie układają marmurowe płyty przy paradnym wejściu do budynku

w kawiarni krążą natrętne Jingle bells
na ulicach migoczą nowojorczyki ze świątecznymi prezentami i auta
uliczni sprzedawcy rozprzedają turystom wszelkie bzdziele
policjanci spokojnie drzemą w ciepłym aucie
kolejka do kościoła – nie, dziś nie niedziela – otwarcie jakiejś wystawy

coż oto i 12 apostołów roku – grudzień siada za stół tajnej wieczerzy
niebogie owoce swych dni wykladasz z torby żeby ugościć 12 apostołów
po drodze wbiegłeś do sklepu i kupiłeś na szybko
ale oni to wiedzą
i w milczeniu dojecie razem przaśny chleb zakończenia roku

cóż oto i zbliża się czas gdy zgorzkniałe doświadczenie owoców i kwaśne mleko dni
coraz częściej pojawia się na twoim codziennym stole
kiedy szum oceanu coraz częściej wisi w przestrzeni twoich słów
coraz częściej drepcesz pięcioletni do koszary żeby poddychać parowaniem
owiec bo powiedzieli – od tego ustał twój suchy kaszel

tak więc ty – czterdziestoletni mężczyzna – jeszcze układasz słowa
jeszcze je zapisujesz – coś w tym nowego?
z antycznych czasów tylko kilku udało się przepłynąć ocean tysiącleci
dzisiaj – wraz z tobą sto tysięcy poetów układa słowniki swojej mowy
czy choć ułamek strofy dopłynie (jeśli będzie dokąd płynąć)
czy chociaż dźwięk twojej mowy wedle praw astronomii – przypominający gwiazdę
której już nie ma – (jeśli te prawa nie kłamią)

tak więc przeżywasz ostatnie dni starego roku – jak opłacony hotelowy pokój –
popijasz kawę – i patrzysz jak

dwaj meksykanie – rozpiłowują kamień – podnoszą go obaj – dopasowując go do ściany
znowu go opuszczają i znowu podpiłowują

kamień ciężki

życie lekkie

JEHUDA AMICHAJ

Herbert przyprowadził do mnie Jehudę Amichaja którego zasuszyłem jak w zielniku
i zostawiłem pod nazwą kaktusa sabra choć Amichaj urodził się w Niemczech
a sabra to żydzi którzy urodzili się w Ziemi Świętej

Listek sabra długo przeleżał w jakimś niemieckim wydaniu o surrealiźmie
I wreszcie zapachniał mi kamieniem Jerozolimy a ja ten kamień porozkładałem w wierszach
Jak czarne metki na białym płótnie i one porosły zielonym mchem *Księgi pagórków i dolin*

Sandu David i Margalit Matatiagu opowiadali mi o Amichaju
Kiedy z Sandu jechaliśmy do synagogi w Nowym Sadzie
A z Margolit w restauracji hotelu Casino maczaliśmy biały chleb w miodzie który
ściekał po rękach aż do łokci

w Nowym Jorku na wieczorze jego pamięci kiedy czytano wiersze
wszystkim rozdano kopie tych wierszy w dwóch językach – hebrajskim i angielskim –
i cała sala wyśpiewywała dźwięki jydysz jakby każdy wcześniej nabral
pełne usta oliwek w bufecie

tamtego wieczora była taka ulewa że
parasole wyrывało z rąk i fruwały razem z właścicielami w okolicach NYU
nie było kogo się zapytać o tę ulicę przy której się mieści Jewish Center

pewna studentka którą spotkałem przypadkiem na pustej ulicy
pokazała mi budynek wokół którego bezradnie krążyłem od pół godziny
i gdy rozmawialiśmy wiatr wyrwał jej z ręki parasol i biegłem za tym parasolem
bo czułem się winny
a ona stała na deszczu uśmiechnięta

PRZEINACZANIE HISTORII

Leonid Grabowski wyjechał do USA
i teraz gra na organach w luterzańskim kościele
a także sprzedaje płyty w sklepie muzycznym
polecając klientom najbardziej chodliwe CD
kilka koncertów jego muzyki
nie zrobiło tutaj takiego wrażenia
jak napisany (ale nigdy nie wykonany na Ukrainie) koncert w początku lat 60.

Mykoła Worobjow łowił ryby w Glenn Spy
ale niczego nie złapał i wrócił na Ukrainę
i dalej bada żuki i owady
uczy się mowy ryb
i jego wiedza w tej dziedzinie dorównuje zeru

a mogło przecież się zdarzyć – że Tarnawski nie przyjechałby do USA
i na pewno by się zapili – kończąc w jakimś przytułku dla narkomanów –
z ulubionym Kenem Keseyem pod poduszką

a Bohdan Bojczuk – pracując jako wozak w kolchozie im. Kalinina
w ogóle nic by nie wiedział o Nowym Jorku
i rymowałby coś tam drukując w „Buczackiej Prawdzie” przemianowanej za niepodległości (chwała Bogu)
na „Buczacką Wolność”

a Bohdan Rubczak wykładający w jakiejś WSP
pisałby o rewolucyjnych motywach w twórczości Łesi Ukrainki
myśląc kierunki rozwoju modernizmu i postmodernizmu
narzekając na Hryhorija Grabowycza i jego szewczenkoznawstwo
a wieczorami przesiadując w taniej knajpie piłby taną wódkę
bez zakąski

a tak istnieje grupa Nowojorska
Grabowycza kamienują – jak nierządnicę – za Szewczenkę
bo on i jego oponenci mówią różnymi językami
i rzecz nie tylko w tym że nie znają angielskiego

na szczęście Tarnawski Bojczuk Rubczak
bywają na Ukrainie

wydają tam książki
bo w diasporze chyba tylko rude myszy przeczytałyby ich wiersze

nie warto przeinaczać historii
chyba jednak nie warto

ukraiński poeta

musi pisać rymowane wiersze
a gońcie się...

ciągnąć na sobie żółwi ciężar wykrzywionej historii
choroby z podejrzeniem o alkoholizm

choć można o 12 w nocy wpełznąć do muszli pracowni
przyjaciela i pić z nim do rana zagryzając zapachem świeżej olejnej farby i blejtramowych trocin
zapomniawszy zadzwonić do żony, ot tak, na wszelki wypadek...

rano sterczeć pod sklepem, razem z wronami przyszytymi czarnymi guzikami do palta
śniegu

i jak dadaista ćwiczyć z rdzeniami słów dochodząc do pełnego absurdu
– alkohol sprzedają od 11-tej –

wiedzieć że estetyka trójkątnych kół i eliptycznych kwadratów zamknie się w czarnym kwadracie
– a w oczach czernieje naprawdę

czytać fachową literaturę na temat alkoholizmu – i dziwić się ilu naszym się nie powiodło

przypomnieć sobie że szewczenko też był...
i dzięki temu porównaniu pół godziny być szczęśliwym

nie przywołując:
baudelaire'a – kwiaciarza
verlaine'a – rimabuda – paryskich cyganów
eliot – bankiera ziemi jałowej
pounda – komentatora radiowego i psycha (wedle przekonania amerykańskich wojskowych)

na rzekach babilońskich niczego już nie wysiedzisz
– bo nie jesteś kwoką –
na brzegach sieny: 14 tysięcy malarzy namaluje na sprzedaż
giocondę: naga czy z brodą – bez znaczenia
byle nie poznał jej da vinci – *on nie słyszał o copyright'ie* –

w międzyrzeczu hudsonu i east river – *poeta w nowym jorku* – gołąb niebieski –
wiesz z ostatnich doniesień że 138 tysięcy narkomanów trzy razy dziennie
zajmuje się igłoterapią – a
homoseksualisci i lesbijki – bracia i siostry miłosierdzia – miłością do bliźniego

a żydzi czekają na mesjasza

cóż pozostaje
niespłacone długi

wezwanie do sądu
bilet do belgradu

– pióro – papier
– zaschły atrament – czarna krew komputera –

i to narkotyczne uzależnienie od zapisywania słów
– kiedy morfologia podobna jest do morfiny –

nie boisz się przedawkować?

– pytają –
bo kochają się w sztuce jednorazowych strzykawek
z zaschniętą ludzką krwią

Kocham Sinead O'Connor
mojej mowy po mojemu nie usłyszy nikt
pocałuj się panie boże
w duszę
wejdź w moją
skórę
i śpiewaj –
biada, biada bezsilnym

ODA DO ŁÓŻKA ALBO KOŁYSANKA DLA SIEBIE

Łóżko moje –
mój poetycki warsztat
łóżko moje
mój najszczęśliwszy przyjaciel

Łóżko czyjeś –
do you sleep English?
łóżko czyjeś –
schlafen Sie Deutsch?

Łóżko moje –
łóżko moje ukraińskie
łóżko moje
mój dług wobec ludzkości

kiedy pociąg – w dal
„chorobliwy pociąg
do bezpłodnej pisaniny”
(jakby bezpłodnej
to bym nie tęsknił)
przeczytawszy żurnalistyczne
„Grafomania:
jak zeskoczyć z pióra?”
wyskoczę z pociągu
na placek
a może i na drobny mak
i każde ziarenko
aż się zatrząsie
w tym nowym pociągu

który wyskoczy z szyn
i stanie się wszędychodem
– nie tędy?

słowna niezgodność niemożliwa
niezmierzona liczba związków słów
nieorganiczna – tablica orgazmów
liczy się tylko nasza wiara w jedno
niekoniecznie pierwsze
(pierwotnie-pierwotny pierwiastek)
a raczej przy-czynowo nieuniknione

moja platforma – okruch kry
która roztopiła się jeśli była
utonąłem w morzu
między niebem i ziemią
zawisłem lub utkwilem
na palu
bez ostrego końca i bez tępego
bo rozwichrzoność nienasycona

czy mnie kochasz czy nudzisz
zależy ode mnie

czy mnie kochasz czy nie kochasz
zależy od ciebie

czy mnie na tym zależy
głosuję za niezależnością

KONTRAPUNKT

Wieżę zapuściły korzenie w niebo:
jeśli to się zacznie,
oderwą się od ziemi,
staną się wahadłami dla tych,
którzy nie zapamiętają nic więcej.

Ogromny dzwon, który dawno zdjęto,
rozpadnie się na ogromne dzwony –
każdy ostatnią formą
każdemu, kogo już nie będzie,
zawoła o świat, który tak mało
o nim wiedział.

Nigdy już nie wybiegniesz,
zaplątawszy się w długą spódnice,
naprzeciw.

Nie dlatego, że takich spódnic
nikt już nie nosi,
w innej też
nie będziesz biegła
naprzeciw.

NOC

Wtuliła się we mnie
filcowym spojrzeniem –

wchodzę w nie
i – dobiegając do czarnych myśli –
oglądam się:
skąd ja tutaj.

Kiedy śmiech przerywa jej oczekiwanie,
poddaje się
i usiłuje być nieskończona.

Niech mnie tylko zostawi –
„po co?”

GDZIE ŻYŁEM

tam
nie życie – tylko próba

dookoła – tomy przestróg
a nad nimi
zastyga kilka dawnych zakazów

cień odbija się w cieniu lustra
istotą
która dziwi się, że słońce nie rzuca cienia
i dlatego się rozdwa
jedno rzuca kamykiem w słońce
drugie nigdy go nie zobaczy
wówczas się rozmnażają

a poza próbą niczego nie zobaczyłem
tam

NIEPOROZUMIENIE

TERAZ MUSIMY PRZYPOMNIEĆ SOBIE
JAK TO SIĘ STAŁO:

zobaczyliśmy go w tłumie jednak nie
mieliśmy zamiaru zatrzymywać ciekawsze wydawało się
obserwować go potajemnie ale
sami nawet nie spostrzeżliśmy kiedy postawiliśmy go przed
sobą dobry... odpowiedział oglądając się
bo nasze spojrzenia przechodziły obok niego
więc to chyba mogło mu pomóc a zatem
próbował wyjaśnić że wszystkich
ogarnęła idea wyjazdu na jakąś
nowoodkrytą nie zajętą planetę bo dalej
tak nie można sił już brakuje i w ogóle
obrzydło chociaż on sam nie ma po co jechać
sam w nic już od dawna nie wierzy, wszystko co
można ma tutaj, ale mimo to pojedzie, bo
zawsze będzie mógł wrócić do tego, co jest
– a wy?, nie, głucho wyrwało się z nas...
dobre – usłyszeliśmy go już z
tłumu obok człowiek oczyma obcego
patrzył za każdym i usiłował
wyrazić zdziwienie nie z uporem

powtórzył sobie każdy z nas
jemu widać się nie spodobało tak że nie
stało się jedynym słowem naszego języka które
zapamiętał i którego się nauczył

KAŻDY DZIEŃ

przy wejściu do niebieskich jaskiń
tam gdzie wyciekają ich labirynty
czeka na mnie utrata

i ręką (letniego miesiąca)
zemnie niezapisaną kartkę

a ręką (zimowego miesiąca)
nie potrafi odczuć chłodu

tylko ostre odczuje mózg
i wiatry staną się słowami

krokami już nie mierzyć
ni labiryntu ni nocy

na progu – żyje zmięte
za progiem – chleb i nóż

DAWNO

już mi się odechciało czekać na ciebie
zachciało ci się ze mnie zrobić
 przelotnego ptaka
zaakceptowałem to
tylko że mi trudno
nawet unieść skrzydła

aż oto pojawia się sens błędzenia
zamienia nas miejscami
przylatuję do twego miasteczka
tylko tu
wreszcie się czuję
 przelotnym ptakiem

PRZYJŚCIE

Skąła pomalowana tajemniczymi znakami twoich odejść
żeby wszyscy widzieli ale nikt nie był w stanie ich odczytać

bo nawet ten kto cię znał i pamięta
nie nauczył się twego dziwnego języka
tylu znawców usiłuje je zrozumieć
ktoś zirytowany mówi że to mistyfikacja
tylko ja nauczyłem się ich na pamięć
dlatego kiedy rozbito skąłę
musałem sam stanąć na jej miejscu
zatrzymałem siebie twoimi znakami i czekam powrotu

PODRÓŻ DO TEGO BRZEGU

do powodzi pozostało nam parę kroków
zatrzymaliśmy się by przypomnieć sobie ziemię i ogień
i patrzyliśmy długo w oczy tarniny
które utkwiał w nas drugi brzeg Rzeki

gdy wiosna w czóźnie wyniosła nas daleko
błagaliśmy Rzekę żeby wrócić za nim
i ostatniej rady szukaliśmy w sobie
i patrzyły przecież na nas nasze kłujące oczy

podarowane przez tarninę tobie i mnie na zawsze
wśród tego co już nie mieściło się w brzegach

Przechodzisz
przez plac Chmielnickiego
obok kościoła
do politechniki
– pełen wielkich nadziei na rozum.
Idziesz dalej,
a za tobą patrzą
„Utracone nadzieje” Nowakowskiego.

HISTORIA POEZJI

Jak z tym wszystkim było:
 młode plemiona błąkały się
 i wrywało się z nich to
 co teraz nazywa się duszą.
 Wrywało się pierwotnymi słowami
 (niekoniecznie: sal, ber, yon, roszcz)
 i wszyscy wzajemnie się rozumieli,
 albo i nie.
 Potem każde międzyrzecze,
 międzygórze czy równina
 miała coś swojego nowego.
 Rapsody, bardowie, skaldowie, kobziarze...
 Niepisane było i pisane,
 a z czasem pierwotne się zatarło.
 I gdyby mnie postawiono pod ścianę
 wykrzyknąłbym w ostatniej chwili:
 niech żyje wolny pierwotny
 nieujarzmiony wiersz!

APOLOGIA SNU

Bardziej jestem snem
 niż czymkolwiek innym.
 Senne marzenia – w dzień,
 w nocy – marudzenie.
 Wszystko mi jedno, jaka jest pora,
 jakie echo mojego milczenia,
 dźwięk snu to dla mnie najśłodszy dźwięk,
 kiedy jest,
 jest,
 to mój, mój smutny dźwięk,
 wesoły dźwięk i dźwięk nijaki.

Kapryśna jak natchnienie
 i mądra jak sowa
 przychodzi jednak do mnie
 niesenna chęć wypowiedzenia słowa.

Wtedy stoję się zdrajcą,
 mglisty sen osiada rosą,
 a ja za zdradę dostaję
 wielką nagrodę –

siebie – ową rosę.
I znowu przez mgłę,
i znowu mój dźwięk – prawdziwy,
a nie słowo.

Słowa swoje zawoaluję,
żeby stały się zrozumiałe.
Bo są naprawdę tak bardzo moje
że trudno nazwać je dostępnymi,
tym bardziej – łatwo dostępnymi.
Słowa swoje zawoaluję
i wyjdzie zrozumiała mowa –
niezależna mowa
mojego namiestnika na ziemi.

TRZY WIELORYBY

Świat – sen trzech braci,
ich wspólny sen.

Burza się chowa do wyschłej studni –
sen zapada głęboko w pamięć.

Potrzesz lampę – i wyleci dżin –
jak łatwo przypomnieć sobie sen.

Ale sen trzech braci jest wieczny,
jednym słowem – to świat.

KOŁYSANKA

Poduszka – to wejście do tajemnych jaskiń,
a koidra – to parawan od świata.
Gdy tylko zaśniesz, uniesiesz się przyjemnie
w krainę nieznanych prawd.
Tam wszystko jak prawdziwe
i ty jak prawdziwy,
czegokolwiek tam dotkniesz, wszystko twoje,
zapagniesz – przedmioty zamieniasz miejscami,
zapagniesz – rozbijasz je w drobny mak.

Zapagniesz – będziesz carem, nie zechcesz – nie będziesz,
niewolnikiem, generałem, bandytą, śpiewakiem –
zostaniesz, kim zamyślisz,
na chwilę, na wieczność,
żebyś zapagnął tylko, albo – wszystkimi naraz.
Wszystko tam ujrzysz, jeśli tylko zechcesz,
wszystko, co możesz sobie wyobrazić,
kim zechcesz, tym się staniesz –
żebyś tylko nie zdradził
żadnej z naszych nieznanych prawd.

KONIEC ŚWIATA

Europa – pole bitwy dwóch światów.
Zginie w tej bitwie
dwójjedyny świat.

Na stypę po bitwie
przyjdą tylko dwie wieże
Eiffle’a i Korniakta.
Zejdą się w geo-
graficznym środku Europy,
który leży gdzieś w Karpatach,
zejdą się i uronią po łzie.

I nikt po nikim
nie usłyszy płaczu.

Uciekałem panicznie od ciebie
z kraju luster,
w które ja patrzyłem,
a zawsze ty z nich wyglądałaś.

Pośliznąłem się, upadłem,
a lustra
podskoczyły i się rozbiły.
Wzleciały w niebo odłamki kry,

wzleciały i znikły w dali,
jak klucz.
Pozostał cień luster
i pukle włosów wszędzie.

[PO SZYBACH OKNA]

J.M.

Po szybach okna ścieka poraniony poranek.
 Obudzą cię nagle głosy, które dzień przyniesie.
 Popatrzyysz, a na dworze – kolorowa ściana;
 Twój ból, twój smutek, twa bezbronność – jesień.
 Pozbierasz płótna, farby, pędzle wysłużone.
 Mądrość zmurszałych ksiąg, jak kozuch zarzucisz na plecy
 I ruszysz w przeciwną do jesieni stronę.
 To zwycięstwo, choć tak bardzo podobne jest do ucieczki.

[TYLKO ZARYSY]

Tylko zarysy białych wież w oddali
 Jeszcze mi się zwidują w tym niebyłym świetle.
 Lecz purpurowym pożarem już pali
 Bez żalu lato znerwicowana jesień.
 Powoli zarośnie to, co strawił ogień,
 Drzew kikutami i żółtą ulewą.
 Za późno już, by ruszać w drogę
 Do białych wież, co może nie istnieją.

[NA ZAWSZE ZOSTAĆ]

Na zawsze zostać w szkole dominikanek pod Wiedniem,
 Modlić się wyłącznie po ukraińsku, sióstr budząc zdziwienie i podziw.
 Po kolacji czasami pisać orędzia do krewnych,
 Pytając, jak ich zdrowie, i jak obrodziły ogrody.
 Codziennie na rynek przy Schlossbergstrasse chodzić,
 Przywyknąć do dostatku, własnym jeździć autem,
 Żyć w zgodzie z sobą, dziękując Zbawicielowi
 Za to, że wszystko poszło tak dobrze. I raptem
 Po jakichś dwudziestu latach, kiedy nikt już nie będzie
 Widział w tobie obcej, zbudziwszy się o poranku
 Pomodlić się po ukraińsku budząc zdziwienie znów wszędzie
 I, nie zdejmując z siebie habitu dominikanki,
 Wiedząc dobrze, co zamieniasz i na co,
 Wyruszyć w drogę z niepowracania zamiarem
 Dziwiąc tych, którzy nie myśleli, że słowo „ojczyzna” ma taką
 Niezgłębianą pojemność.
 I zdziwić się samej.

[WYPROWADZASZ MNIE]

W.G.

Wyprowadzasz mnie z kręgu zbędnych myśli, poza przestrzeń
Z której i ptak się nie wyrwie – skrzydła zamarzną mu w locie.
Gdzie mnie nie ratują znaków Cyryla kombinacje najlepsze
Muzykę mego przymierza ze światem słyszę w twoim głosie.

Ty mnie ratujesz od wspomnień, każesz marzyć.

Sen zachwyca –

Śnieg obojętności stopniał w wysokich górach duszy,
Szalone irysy kwitną w stepach Pakistanu suchych.
Twoje spojrzenie odnawia światło w mych źrenicach.

[TEN PEJZAŻ WIDZĘ NIE PIERWSZY RAZ]

Ten pejzaż widzę nie pierwszy raz i nie raz zobaczę go jeszcze.
Kraina w dłoniach gór. Apogeum – lato rozkwita.
Moje wieczory tutaj rymują się może najpiękniej
Z wspomnieniami o tobie, z zapachem dolce vita.
Dni zwykłych upływ w stylu tutejszym szlifuje
Rysy mojej twarzy niezauważalnie i uparcie.
I budząc się któregoś ranka, ryzykuję
Że nie poznam się w lustrze. Tu nie warto
Zostawać długo, choć sny nie puszczają i ciemny
Las ścianą na jedynej drodze rozstania wyrasta.
Lecz czas ruszać, bo ziemie porzucone przeze mnie
Dzikie ziele milczenia porasta.

[NIEBAWEM JUŻ]

Niebawem już ćwierć wieku, jak ze mną chleb mego czasu
Dzieli świat nieodczytanych znaków, niewysłuchanych posłów,
Pora dojrzewania słów, napełniona ich gorzką
Albo słodką cierpkością sensu, pora ptaków,
Które jako pierwsze lecą w wyraz, wiedząc czemu
Nie mogą tu pozostać, przeżywszy surowość zim,
Pora, gdy uderzenie wiatru w plecy pierwszy raz doceniasz
Po tym, jak się już nieraz twarz stykała z nim.
Jesień patrzy na księżą oborę. Niebo koloru stali.
Te dni przynoszą chłód od podziemnych rzek.
Pora, by odejść od miłości do nienawiści i dalej.
Od wybaczenia znów do początku. Jeśli masz sprostać jej.

[PRZEKROCZYLIŚMY GRANICĘ...]

Przekroczyliśmy granicę. Rwaliśmy na cudzych polach kwiaty,
Wymawiając cicho słowa pierwszy raz słyszanej mowy,
Spaliśmy pod gołym niebem, i ojczyzna w snach naszych
Zjawiała się coraz rzadziej, i prawie zawsze zimowe
To były krajobrazy – srogie, ogromne miejsca
Pieczęcią niezmienności napiętnowane. Gasła pamięć
Skąpych głosów jej ptaków i zapachu obejścia.
To nam nie przeszkadzało, rozsądnym zdawało się nawet.
Prawie jak u siebie czuliśmy się w tej wybranej krainie.
Zachłyśniętych życiem ten kraj nas zachwycił,
Lecz czasem w niewinnych rozmowach zaskakiwało nas imię
Dziwnego starca z Itaki, zagadkowego Odysa.

[OSADA W GÓRACH]

Osada w górach, gdzie w sen mój wplata się szum potoku,
Gdzie zwykle dni tak ciężkie, jak sto pudów soli, święta puste i ospale,
Gdzie krzyk sarny (czy lisa?) o północy, choć to dziwne, przynosi spokój,
Jeszcze raz potwierdzając, że jestem w domu, bo nie można by inaczej
Słuchać tych głosów i się nie bać. Liście orzecha,
W którego cieniu wyrosłam, powoli zmieniają kolor,
Wciąż usiłując zatrzymać w sobie lato. A w polu
Mojego wzroku nic nie zdradza fin de siècle'u. To pociecha –
Wracając do domu, jakby nie w przestrzeni a w czasie
Podróżujesz; zwykłego chłodu uścisk czujesz na plecach
I dobrze znajoma droga, jak i wcześniej, wiedzie na razie
W kierunku późnego średniowiecza.

[Z PERSPEKTYWY PTASIEGO LOTU]

Z perspektywy ptasiego lotu kopuły i wieże,
Przyproszone śniegiem grudniowym dachy nie zrównanej Pragi,
Zaczęły rozbrzmiewać melodią jesiennego dnia, kiedy
Gasły two pragnienie dalekich wędrówek i wrażeń
Wina tysiącletniego tego miasta. Powoli gasł
Park na zboczu, jak paleta fresku,
Muzycy na moście Karola grali jesienny jazz,
Stroskany kobiecy głos wołał kogoś po czesku
I przybyszowi przypadkowemu, co już się zmęczył trochę
Idąc nie tyle z nowego, co z nikomu nie znanego świata,
Życie zdawało się secesyjnym witrażem Alfonsa Muchy
W kościele św. Wita albo symfonią Dworzaka.

[W TYM MIEŚCIE]

W tym mieście, gdzie morze panuje, w którym
Wszyscy są obcy i dlatego – wolni,
Gdzie czas płynie wyrozumiale powolny,
Bo wie – ja tu tylko do jutra, a góry
Takie niepodobne do moich – szukając
Twojej twarzy w przechodniów tłumie
Wiem, że na próżno szukam, nie znajduję –

Brakującego atrybutu raju.

[NASTANIE DZIEŃ]

Nastanie dzień – szara zasłona wtedy
Spadnie z twych oczu, tajemnica się wyjaśni
I ślady wśród śniegów – runiczne litery
Zdołasz odczytać. I po raz ostatni
Spójrzysz za siebie, przygnieciony wiedzą,
Której ciężar jedynie tobie jest wiadomy.
A czy ta droga od czy do Sodomy –
Nie dane ci już jednak wiedzieć tego...

[UZALEŻNIAM SIĘ]

Uzależniam się od twojej obecności. Uciezka
Tutaj, gdzie ciebie nie ma, tylko granice poszerza
Wpływu choroby, która okupuje moją świadomość o zmierzchu
Niby ciemna morska fala porzucone wybrzeże.
Przygasa w czas przypiływu wielogłos dnia zwykłego,
Widnokrąg zdaje się raną, pogrąża w mroku.
Z odpływem znajoma wariatka szuka czegoś na brzegu
Wśród przyniesionych przez żywioł jakichś dziwnych przedmiotów.

[KIEDY ZACZNĄ SIĘ TUTAJ]

Kiedy zaczną się tutaj deszcze i na Stefanplatz
Już nie będzie właściciela komicznych marionetek,
A dorożki pojadą z podniesionymi budami i praca
Tych, co ulice sprzątają, stanie się składniejsza i jesień
Stworzy porządek świata, wtedy na pewno na odwagę się zbiorę
Żeby napisać do ciebie, nie wypada bowiem

Zapominać o dobrych znajomych. I ci opowiem,
Że byłam w pawilonie motyli, że ich skrzydeł kolory
Na to, że Bóg istnieje, najlepszym są dowodem
I o tym, że co rano ulicą Faworytów chodzę.
Że sny mi się śnią brzmiące po niemiecku, że urody
I szlachetności miasta nie da się w słowach odtworzyć.
O tym, że jego mieszkańcy potrafią śmiać się do nieznajomych,
O tym, że publiczność w operze zabawia teraz Weber
Opowiem ci i, po prostu, nawet jednym słowem
Nie napomknę o tym, jak smutno mi bez ciebie.

[FALE GODZIN]

Fale godzin rozbijają się o skałę marności.
Sikorki nie utrzymasz w ręce, a pomyślne
Karawany dni trumnę mojej przyszłości
Wiozł w pustyni wczoraj, nie wiadomo dokąd.
Żaden cud nie powtórzy bluesa karawanu tego,
Nikt drugi raz nie zagra, jakby o to nie prosić.
Bo płoną muzykanci szczęśliwi, kiedy się rozlega,
I płoną do cna instrumenty, i nuty, i głosy...

PAN

Głos sternika ogłosił nam o Twojej śmierci, boże zarośli.
Krótka wiosna przeszła w upalne lato,
zakwitły cyklameny na arkadyjskich łąkach i przynosił
wiatr ich zapach. Potworny, przegrany staruch
który nie wyrzekł się towarzystwa Bachusa, który
nieszczęśliwą miłość przemienił w melodyjne dźwięki,
teraz w cieniu platana niemy i bez duszy
leżysz i fujarka wypadła z twej wychudłej ręki.
Żaden wiatr jęku menad donieść nie zdoła
do twoich uszu, Panie. Wszystko obmyślił i zważył,
I odszedłeś, bo w żaden z arkadyjskich pejzaży
nie wpisywała się już Twoja sylwetka zgarbiona.

NARCYZ

Wsluchaj się w głos, który wtóruje Ci, Narcyzie.
Tak szeleści trawa, która pod nasze stopy się kładzie.
(Co prawda to nieprzekonujące porównanie, ale

nikt nie potrafi ocenić jej ofiary). Popatrz
w oczy tej, od łaski której uciekasz tak uparcie –
w ich głębi, prócz delikatności, smutku i tęsknoty,
zobaczysz, nierozumny chłopcze, najdoskonalsze
odzwierciedlenie tego, kogo tak bardzo kochasz.

TEZEUSZ

Białe żagle leżą w skrzyni. Narodzone wczoraj
gwiazdy wianka Ariadny oświetlają smutną drogę powrotu.
Moi szczęśliwi towarzysze podróży wciąż o zwycięstwie plotą.
Wszystko, co związane z tobą, zostało po tamtej stronie morza.
Teraz, wsłuchując się w łamaną linię rytmu
fal wierszy, od soli których zmieniają kolor włosy,
myślę, że naprawdę potworem był nie ten z labiryntu,
a ten, co mi się przyśnił na Naksos tamtej naszej nocy.

KRAKÓW

Miasto ptaków i zakonników, jego kontury – mniej światowe
a bardziej mityczne – przechowują średniowiecze.
I rzeka tu płynie tak wolno, że wbrew Heraklitowi
dwa razy można wstąpić do tej samej rzeki.
Lecz wolę zostać na brzegu, rozpuścić się zaraz
w atmosferze ulicy Floriańskiej albo Świętej Anny,
żebyś Ty, jeśli kiedyś byś się tutaj znalazł,
wdychał niepotrzebną moją delikatność, kochany.

LIST DO K.

pamiętasz że pod koniec lat dziewięćdziesiątych
 kilka razy jeździliśmy na wakacje do Bułgarii?
 pamiętasz tanie wino i gin miejscowej produkcji
 tani najtańszy na świecie gin?

jak nam tam wszystko było po guciu
 jakie tam wszystko było wspaniałe
 midi z czosnkiem musaka czuszki tarator winogrona brzoskwinie smażona caca

ogromny talerz smażonej cacy!

pamiętasz te plaże gorącego piasku
 usiane żółto-białymi niedopałkami strzykawkami ciałami
 i czarne morze z meduzami kutrami plamami ropy topielcami?

i wysuszonego starego cygana który grał na *gadulce*
 bardzo dziwny instrument – coś między wiolonczelą skrzypcami i łukiem?

stary niemyty cygan (uprzedzam że jego *niemytość* nie odnosi się
 do wszystkich cyganów – to była tylko jego *niemytość*)
 ubrany w stary nie wiadomo kiedy kupiony garnitur i *białą* koszulę
 prowadził na łańcuchu brunatnego niedźwiedzia

wtedy wydawało się że ten niedźwiedź jest po kilku zawałach
 sierść wypłowiała na słońcu oczy pod mętną powłoką starte pazury

pełne i ostateczne upokorzenie

ślina kapłała na piasek
 i zmieniała się w drogie perły

to było widowisko nie dla nerwowych
 jeden tylko stary niemyty cygan dostrzegał
 w tym wszystkim jakąś atrakcję
 nawet dzieciom było ciężko patrzeć na tego niedźwiedzia
 one wyblagiwały u rodziców jabłka rachatlukum i fistaszki
 i podkarmiały tego weterana Wielkiego Cygańskiego Imperium Rozrywki

wtedy ci powiedziałem
 bardzo dobrze pamiętam to swoje zdanie
 wtedy ci powiedziałem:
 „a my jeszcze narzekamy na zoo – te nieszczęsne stworzenia tam
 przynajmniej karmią”

a ty powiedziałaś:
„Boże jaki nieszczęsny *miszka*”
tak właśnie powiedziałś *miszka*

potem wróciliśmy do domu i
i długo wspominaliśmy te gorące wakacje
pamiętasz schodziła mi skóra od słońca
wiesz że nie mogę być za długo na słońcu

a kilka dni temu znów wrócił do mnie ten stary niemyty cygan i
rudy nieszczęsny niedźwiedź na łańcuchu

może nie warto ci o tym opowiadać
ale przez te lata tyle wzajemnie opowiedzieliśmy sobie głupot
że nie mogę się powstrzymać

no więc słuchaj:

gdzieś przed rokiem jakaś niemiecka organizacja opieki nad zwierzętami
(wiesz, że ci Niemcy do wszystkiego mają jakąś organizację)
postanowiła pomóc nieszczęsnym cygańskim niedźwiedziom i
przeznaczyła wielki grant na ich rehabilitację
pieniądze trafiły na konto jakiejś bułgarskiej organizacji
i bułgarzy długo nie myśląc wypłacili te pieniądze cyganom

i wiesz co zrobili cyganie?
wiesz co zrobili ci pieprzeni cyganie?

KUPILI SOBIE NOWE NIEDŹWIEDZIE A STARE WYGNALI DO LASU

i teraz mi powiedz:

JAK PO TYM ŻYĆ DALEJ???

TYLKO MNIE NIE ODTRĄCAJ

przez ścianę ze mną mieszka współczesny białoruski rzeźbiarz
codziennie wypija pół butelki wódki
nie wyglądając przy tym na alkoholika
andrij – ma na imię andrij tak samo jak ja –
to bardzo uduchowiona osoba bez żartów
jakie tu żarty kiedy przychodzi wypijać po pół butelki wódki dziennie
i nie być przy tym alkoholikiem
gdzie tu żarty?

bardzo wcześnie się kładzie i bardzo wcześnie się budzi dlatego
nasze kontakty ograniczają się do trzech wieczornych godzin
ale to w zupełności wystarcza żeby
odkryć jeden drugiemu duszę
a dlaczego mielibyśmy wstydzić się swoich dusz?
co mamy przed sobą odkrywać
jeśli nie nasze dusze

jakikolwiek inne rozmowy z nim zamieniają się w profanację
czasami zdaje mi się że na jego tle wyglądam
na nieuleczalnie chorego na brak duchowości
po prostu jestem mistrzem świata w bezduchowości
na jego tle

jest prosty zanadto prosty w potoczności
o wiele prostszy niż ja
niż ktokolwiek z moich znajomych
idzie rano do pracowni zostawiając po sobie
zapach prostej jajecznicy na prostej słoninie
przyjemnie mi się budzić i czuć ten prosty zapach
współczesnego białoruskiego rzeźbiarza andrija

nawet jest dowcipny w pewien dziwny sposób
„Boscha bierz w ręce i haruj, serce” – żartuje i sam śmieje się ze swego żartu
pracuje dużo więcej niż ja – od ósmej do piątej
a potem przychodzi do domu i pije
i dziwi się czemu ja nie piję i zaczyna odkrywać przede mną
swoją duszę
a potem kładzie się spać
tak po prostu bierze i kładzie się spać z odkrytą duszą

co noc straszą mnie jego krzyki przez sen
myślę że to krzyczy jego odkryta dusza
czasem zaczynam fantazjować
że to mój mąż a ja jestem jego żoną
śpimy w różnych pokojach dlatego że on
boi się przestraszyć mnie swoją odkrytą duszą

co wieczór czekam kiedy przyjedzie ze swej pracowni
zmęczony i odkorkuje swoją butelkę wódki
a ja nakarmię go czymś smacznym
na przykład kartoflanym puree z mlekiem i masłem

i zrobimy sobie gorącej herbaty
i on znowu zacznie odkrywać swoją duszę

wyrzekać na współczesną sztukę i przeproszać że mi tym wszystkim
przeszkadza

a ja jak zawsze będę chciał go uspokoić i zacząć
go uspokajać mówiąc co ty wygadujesz
nawet sobie nie myśl nawet nie myśl
przytul się do mnie tylko nie odręczaj tylko nie odręczaj

KIEPSKI GUST

nie tak dawno byłem świadkiem interesującej sytuacji

lał deszcz i siedłem pod parasolem
w obcym zagranicznym mieście w mieście gdzie każdy deszcz cię zmienia
w skulonego mokrego nastolatka
gdzie stajesz się nierozpoznawalnym dla znajomych
i sam siebie bardzo często przestajesz poznawać

no więc siedłem przez główny rynek
tego w ogóle cudownego miasta
choć słowo „cudowne” w tym przypadku
raczej określa zwyczajowy stosunek do tego miasta
innych ludzi
to miasto podoba się wszystkim dlatego że tak się przyjęło
po prostu przyjęło nie mówić o tym mieście źle
jak o umarłych
choć mnie to miasto naprawdę nie bardzo się podoba
bo jak może się podobać nieustający deszcz mgła wilgoć
dekadencja nie to nie londyn nawet nie myślcie że to londyn
to coś dużo bliżej mojej ojczyzny
to prawie pod jej nosem

no więc tak idąc nagle pomyślałem że
w tym mieście nikt mnie nie weźmie i nie rozpozna
nie podejdzie i się nie przywita bo tak po prostu wypada
nie spyta dokąd idziesz w tym mieście obwarzanków
tutaj na każdym kroku sprzedają obwarzanki
posypane sezamem i makiem
w formie wiecznego powrotu w formie znaku nieskończoności
czy niekonieczności
(nawet nie wiem jak to się poprawnie nazywa)
a jeszcze sprzedają tu domowy ser
specjalnie wyciśnięty w jakiejś ludowej foremce
czasem wydaje się że to swoista forma miejscowej pisanki

i dużo tu pamiątkowych aniołków tu w ogóle jest bardzo dużo
kościółów i klasztorów tutaj mieszka dużo ludzi wierzących
a może oni tylko udają że wierzą a naprawdę
to po prostu ludzie i nic więcej

państwo już zdaje się
domyślili się co to za miasto
a jeśli nie to to i tak nie ma żadnego znaczenia

i warto mi było pomyśleć o mojej samotności
o braku znajomych i innej smutnej romantyce
gdy zobaczyłem swojego dobrego kijowskiego znajomego
który siedł prosto na mnie
a zauważyłem go gdzieś na dwa kroki – wprost szliśmy jeden na drugiego
pierwszą reakcją była chwilowa chęć żeby wykrzyknąć coś radosnego
coś zwyczajnego jak to zazwyczaj robią ludzie kiedy
przypadkowo spotykają się w sytuacji obcego miasta obcego kraju
moi rodacy zazwyczaj albo rzucają się sobie na szyję albo
udają że się nie poznali

potem zauważyłem że ten mój znajomy nie jest sam a z jakąś dziewczyną
nie znałem tej dziewczyny ale to na pewno nie była jego żona
świetnie znam jego żonę i to była nie ona
mogę zeznać przed sądem najwyższym że to nie była jego żona
bo jego żonę znam nawet lepiej niż jego

szli pod rękę i ona była blondynką jakich wiele jest w kijowie
farbowane blondynki – to po prostu bicz boży mojego kraju
kraju pieśni i tlenionych blondynek
i nagle skojarzyłem sobie nie nie skojarzyłem dobrze to wiedziałem wiedziałem to
nawet lepiej niż cokolwiek nawet mogłem zapomnieć nazwisko właśnie
ogłoszonego
laureata nagrody nobla
ale wiedziałem że ma żonę i ta jasna blondynka
to może być każdy ale nie jego żona i oczywiście nie jego córka
a jeśli córka to pozamałżeńska albo z pierwszego małżeństwa
wiedziałem że mają syna jednego syna który kibicuje
drużynie argentyń więcej o nim nic nie wiem

on mógł mnie nie poznać bo nie widział mnie bez włosów
z włosami byłbym zupełnie inny taki
jakiego mnie zwykł widywać ale teraz byłem łysy i to
uratowało i mnie i jego od niezręczności od jakichś mglistych wyjaśnień
od wymuszonej znajomości
„zatem, pozwól, andriju, to na przykład angela,

angelo, pozwól, to na przykład andrij” i tak dalej
i musiałbym całym swoim wyglądem mu pokazywać że
stary nie ma co się denerwować
niczego JEJ nie powiem i to w ogóle bardzo superowo że ty tu
z angelą i was spotkałem tak nieoczekiwanie i przyjemnie było was spotkać kurwa
razem z angelą
Boże co to za głupie imię – angela?

już nie ma żadnego znaczenia czy on mnie poznał czy nie
bardzo się cieszę że się nie przywitaliśmy
choć wydaje mi się że poznał i ścisnął jej rękę
i stracił kilka milionów nerwowych komórek
i przeklinał mnie i mnie błagał:

„nie zatrzymuj się tylko się nie zatrzymuj idź dokąd szedłeś”

w każdym razie i tak niczego nikomu bym nie powiedział
ale zrobiłem tak jak chciał i ma
być mi wdzięczny

kiedy spotkamy się w kijowie obowiązkowo powiem:
„wyobraź sobie idę przez główny rynek miasta N. i widzę
naprzeciw mnie idzie człowiek
po prostu wykapany ty ale był z jakąś blondynką
z jakąś farbowaną blondynką”

Boże nie myślałem że ma aż tak kiepski gust

CHINA

kiedy chińczycy
przyjeżdżają do europy czy jeszcze gdzieś
jednym słowem na zachód
rozszerzają się im oczy

to już w ogóle nie chińczycy
a zdziwione kotki-mrukotki

a może oni zawsze byli tacy
jak europejczycy jak
każdy z nas
i tylko wobec europejczyków udawali
takie sobie kotki-mrukotki

i nagle tylko w europie
pośród takich jak oni sami
dopasowują się do cudzego landszaftu

popatrzcie na gao xingjana
laureata nobla 2000 roku
czy na jakiegoś
fransois czenga
na michela czanga amerykańskiego
tenisistę koniec końców

co w nich zostało chińskiego
prócz mistrzowskiego operowania
pałeczkami w restauracji
i genialnej umiejętności przystosowania się
do świata

mówią że do chińczyków należy przyszłość
tego świata
że właśnie oni za jakieś sto
czy dwieście lat
będą panować nad światem
dyktować światu modę
zawalać świat plastikowymi chińskimi
zabawkami i chińskimi restauracjami
z przemożnym zapachem kwaśnego octu

a propos
mówią że chińczycy to urodzeni esteci
dlatego bardzo lubią
europejskie kobiety
za delikatny meszek nad górną wargą
bo u chinek on tam czemuś nie rośnie

ciekawe czy chinkom rosną
włosy pod pachami

miliardy kotków-mrukotków
za jakieś sto lat
czy za jakieś dwieście lat
zbudują nowy świat
czy ten świat będzie
nowy i dobry
nie wiem

wiem jednak
że to będzie świat
nie bez dobrych ludzi
i ta dobroć będzie wszechobejmująca
jak chiny
i wysoka jak chiński mur

że
każdy żywy
i nienarodzony wróbel
dziękuje wielkiemu mao
za to że nie doprowadził on
swego dzieła do końca

że
każdy chiński dysydent
czy to pisarz czy zwyczajnie
obrońca prawa
to naprawdę żaden wygnaniec
a agent wielkiego chińskiego wpływu

że
świat – to wielkie chinatown

że
bóg to chiński komunista
który na początku stwarza sobie problemy
a potem bohatersko z nimi walczy

JOGGING

długo nie mogłem dojść do siebie
po mailu z berlina od mego przyjaciela olafa

w tym mailu prócz obowiązkowych atrybutów które
z zasady sprowadzają się do rytualnych pytań
o kwestie zdrowia i plany twórcze
(jakby w tej twórczości można było coś zaplanować)
w tym mailu jakby między wierszami czysto po niemiecku bez przesady ale
z odczuciem głębokiego tragizmu dokładnie w paru zdaniach
było powiedziane mniej więcej tak:

„od wczoraj zacząłem unikać spotkań z moim sąsiadem
mieszkamy koło siebie już dwadzieścia lat jest moim rówieśnikiem

i co rano razem biegamy w tym parku niedaleko
on zawsze mi
wydawał się trochę dziwny kiedy nastąpił wybuch w czarnobylskiej
elektrowni atomowej
zaczął obklejać sobie ściany starymi gazetami żeby nie dał
Boże do jego mieszkania nie przeniknęło promieniowanie a wczoraj
na schodowej
klatce spotkałem jego żonę która powiedziała że on ma raka krwi
w ostatnim stadium nieuleczalnego i że to koniec
a ja teraz boję się mu popatrzeć w oczy a wiesz taki
sympatyczny człowiek tak przyjemnie się z nim biegało rano...”

natychmiast chciałem jakoś uspokoić olafa
pocieszyć mówiąc „nie przejmuj się taki los zresztą
znajdziesz sobie innego sąsiada dla porannych przebieżek a jeśli
nie znajdziesz sąsiada to weź sobie irlandzkiego setera
wiesz jak one lubią biegać? to nawet o wiele lepiej niż
z człowiekiem no i te psy nie chorują na raka” ale
nawet nie wiem czemu ale nie zacząłem nawet tego robić
nagle to wszystko wydało mi się jakąś czystą literaturą
pomyślałem że to mógłby być niezły fabularny pomysł
dla powieści kundery
który lubi mistrzowsko opisywać ludzkie tragedie a tu wszystkie ingredencje
gotowe – berlin niedługo przed zjednoczeniem dziwny sąsiad dwadzieścia lat
wspólnego biegania gazety na ścianach jak kronika przełomowych
historycznych wydarzeń
które zmieniły oblicze europy choroba rak i widzą państwo
on nie wie jak teraz popatrzeć w oczy
napisałem coś całkiem neutralnego
coś w typie „trzymaj się zresztą ty już jemu w niczym nie pomożesz a ty
jeszcze masz żyć i żyć nie myśl o tym co złe nie myśl
o raku”

a potem przyszło mi na myśl coś zupełnie heretyckiego
pomyślałem:
oto już dziesięć lat żyję w odległości niespełna stu
kilometrów od czarnobyla żyję i chodzę tymi granitowo-marmurowymi
ulicami dostaję chamskie porcje wszelkiego radioaktywnego
promieniowania mam krótkowzroczność niedawno wykryli u mnie
zapalenie wątroby
co prawda na informacyjnym poziomie jednak zapalenie przygłuszony
katar żołądka od czasu do czasu daje mi się we znaki od piętnastu lat nie
schodzą brodawki choć mi nie przeszkadzają ale nie schodzą
jak wszystkie czarnobylskie dzieci mam problemy z tarczycą
czasami kłuje mnie serce i wszystko to jeszcze przed trzydziestką

ale ja dokładnie wiem że nie zachoruję na raka
po prostu jestem pewny że nie zachoruję na raka

będę żył długo o jejku jak długo
nie będę kupował gazet nie będę biegał rano nie będę czytał kundery
nie będę chodził po mieście z dozymetrem nie pójdę na badania
nie podpiszę deklaracji nie wystąpię z partii
nie wstąpię do partii nie zrobię analiz nie zabiję nie ukradnę

nie porzucę ojczyzny wejdę głęboko bardzo głęboko w maleńką swoją
ojczyznę

i zasnę

GENY

mam bardzo dobre geny
mój prapradziadek dożył do 119 roku życia i umarł z godnością
po prostu wszedł do domu położył się i umarł
powiedziawszy przed tym „no to będę umierał” a moja babcia a jego wnuczka
(kiedy słucham tej historii sto pierwszy raz nie mogę powstrzymać się od śmiechu)
jeszcze go uspokaja „nie dziadziu jeszcze za wcześnie”

być może moja babcia mówi nieprawdę
a być może mówi prawdę nie do końca
nie mogę przecież powiedzieć że kłamie bo tak nie można wobec starszych
ale czasem wydaje mi się że babcia trochę koloryzuje
119 lat to za dużo nawet jak na początek XX wieku
jednak kto wie? nikt nigdy tych chłopów nie spisywał
tym bardziej nikt im wtedy nie wydawał dokumentów

ale wszystko jedno – mam po prostu fantastyczne geny
co by nie mówić
mam szansę dociągnąć do osiemdziesiątki a jeśli gerontologia
pójdzie do przodu i wymyślią
jakieś nowe pigułki od starości to w zasadzie i do dziewięćdziesiątki
można dożyć

inna kwestia – mój obecny tryb życia
i to jak przebiję swoje zdrowie
jak my wszyscy przebijemy przesrywamy swoje zdrowie
wdychamy tytoniowy dym pijemy chlorowaną wodę
nie śpimy po nocach wstajemy w południe przeżywamy stresy
zdradzają nas żony my zdradzamy żony

codziennie umieramy z rozpaczy
pasiemy swoją własność trzymamy się za portfele w trolejbusach
godzinami przesiadujemy przed komputerami

z jednej strony reklamują nam zdrowe życie
wzywają do zdrowego seksu i kuszą na wszelkie sposoby
z drugiej strony tak trudno naciągnąć prezerwatywę
już w wieku 29 lat tak trudno naciągnąć prezerwatywę
włożyć byłoby łatwiej nie mówię że mam problemy z potencją
mało kto ma problemy z potencją w wieku 29 lat
ale jeśli jeszcze bodaj miesiąc potrzymam laptop na jajach
już mnie nie uratuje hiszpańska mucha ani yohimbina ani nawet viagra

ale nie mogę inaczej
i dalej będę trzymał na jajach swój laptop i
pisał swoje beznadziejne wiersze które coraz częściej nazywają
opowiadaniem
jedna stara cipa – rodzona siostra pewnego słoweńskiego poety
który już parę lat stoi w kolejce do nagrody Nobla
tak właśnie powiedziała: „a dlaczego pan nazywa TO wierszami?”

ach nie – chciałoby się jej odpowiedzieć – proszę się nie niepokoić
nie zamierzam robić konkurencji pani bratu
na nagrodę Nobla jestem jeszcze za młody
i mam laptop na jajach i jeszcze nie znam osobiście Johna Ashbery’ego
i nie mam przekładów na angielski
tak więc spoko staruszek nie niepokój się o brata

dalej będę trzymał swój laptop na jajach bo
inaczej nie mogę inaczej nie wychodzi
chcecie nazywać to opowiadaniem chcecie nazywać to psim gównem
ale inaczej nie mogę

nie mogę dalej pozwolić sobie na pisanie metaforami
na grę z tradycją i pisanie o ślimakach
możliwe że macie rację i poezja we mnie umarła
(Boże znowu metafora) i żaden już ze mnie poeta
a tym bardziej nie poeta kultury czy poeta natury

tylko poeta który trzyma laptop na jajach
tak mnie nazywajcie:
„Andrij Bondar – poeta który trzyma laptop na jajach”

większego komplementu nie możecie mi zrobić
wyjaśnić wam co to laptop?

ROBBIE WILLIAMS

„czemu oni wszyscy tak na mnie patrzą?
czyżby wiedzieli że jestem Ukraińcem” – za każdym razem myślę
wchodząc do kolejnego baru
„czyżby to było tak widać czyżby czyżby aż tak
aż tak było widać że jestem Ukraińcem”

zdejmuję kurtkę (z importu chyba niemiecką ale tu w takich nikt nie chodzi)
zostaję w dżinsach kupionych tutaj w zeszłym roku
zostaję w swetrze wyprodukowanym w państwie Peru
sweter – z pięknej wełny alpaki
świetny jakościowo i wygodny ale tutaj nikt takich nie nosi
zostaję w amerykańskich okularach
co jeszcze?
buty raczej sportowe – takie modne były cztery lata temu

wyglądam beznadziejnie
czy może tylko tak mi się wydaje?
mój nastrój kołysze się między gorącym patriotyzmem i chęcią by dać komuś po mordzie
ale to by mnie całkiem zdradziło

„tylko Ukraińcy mogą tak po prostu wziąć i dać komuś po mordzie” –
myślą i się nie myślą
„tylko Ukraińcy tak pięknie potrafią śpiewać”
myślą i się nie myślą
(„tak śpiewać dzisiaj nie będę” – postanawiam)
„tylko Ukraińcy tak potrafią patrzeć kiedy się rozbierają” –
myślą i się nie myślą
„tylko Ukraińcy mogli wyróżnić tak wielu naszych
w tak krótkim czasie”
myślą i się nie myślą

tak krótkim czasie mogli tylko Ukraińcy

mam pół godziny
na wykonanie swojej historycznej misji

co ja zdołam zrobić przez pół godziny nad jednym kuflem piwa?

zrobić podsumowanie dnia
jeszcze jednego dnia Ukraińca w Polsce
i wyciągnąć pocieszający dla mnie wniosek:

„ja się im podobam po prostu jako człowiek jako osoba”
i odpłacam im wzajemnością zamawiając jeszcze jedno piwo

a robbie williams już dziesiąty raz dzisiaj mówi mi czego on oczekuje
od życia:

„i just wanna feel real love” – śpiewa robbie williams

ja i on potrzebujemy tego samego

dzisiaj nikomu nie dam po mordzie –
robię krok w stronę ukraińsko-polskiego pojednania
i uśmiecham się jak nikt tutaj nie potrafi

dobrze widzą moje zęby równy rząd zdrowych białych ukraińskich zębów
tutaj takich nikt nie ma

SŁUŻĘ NARODOWI UKRAINY

jednym ze swoich poprzednich wierszy
spokojnie mógłbym zrujnować całkiem sympatyczną
kijowską rodzinę ale
bardzo bym tego nie chciał

co jednak zrobić jeśli twoja twórczość
czasem bardziej przypomina donos albo wyciąg z protokołu?

gdzie jest granica między aktem twórczym a jakimś bardzo poważnym
ludzkim zdarzeniem kiedy wiersz przestaje być zabawką
utworem artystycznym stając się zwierzeniem oświadczeniem czy zwyczajnie
donosem?

nawiasem mówiąc niedawno dowiedziałem się że jakiś szalony poeta
(nie raczej zwyczajny szaleniec który uważa się za poetę choć może się myłę)
rozpuszcza plotki o tym że jestem donosicielem
że sam na własne oczy widział napisany przeze mnie donos
do specsłużb na innego pisarza
plotki nie powiedziały mi przeciwko któremu konkretnie pisarzowi
był skierowany mój donos i co ja właściwie
w nim napisałem
ale ciekawe w ogóle jest to że młodzi ludzie – moi rówieśnicy
coś takiego sobie wymyślają
nieodmiennie chcą postawić mnie w sytuacji
kiedy trzeba się tłumaczyć;
„no co wy? nie jestem donosicielem jaki ze mnie donosiciel?” itd.
czyli postawić w sytuacji w której
cokolwiek powiesz

wszystko obróci się przeciwko tobie
ale się nie obrażam po prostu
sam bardzo chciałbym się dowiedzieć
jak to się odbywa jak dzisiaj pisane są donosy
jak są formułowane i co dzisiaj może zainteresować ukraińskie specsłużby?
co takiego szczególnego w życiu pisarza może zainteresować ukraińskie specsłużby?

mógłbym na przykład donieść że
poetka X. zdradza swojego męża
niemal z każdym pierwszym lepszym
poeta Y. zajmuje się nielegalnymi operacjami finansowymi
prozaik Z. nie tylko zdradza swoją żonę ale i
robi to można by powiedzieć w niezwykle sposób i wszystko
to będzie prawdą która może zainteresować ukraińskie specsłużby
i tę informację będzie można wykorzystać przy sposobności
na przykład kiedy poetka Z. przegnie i zdradzi jakąś tajemnicę państwową
swojemu kolejnemu zagranicznemu kochankowi
na przykład że w pewnym ukraińskim mieście
ludzie mają możliwość wzięcia prysznica tylko przez 6 godzin na dobę
poeta Y. przekaże wielką sumę w dewizach na jakąś przybrzeżną wyspę
i nie zapłaci podatków
a prozaik Z. co zrobi prozaik Z.?
na przykład po prostu wyemigruje i poprosi o azyl polityczny
na przykład w Danii

ale co na tym zyskam? czy będę popularniejszy po donosie na innego pisarza?
a może to
taki rodzaj satysfakcji? sposób konkurencji? zazdrość zwykła ludzka zazdrość
może potencjalnie
zrobić ze mnie donosiiciela? czy po prostu wtedy specsłużby w moim przypadku
staną się
zamiennikiem wyższych instancji? Boga? absolutu? czy po prostu zrobię to
z wielkiego pragnienia
żeby poskarżyć się na świat a wówczas major połtawa czy generał radczenko
uścisną mi dłoń i powiedzą jak
swojemu dziękujemy za wykonaną robotę za współpracę itp. bardzo nam
pan pomógł tym że w porę
uprzedził zapobiegł itd.

a co ja na to im powiem
„służę narodowi ukraiń” – powiem im

słyszycie palanty?
SŁUŻĘ NARODOWI UKRAINY

* * *

kosmici – to dusze umarłych afrykańskich dzieci
które prześladują Europejczyków
odbierają im resztki racjonalizmu
i zdrowego rozsądku
mszczą się za światowy porządek
stworzony na ich obraz i podobieństwo
podkładają bomby w bramach
straszą po nocach latającymi talerzami
wykoleją transeuropejskie ekspresy

i obcinają liny alpinistom

jednym słowem bawią się jak dzieci

i ich nieuzasadnione okrucieństwo
ich pozagrobowa mściwość
pachnie sawanną i dźwiękami bębnow
pachnie potem afrykańskiej mamy
która być może urodziła sobie nowe dzieci
i ich zmarłych nawet nie wspomina

i coś im maleńkim awanturnikom pozostaje

LATYNKA

dawno mnie korciło
przynajmniej w poezji
żeby przynajmniej raz
przejsć na alfabet łaciński

jeden mój znajomy uważa
że wraz z przejściem na latynkę
nasz naród zacznie mniej kraść
a więc gdzieś natychmiast nagle
zniknie ta rozchełstana bizantyjskość
ta chamska sowieckość ta bezbrzeżna ugrofińskość
(sorry, węgry, sorry finowie)
i w głowie coś tylko „trzask” – i już jesteśmy europa

a moja inna znajoma uważa
że wraz z przejściem na latynkę
automatycznie lepiej będą nas rozumieć

zachodni słowianie
wszyscy ci polacy czesi
(i nawet niemcy jakoś raptem zaczną nas szanować)
no przynajmniej jeśli nie lepiej
to w nas pojawi się bodaj maleńka szansa
bycia zrozumiałymi

a jeszcze jeden mój znajomy uważa
że przejście na łatinę
trzeba zacząć od Zachodniej Ukrainy
gdzie grunt powiedzmy humus czyli naród
jest lepiej do tego przygotowany
jeździ do włoch portugalii na zarobek
a więc zna europę nie z cudzych słów
a z własnych wrażeń
czarnej roboty czarnej zazdrości czarnej niewdzięczności

a Mykoła Riabczuk
(widzicie włochy i portugalię napisałem małą literą)
którego bardzo szanuję
uważa że ukraińska by przeżyć między wschodem i zachodem
powinna zmniejszyć się do strawnych rozmiarów
czyli do 6 zachodnich województw po zbrucz
długo się z nim spierałem
walcząc o winniczynę żytomierszczynę
i rodzimą chmielniczynę
ale Mykoła Riabczuk wiecie jaki jest mądry
coś sobie pomyślał i wszystko

będzie dobrze z wyjątkiem jednej tylko
bukowiny
ona automatycznie przejdzie na łatinę
kiedy tylko przyłączy się do wielkiej rumunii
a nawet jeśli i do maleńkiej mołdowy
się przyłączy
to i tak przejdzie na łatinę

kiedy każdy z żyjących ukraińskich poetów
napisze jeden wierszyk łatiną
można będzie ułożyć antologię
współczesnej poezji ukraińskiej w łatinie
szkoda tylko że Iwan Małkowycz nie zdoła wówczas napisać

o księżycowym sierpnie litery je
i cieniutkiej świeczce litery ji

WIEK CHRYSZTUSOWY

powoli zbliżając się do wieku bruce'a lee
nagle uświadomiłem sobie że jeszcze nie wystąpiłem w żadnym filmie
nie pokonałem wroga nie urodziłem syna nie zostałem gwiazdą pop
nie znam nawet żadnego chwytu karate
nie mówiąc już o innych rodzajach pojedynków

dziwne słowo – pojedynek
niby żyjesz w świecie w którym wszystko ma być zrozumiałe
no więc pojedynek i pojedynek
i przechodzisz przez niego i idziesz dalej
a jeśli się nad nim zastanowić to robi się nudno
to znaczy zaczynają się nudności
od tego że to naprawdę znaczy
walkę z samym sobą
to znaczy „walkę” która nie wychodzi poza granicę „jednego”
to znaczy siebie

tak więc zbliżając się do wieku bruce'a lee
nagle zrozumiałem że kiedy mówią więc na przykład
„wiek Chrystusowy” albo „kobieta w wieku balzakowskim”
to przede wszystkim chcą usunąć jakieś wewnętrzne sprzeczności

wraz z wiekiem Chrystusowym jakby jest zrozumiałe
że człowiek osiąga stan pierwszej dojrzałości
która pojawia się w 33 roku życia
a jak to jest z kobietą w wieku balzakowskim?
czemu nieodmiennie musimy dopasowywać kobiety do balzakowskiego wieku?
czy to taki eufemizm żeby nie mówić „kobieta w okresie menopauzy”
żeby nie brzmiało to zbyt ostro?
ale dlaczego – pytam – dlaczego nie trafiła się w historii kultury
jakaś wybitna kobieta która umarła w 51 roku życia
żeby nazwać ten skomplikowany etap kobiecego życia
jakoś po kobiecemu?
a okazuje się że to balzac ma coś wspólnego z menopauzą

ale ja nie o tym

tak więc zbliżając się do wieku bruce'a lee
nie wiem jak to wszystko potoczy się dalej
a nawet nie wiem czy warto dożyć do wieku Chrystusowego
już teraz widzę jak przychodzą urodzinowi goście
i każdy z nich (albo jeden przez drugiego) mówią
„a więc chłopcze osiągnąłeś wiek Chrystusowy”

jakbym ja osobiście miał się czym chwalić
jakbym ja niósł ciężki krzyż
jakby to mnie wbijali w dłonie żelazne gwoździe
jakbym to ja krzyczał z bólu i bólu:

„O KURWA DLACZEGO MNIE OPUŚCIŁEŚ!”

NAUCZYCIELKA CHEMII

w starszych klasach szkoły średniej
miałem bardzo dziwną nauczycielkę chemii
od żądry pociły się jej oczy ona – wiem to dokładnie –
kochała młodych chłopców
kochała nas młodych ludzi którym chemia
nie przydała się w życiu
choć może komuś się i przydała
ale mnie nie zupełnie nie
mnie nic prawie nic się nie przydało
nawet fizyka i wychowanie fizyczne zwłaszcza ta pierwsza
bo niczego nie zawdzięczam nauczycielowi fizyki
choć on jeden jedyny z całej szkoły nas zwyczajnie po ludzku
rozumiał

na mnie od razu machnął ręką i nawet się nie dziwił
kiedy kończąc 11 klasę
nie mogłem znaleźć energii znając masę i jakąś stałą wielkość
do kwadratu (może współczynnik przyspieszenia wolnego spadania
albo stałą plancka do kwadratu)
on bez wątpienia nas kochał
ale kochał zupełnie nie tak
jak kochała nauczycielka chemii
seksualne pożądanie w jakiś dziwny sposób łączyło się u niej
z niesłychaną nienawiścią do tych małoletnich głupków
którzy kichali na tę jej strasznie ciekawą naukę
na jej reaktywne benzole i propyleny i jej żałosne
eksperymenty którymi próbowała nas
zaciekawic

kiedy rozdawała zeszyty z laboratoryjnymi pracami
wydawało mi się że zaraz podejdzie do mnie
i plunie mi prosto w oczy kwasem solnym
potem wetknie w wypalone dziury swoje starannie wymanikiowane palce
ale ona mówiła patrząc przez grube szkła
„trójeczka, bondar, znowu trójeczka”

a ja jej odpowiadałem nie milczałem brałem swój zeszyt
i albo myślałem o czymś zupełnie innym
albo życzyłem jej szybkiej śmierci och jak nienawidziłem
tej wstrętnej baby w okularach choć może niepotrzebnie życzyłem jej złego
może ona w swoim życiu prócz nas – małoletnich szajbusów
odpłacających jej czarną niewdzięcznością – niczego nie miała

już potem kiedy skończyłem szkołę przypadkowo się dowiedziałem
że zniknął jej mąż
on dużo pił – ten jej mąż –
i nagle przepadł bez śladu
szukali męża przez pół roku a potem znaleźli
na miejskim wysypisku i tylko
dzięki jakimś osobistym rzeczom ustalili że to był mąż
nauczycielki chemii

ciekawe w czym ona mierzyła swą nienawiść
kiedy truła go jakimiś skomplikowanymi chemikaliami?
w dzulach? kilokaloriach? woltach? i czy w ogóle
znaleziono wielkość którą można mierzyć nienawiść?
ciekawe kto jej pomagał zaciągnąć go na śmietnik?
może jakiś jej uczeń – zwyczajna miejskiej olimpiady chemicznej
bo tylko jemu tylko jemu jednemu
potrafiła powierzyć swoją tajemnicę

a potem długo się kochali
nienasyceni święci niegodziwcy
nienasyceni przekłeci niegodziwcy
wprost na wysypisku koło trupa w polietylenowym worku
wprost pod gołym neonowym niebem
pod gołym krótkowzrocznym niebem
tego najpiękniejszego ze światów

WARSZAWA
S.O.

Z majowych białych wierszy, deszczów i polucji
 Zawsze wychodzimy jacyś sparszywiali.
 Dziecinko, następstwami jesteśmy rewolucji,
 Spójrz, jakie światło bije od zgniłej Warszawy.
 Bo słońce każdej nocy ucieka do Europy,
 Bo zjawia strachu jeszcze dręczy ciało.
 Dziecinko, to wątpliwe, czy coś da się zrobić,
 Kiedy pragnienie wciąż nie odleciało,
 A mamy wodę z dłoni piłą tylko.
 Gwoździ wśród palców dziurawych przybywa.
 I patologiczna nieobecność Egiptu
 Wszelką próbę ucieczki nam uniemożliwia.
 To ten brak w nas posiany pewnie winny temu –
 Ta potrzeba drogi, do którejśmy przywykli.
 Dlatego żwir przyjmuje się bez problemu,
 Rozbite drogi i kosze starych motocykli.
 W przyszłości na nas żaden nie czeka, kochanie,
 Szacunek ludu czy ojców zniewaga.
 Wierz mi, jest zawsze końcowy przystanek,
 Choć nie wiem, czy to akurat Warszawa.
 Przecież rozumiesz, te popsute krany
 Nie odpowiadają za wodę wylaną.
 Jodyną znaczysz otrzymane rany,
 Modlitwę sennie czytasz, do snu się zbierając:
 O przyjdź i uświęć wszystko to, cośmy robili
 Na niesłyszalną liczbę spójrz przychylnym okiem...
 I moje dłonie, jak dwie ryby,
 Spragnione przywierają do wilgotnych okien.

Dwudziestego kwietnia spadł deszcz.
 Z trudem otworzyłem niemalowane drzwi,
 Lepki bruk kleił się do podeszew,
 I my jak muchy godziliśmy się z twardością.

Do tego był okres czasu – długi i przerywany,
 Powolne czekanie i pusty pokój,
 Podwórza chłodna przepełniona wanna,
 I krople deszczu – ciemne, niby nafta.

A potem był autobus, co mknął na południe,
Rzucając się jak ryba w deszczowych potokach.
Byli sąsiedzi, których wypadało znosić,
I było jakieś idiotyczne przeczucie potopu.

I jechałem, na górę zarzuciwszy torbę
Jakby chcąc, żeby deszcz nareszcie ustał,
I wgryzał się starym robakiem autobus
W ciężkopadające jabłko deszczu.

Narastała depresja – powoli, ale wyraźnie,
Chciało się pić i ciągnęło do uogólnień.
Bo niedawne uniesienie na nic się nie zdało,
I w oczach sąsiadów pojawiło się błaganie.

Wszystko skończyło się, jak zawsze, całkiem prozaicznie –
Kuliłem się przed mrozem i przed światłem, jak szczur.
Była przestrzeń, wypełniona wilgotną nicością,
I był deszcz, który wcale nie ustał.

ALKOHOL

*Zielona woda rzek zatrzymuje się w ciepłych korytach,
ryby wielkie jak sterowce rozganiają plankton
i zmęczeni ptaszynicy usiłują schwycić
każde słowo.*

Mocno trzymaj kolorowe szmaty i scotch,
którymi uciśnięto przecięte żyły naszego bohaterskiego czasu.
Kiedyś w końcu zamkniesz wreszcie to radio,
przyzwyczajając się do niej, przyzwyczajając się do jej oddechu,
a ona, włożywszy twoją sportową koszulkę,
przyniesie ci w środku nocy wodę.

Na letnim tarasie filiżanki z resztkami herbaty
wypełniają się ulewą, napełniają niedopałkami,
mamy wspólne zaziębienie, wspólne długie rozmowy –
ty nie zauważasz porannych deszczy, późno kładąc się spać
i tak samo późno się budząc,
ja piszę wiersz o tym jak kocham
tę kobietę i jak wymyślałam
coraz to nowe słowa
tylko po to by jej o tym
nie powiedzieć.

Padaly deszcze.
Potem ich zabraklo.
Odchodziły ciężko, jakby szły umierać.
Ze starego podjazdu przez rozbite drzwi
Wyszedł różowy degenerat.
Biała koszula
Na piersi dzwoneczek
Czego więcej trzeba dla ładnego chłopca?
W dzień laził po śmietnikach, wieczorem wychodził
Pokłonić się różowej makóweczce słońca.
Po nocy błądził
Głuchymi stepami,
Zawzięcie bił się w księżycu promieniu,
Ustami w locie muchy łapał,
Co dnia wprawiony lepiej w tym ćwiczeniu.
A rano wracał
Do pustego miasta –
Jak zawsze wesół, lekki jak motylek,
Dla swej kochanej różowej babuni
Ostu jaskrawy niósł w dłoni badylek.
No i świetnie,
No i idylla –
Babcia, wnuczek, chwile jak marzenie
I w cichy pokój przez żółte firanki
Słońce sypało różowe promienie.

HARCERKA N.

Tak odchodziło twoje dzieciństwo –
głos się ustawiał, ubywało druhów,
wysoko w niebie, mocno i pewnie
wisiało życie, jak kolczyk w uchu.

Głośni i słabi – tak żyliśmy wpięci
w czasu zdobyczną taśmę kotylionem,
błędni rycerze boogie-woogie,
dzieci mocnego portweinu skurwione.

Ty naciągałaś wojskowe buty,
biegłaś do szkoły – z piórnikiem, z kredkami.
Jeszcze przed tobą: pierwsze skrobanki,
ojcowskie dżinsy, biustonosz mamy.

Jeszcze wysoka fala się wznosiła.
Srebrna rozbita klawiatura
wciąż kształtowała podstawy stylu –
tak się rodziła kontrkultura.

Z ciepłymi gilzami „Białomorów”,
z kocami rozbitych studenckich akcji
uporczywie podrywał się w górę
zmęczony blues twych menstruacji.

Co nas łączyło? Zabliźnione gniewy
znikały w nocy, niby w wodzie wiosła.
Odkrywaliśmy się, tworzyli szparki.
Ciepłe wiatry mimo woli niosły

smutek w duszę, jakby miód w plaster.
Aleśmy się, chwała Bogu, trzymali! –
wbrew wszystkim szalonym zgryzotom,
na przekór radzieckiej władzy.

Tak się skończyło: pogodne gnicie,
ściszona fala, jeziorna tafla.
Jak żarna rozciera czas chybiony
wspólnych doświadczeń ciemne ziarna.

Wiem tylko tyle – kiedy ostro wieje,
kiedy wichrami wstrząsana biosfera,
to tylko wtedy warto jest oddychać,
to tylko wtedy warto drzwi otwierać.

Do ust się lepi cząsteczka morfemu –
alternatywna przezroczysta woda.
Tego, co było, na tematy nie podzielisz.
Tak kochaliśmy. I nam się uda.

GENERAŁ JUDA

Spadł śnieg późnym wieczorem
Na piersi bandażami brudu.
Na wąskim łóżku zgnojone
Liże rany swe chory Juda.
Słono-zimowy smak pustyni
Siada na wszystkim i z sufitu
Zwisają wspomnień pajęczyny

Starego Judy aż do świtu:
Nerwowe ruchy, żar oracji,
Butny uśmieszek, że się uda –
W bój na bagnety swoje pułki
Podrywa już generał Juda.
Zwały mury się doszczętnie,
Wisielcy wisieli wysoko.
Do miasta, zalanego gorącym deszczem,
Wchodziło czarne wojsko.
Bieląła sól, którą kropił.
Krew – Sądu zapowiedź budzi.
I ludzie pospiesznie padali w pył
Do nóg wielkiego Judy.
Marzenie tak się ziściło,
Zwyczajnie, jak wszystko się stało.
Już nie wie, kiedy jak żmija
W ciało zakradła się starość....
Nieśli na cmentarz chorągwie zniszczone,
Ciężko, okrutnie płakali,
A jego maleńki potomek.
Pustymi łuskami się bawił.

(Z POEMATU NEP)

2.

Irenko, to wszystko naprawdę jest bardzo ważne,
To wszystko, nie wiem czemu, przypomina mi salto –
Ty masz ruchy dorosłej kobiety, skarbie,
I usta o posmaku asfaltu.

I to jest jak zapłata za dawnych błędów grzechy,
Kiedy, po słowie rozpylając słowo,
Dziewczynka łuska sobie włoskie orzechy
I dlatego pewnie czuje się odlotowo.

A mimo to jest droga – przez dwanaście godzin
Mknie na Zachód pociąg polykając przestrzeń,
Tam, gdzie żółtawi Chińczycy łowią
Na długie wędkę ryby w Dnieprze.

I pod lepką powierzchnię ich wabiąc,
Dusz rybaków rujnując służe,

Akustykę nocy napelniają
Rusinki-rusałki swym bluesem...

Nie słuchasz mnie – fatalnie jesteś wychowana,
Pół doby to różnica między nami.
Dlatego nie zobaczysz, jak pierwszy śnieg nerwowo
Ugina się pod twoimi nogami.

SERBO-CHORWACKI

Młoda Serbka idzie ulicą,
i mijając jesienny bazar z rozłożonymi kramami,
widzi, że tej jesieni jest dużo złota w chustkach i warzywach –
tyle ile w ciepłych łuskach cebuli;
dużo światła w restauracjach,
gdzie na ścianach wiszą
portrety cesarza.

Ciebie też dotyka ciepło tej jesieni,
ta młoda kobieta czegoś szuka w swoim plecaku,
wykłada na stół słuchawkę i oliwki;
przyjdzie do ciebie zima,
przyjdą sny,
ale niebo jest cięższe każdej jesieni
i chytry anioł
wybiera sobie grzeszników,
jak tłuste daktyle
z kolorowych opakowań.

Cierpkie słowiańskie syntagmy;
ona opowiada jak kupowała koperty w budce z tytoniem,
jak zeszła do metra
i zlatujące się gołębie objęły się o nią, jak o deszcz;
kiedy mówi, nikt nie zauważa, że słońce zachodzi,
widzą tylko, że jej kości policzkowe
lekko ciemnieją.

Spróbuj jej teraz wyjaśnić,
że jesienne zegarki,
jeśli nie zbierze się ich w porę,
przejrzałe tryskają
sokiem na ubranie i dłonie,
a potem zlatują się osy
i przebijają żądlami twoją skórę
aż do samego serca.

SPRZEDAJNI POECI LAT 60.

Sprzedajni poeci lat 60-tych powinni się cieszyć,
że wszystko tak dobrze się skończyło;
tyle przecież było niebezpieczeństw,
a spójrz – przeżyli, oddali kredyty,
chyba tylko bitewne rany
ćmiał podczas cyklonów
jak w dni miesiączki.

Sprzedajni poeci lat 60-tych ciągną za sobą
wielkie walizy z żółtej sztucznej skóry;
zatrzymując się w hotelach,
przytrzymują ramieniem słuchawkę, jak skrzypce,
a na ich walizach błyszczą reklamowe nalepki.
Wietkong, dziewczyno, to również nasza zbiorowa podświadomość.
Co tobie do mnie? – bez żalu wyrzucisz zmiętą wizytówkę.
O jedną wizę w paszporcie więcej,
o jedną mniej.

Kiedyś na zaśnieżonym lotnisku
któremuś przypomną się wszystkie te wykłady,
berlińskie radio i mosty na Wiśle.
„W porządku – pomyśli – w porządku
to były niezłe czasy – nasze sprzedajne 60-te,
choć została po nich w głowie
sama pederastia i socjaldemokracja.
Nas prowadziła miłość,
miłość wyrywała nam migdałki,
jak słuchawki z ulicznych telefonów.
Poezję pisze się gardłem,
ale gardło jest beznadziejnie wyziębione”.

Wedle wszelkich praw literatury,
według wszystkich umów jakie podpisali
naprawdę walczyli o wolność.
A wolność, jak wiadomo, wymaga,
żeby za nią od czasu do czasu walczyć –
w okopach, w lasach
i na szpaltach niezależnej prasy.

Mówiąc tu o poezji,
wspomnimy wszystkich, którzy pozostali
na uliczkach i plażach starych dobrych 60-tych,
wszystkich, którzy nie ukończyli kursu rehabilitacji

i nad którymi wciąż jeszcze przepływają chmury,
przypominające strukturą amerykański vers libre;
wspomnimy ich, o ile to, co wy nazywacie czasem,
jest czymś w rodzaju zwyczajnej rzeźni,
gdzie kiszki wypuszcza się po prostu dlatego,
że trzeba robić to właśnie tutaj
i przeżyć to mogą
chyba tylko sprzedajni poeci,
z płucami rozerwanymi
przez miłość.

ATEIZM

Nr 1

Zawsze podchodziłeś
do tego podejrzliwie
Mario

Ale oto wymię jego serca
ścieka mlekiem bólu

I przesiedziawszy przy nim
noc na deszczu i wietrze
czujesz jak twoja skóra
zamiast opalenizną pokrywa się rdzą
z wątpienia

Uważnie oglądasz
bliznę od pocałunku ucznia
czerwieniejącą na jego nieogolonym policzku
jak ślad tępego ostrza

I twoje dłonie jeszcze długo
będą pachnieć benzyną
którą paliłaś
nasze miasta

Nr 2

Zdaje się
powiedziałeś kiedyś
że często wyobrażasz sobie
anioła – wielkiego białego ptaka

z ostrym mocnym dziobem
do rozbijania twardych
orzechów Bożego smutku

Sól zapiekła się
na twoich palcach
przecież słowo Boże ono
jak tafańka – smaczna
ale się nie najesz

Wieczorami długo siedzisz
na progu
zdrapując z rybich grzbietów
srebrne monety łuski

A nad twoimi drzwiami
błyszczą w świetle księżyca
maleńka podkowa
z diabelskiego kopyta

Nr 3

Całujesz go
i wraz z twoją śliną
na jego ustach
zostają
mikroby zdrady

Na pożegnanie
mocno ściskasz
jego kościste ręce
i spod twoich palców
ptak zdrady
śliski i spocony
wzbija się w górę

Jeszcze nim
wyjdiesz od niego
wypowiadasz
kilka słów
i twój język
wijąc się jak ryba
składa
ikrę zdrady
w twojej krtani

I jedyne
co ciebie może zdradzić
to chyba tylko
ten sam język
który
w przeciwieństwie do twojej
bladej twarzy
długo pali ze wstydu

Nr 4

Pytasz mnie,
co czułem na końcu?
właśnie co mogłem
czuć
kiedy moje płuca
zanurzywszy się
zaledwie
wiszą we wnętrznościach ciała
aby wyłuskać z muszli
powietrza perłę kwaśną
więc czy byłem zdolny uzmysłwić sobie
przyczynę swojej duszności?

Potem Mu powiedzieli:
za tymi drzwiami powiesił się Judasz
i jego ciało – pobite i pocięte –
wisi w pokoju
jak rozstrzelane płuca ziemi

SPRZĄTACZKI KORYTARZY

Powoli skrobią podłogę jak pokład
stare sprzątaczk korytarzy;
słyszysz, poszeptują na schodach,
przechodzą lekko pod ścianami,
długimi bosakami wyciągają z wody
piżmaki i gorzkie sny.

Półcienie wypełniają dookólne pokoje,
jak węgiel krążowniki;
sprzątaczk korytarzy
ostrymi nożami zdzierają łuskę,
wbijają w poranne słońce cygańskie szpilki;

jesień dobiega końca
i niebo jest tak ciemne, jakby ktoś rzucił na stertę
odrabiane łby kur
i czarne róże.

Kiedy zmyją całą krew,
zbierają się na dworcach, piją grzane wino
i rozmawiają o tym,
że dzisiaj ryby błędzą w Dunaju,
nie mogą wypłynąć na płycznę
bez nocnych świateł
statków,
bez głosów z brzegu,
bez otworów i tuneli
w diabelskim lodzie.

POLSKI ROCK

Zasypiając, przypomniła sobie rzekę –
gdzieś w zagłębieniach snu, tam gdzie zapominała
jego twarz,
wnętrze jej wyziębłego koryta świeciło
brązem,
choć nurt był zasypany śniegiem;
potem z mgły wytaczały się powojenne stare
lokomotywy
i wychodzili robotnicy w kombinezonach
z niebieskiego dzinsu.

Znaleźliśmy się po różnych stronach zimy,
i głos spikera, posłyszany przypadkiem w taksówce,
ciągle ci przypomina
lata osiemdziesiąte i radio
pełne polskiego rocka;
rock-n-roll, którego w parowozowniach słuchali mechanicy,
rock-n-roll, który przedarł się przez Karpaty,
rozcinając powietrze gdzieś koło Rawy Ruskiej;
nasz kraj nie jest tak wielki, byśmy mogli się w nim rozminąć,
nasze powietrze nie takie bezkresne,
żeby słuchać odmiennej muzyki.

Myślę, że gdyby istniała bezpośrednia łączność z Bogiem,
ureczywistniałaby się właśnie za pomocą
tych ciepłych brązowych kopert

z płytami polskiego rocka
z cienkimi zadrapaniami po paznokciach Boga
na czarnych polach;
możesz zobaczyć jego winylową skórę,
możesz usłyszeć jego truskawkową krew,
zmywając pył i
przecierając ścieżki
gąbką z octem.

Ptaki spłoszone przez wiatr,
uspokoily się, znajdując sobie miejsce
w przerwach pomiędzy uderzeniami jej serca,
nie wiedząc, co ona widzi we śnie;
o kim zapomina w suchym korycie rzeki:
cały bagaż jej życia to pieprzyki na skórze i
skasowane bilety w kieszeniach kurtki;
oto zima przewali się z jednego wzgórza na drugie
i nadejdzie gorąca pora,
kiedy z ziemi wyrosną tyle różnych rzeczy,
że powietrze będzie musiało unieść się odrobinę
by nie zaczepiać o te długie wysmukłe żdźbła,
które wyrastają nie wiadomo skąd i ciągną nie wiadomo dokąd
akurat pod jej oknem.

ŻYĆ ZNACZY UMRZEĆ

Latem, kiedy nagrzewają się obrączki i paznokcie
na palcach mężczyzn w przydworcowych hotelach,
a dzieci z nowych osiedli o zmierzchu
przyciskają do serc czarne futbolowe piłki;

w ciemności, gdy winiarnie parują różowym winem,
pociąg do Budapesztu, powolny jak ślimak,
zakurzony i kruchy, przejeżdża pod księżycem.

Umarłeś pewnego razu i wędrujesz dalej
przez nocne podwórza i zauważasz że
śmierć ma ręce pełne miętowych cukierków
i w przydworcowej pustce rozdaje je dzieciom.

W lecie, kiedy ukazuje się ciepła podszewka życia,
kiedy rozbijają się autka koloru twojej szminki,
z domu wychodzi stary aptekarz,
który każdego dnia leczy wszystkich aspiryną,

grając ze śmiercią w jakąś nieznaną grę;
życie nie zacznie się bez ciebie – śmieją się kobiety na placu,
żyć znaczy umrzeć – powiedzą ci samotni kurierzy,
którzy w plecakach szmuglują suche niebo.

Umarłszy pewnego razu, wycofujesz się w cień
i widzisz jak twoje ciało bezradnie szuka
ciebie wśród żdźbeł gęstej trawy;
umarłszy w środku lata,
urwawszy się z lin, napiętych przez listonoszy,
dusze umarłych, jak czepny krwawnik
przecinają w powietrzu swoje pionowe linie.

Spróbuj, kiedy już wiesz jak to się robi,
spróbuj, wyrwij mnie z nocnego wnętrza kraju,
wyrwij ze ślepych wyciągów nieba,
którymi przychodzi miłość.

Kto ci przeszkodzi, kto wygoni, dziewczynko,
owady i duchy z twojego ciała?
Pod letnim niebem moja i twoja ziemia
tak dławiaćco pachnie co lata księżycem i bandażami.

...Po śmierci odstąpiwszy o pół kroku w bok,
patrzysz przez szwy w powietrzu
jak tajni kinomechanicy kierują
na twoje ciało
wielki niebieski kinematograf,
aby leciały do jego światła
dusze umarłych
i szmaragdowe cienie żuków...

ELEGIA DLA URSZULI

Łodzie załadowane hiszpańskim czosnkiem
po długiej żegludze weszły do portu,
obwieszone małżami, jak fałszywym złotem.
Wiem, tej nocy aż do samego świtu
suche prześcieradła ostro
pachniały marynarskimi ubraniami i smołą,
gwiazdy spadały na wybrzeże jak nigdy,
i zanim się zbudziłaś, łodzie, lawirując wśród boi,
wbijały ci się między palce.
Co mogłaś zobaczyć, nim umarłaś?

Ciągłość powietrznego strumienia nie pozwala
na zatrzymanie oddechu, ciągłość oddychania
nie daje ci się zatrzymać, kiedy przechodzisz przez granice.
Co wolno zobaczyć na ostatek tym,
którzy mają umrzeć?
Gdzieś na północy kontynentu zaczynała zbierać się kra
i nawet najgłębsze serca cebulek
stygły i nieruchomiały o świetle.
Czy widziałaś śnieg na podniebieniach
ryb, które wynurzyły się z wody?
Czy poznałaś rzekę,
która spływała kamiennym relifem,
jak sterta mokrych ciężkich
prześcieradeł?

Dwudziestoośmioletni
pamiętam tyle imion,
o których dzisiaj nikt już nie mówi,
tyle imion, przy których wypowiedzianiu
podniebienie zachodzi krwią i śniegiem,
bez względu na to, czy się odważę mówić o tobie tak umownie;
po mojemu – śmierć to jakby przejście z jednego
pustego pokoju do drugiego,
przeciąg, który wyrывa rozetki
i studzi krew tym, którzy zostali.

I młode dzielne ptaki z sercami na wietrze,
i fale północnych jezior, które stoją w wodzie po gardło,
nie mając odwagi wyjść na brzeg;
i wysokie drzewa, pozbawione liści – jak obywatelstwa:
wróć tutaj, gdzie na powiekach twardnieją mętne perły czekania,
gdzie z piasku wyrastają wodorosty i słodki tytoń,
gdzie, wierni banderze i nie znający spokoju,
każdego ranka zbierają się jungowie z zatopionych łodzi,
i aż do nocy fruwają nad nimi dusze
rozgniecionych pomarańczy.

POCZTA

Poczta, nad którą przeczołguje się odwilż,
i poranne supermarkety, przez które idą roznosiciele pizzy –
jak bez wysiłku trzymasz rzeczy, potrzebne ci każdego dnia,
fajkę z haszyszem
i filiżankę z herbatą,

zimowe naczynia popaćkane miodem,
jak starannie unikasz przeciągów i korespondencji;

z widokiem na miasto, które całkiem umilkło,
o tej porze roku uliczny handel niezbyt jest ożywiony,
dwaj-trzej sprzedawcy prażonych kasztanów
patrzą w niebo,
i pada śnieg, ale tak pogubiony,
że topi się już tam – zaledwie doleci
do pierwszych ptasich zgraj;

ptaki mają niezłą zabawę –
nad głową tyle śniegu
a już pod skrzydłami tak pusto,
że aż się prosi by latać długo między przęsłami mostów,
z zapachem prażonych kasztanów w dziobach;

każdy coś sobie znajdzie, byle dobrze szukał,
anioły sypią ci pod nogi murarski piach i diamenty,
bezzadne słońce pośrodku zimy
może jedynie się poruszać –
ze Wschodu na Zachód, kochana,
ze Wschodu na Zachód.

NIEKOMERCYJNE KINO

Na zdjęciu, znalezionym w mieszkaniu
które wynajmuję, widać dziewczynkę lat
13-14 w dość skąpym kostiumie kąpielowym,
na jakiejś plaży, obok niej kamienne nabrzeże,
dziewczynka śmiało patrzy w obiektyw, jakby mówiła: „cześć,
głupki, to ja”, niżej podpis „Bukareszt, 86”, teraz
miałaby pod trzydziestkę, mniej więcej tyle co ja,
jeśli zwyczajnie nie zdechła w tym swoim Bukareszcie od alkoholizmu,
którego w Bukareszcie chyba się nie leczy, zresztą u nas też.

Ciekawe, teraz przypominam sobie tamte czasy i myślę – jaką kaszą
były nabite nasze mózgi! Te inteligenckie zamroczenia z lat 70-tych,
jakieś opowiadania o beacie i lewicowej profesurze, o wolności sumienia
i nowym jazzie, który mają wskrzesić biali, kolejny kit,
minęło piętnaście lat i możesz tylko kolekcjonować
przypadkowe świadectwa wielkich wstrząsów, a nieznajomi
równieśnicy, rozrzućni po wszystkich kontynentach, jeśli nie pomarli
na syfils i komunizm, trzymają za gardło historię swojego kraju,

nie chcąc jej wybaczyć haniebnej kapitulacji, i słusznie – aniołowie powinni trzy razy najpierw pomyśleć, zanim zwiążą się z takimi błaznami, sami sobie winni, muszą teraz wyciągać ich z depresji i kupować im modlitewniki, zresztą my tylko powtarzamy to, co dzieje się w niebie, ale czymże jest niebo, jeśli nie systemem luster, rozstawionych co prawda w taki sposób, żeby niczego nie można było w nich zobaczyć.

Wszystko zależy od pory roku i pogody – żyjąc w starych europejskich stolicach, nabitych świeżym emigranckim mięsem, sam decydujesz czym się zająć, na przykład chodzisz do małych kin w bocznych uliczkach, daleko od centrum, gdzie leci prawdziwe stare kino, gdzie w sali na starych ponurych krzesłach siedzi kilka pensjonarek i zboczeńców, i patrzą na te wiecznie młode dziewczęta, których twarze zapamiętali z pierwszych dziecięcych seansów, potem idziesz do domu, wracasz do mieszkania, gdzie z każdym rokiem jest mniej powietrza, a coraz więcej demonów, które w nocy, kiedy zasypiasz, zbierają się przy twoim łóżku i długo oglądają tatuaże na twoich rękach komentując co ciekawsze obrazy cytatami ze Świętego Augustyna.

WEWNĘTRZNY KOLOR OCZU

Na schodach uniwersytetu siedzi kobieta,
która dobiega trzydziestki,
i pali camela.
Ścierając
krople deszczu ze skóry,
która jest tak przezroczysta, że pod nią
widać wodorosty i piasek,
myśli – oto znowu z nieba syją się
zimne ostrza, srebrne gwoździe
i ranią śmiertelnie ślimaki,
które padają, rozrabane na pół,
jak krzyżowcy w piaskach Palestyny.

Trzeba długo mówić,
szepcząc i powtarzając
różne słowa i nazwy różnych rzeczy,
żeby powietrze wokół niej
nie wyglądało na takie puste.
Po przebudzeniu

wszyscy jej mężczyźni
przykładają głowy do zegarków,
jak do muszli,
i słuchają jak w dalekich jeziorach
podnoszą muł
wielkie żółwie.

I nawet nie zadzwonisz do niej przy okazji;
bo czasem warto umrzeć, żeby zrozumieć,
że to było życie,
i czasem trzeba zamknąć powieki, żeby zobaczyć,
po której stronie snu jesteś;
i wraz ze zmianą pogody znów podniesie się ciśnienie,
które sprawia, że pękają naczynia włosowate
w oczach przypadkowych motyli,
a jej skóra staje się cieplejsza,
które sprawia, że woda w kranach i naczyniach
zamienia się w krew
i kobieta znów przez cały dzień nie może
zrobić sobie kawy
ani herbaty.

HOTELOWY INTERES

W tanich berlińskich hotelach, które prowadzą Rosjanie,
gdzie w recepcji nie ma cukierków, a w pokojach – podobnie –
firmowej papeterii,
w których stoją wanny pożółkłe od czasu,
w których ukrywają się ryby i skorpiony,
często zatrzymują się goście, doświadczeni przez życie,
którzy mają coś do opowiedzenia o tym czasie, zanim się zwałą
na łóżko z butelką i starymi munsztukami.

Dopokąd mówią i żują krojoną szynkę
przyniesioną ze sklepu naprzeciwko
i popiół z ich papierosów leci na łóżko,
jak śnieg na portowe miasta,
księżyc wychodzi zza rogu ulicy przesuając się bliżej kościoła
i pokojowe zaczynają zajmować się porannym sprzątaniem,
znajdując w kabinach prysznicowych zużyte prezerwatywy
i poplamione krwią ręczniki.

I oto pewnego razu do jednego z takich hoteli
wprowadza się mężczyzna, pokazawszy w recepcji studencki

ausweis, i zamyka się w pokoju.
Rano przynoszą mu jeszcze śniadanie a on –
– z tacą, nie zdejmując ubrania i butów –
wchodzi do wanny i odkręca kran.

Znalazłwszy go następnego dnia
i wezwawszy policję,
pokojowe długo rozmawiają,
trzeba to było – mówią – tak nałykać się proszków na sen,
żeby umrzeć w wodzie,
widzisz, okazuje się, że śmierć może pachnieć
turecką kawą
i co tu robić po tym wszystkim.

Miasta rozdarte żądzą samotnych kobiet,
księżyc zwilżony śliną młodych emigrantów –
wszystko, o czym jeszcze będą mówić, co mają jeszcze do opowiedzenia,
kiedy każdy łyk i każde zaciągnięcie się
to tylko pretekst do przedłużenia niekończącej się rozmowy.

Mało kto domyśla się granicy widzialnego,
szczególnie w tym pokoju z tosterem i nocną lampką,
z którego nie ma wyjścia, i nie ma wyjaśnienia,
przecież nie będziesz słuchał przestraszonej pokojowej,
która weszła tam pierwsza
i nawet widziała, jak w wodzie pływały
rozmiękle banknoty i czarne delfiny,
a z sufitu na cienkich pajęczynach
opuszczały się pająki oraz anioły
które sypały płatki róż
w chlorowaną wodę.

KOBIETA ZA TRZYDZIEŚCI DOLARÓW

Zima obstała miasto,
dla tych, którzy włóczą się od samego rana
nie mając żadnych spraw
to nie najlepsza pora.
Biesy i pijacy rozbiegli się po dworcach,
grzeją się w kabinach fotograficznych,
nie wychodzą na zewnątrz.
Te niebiosa w rozszierzonych alkoholem
żrenicach nastolatków, ich głos, co zamiera,
kiedy mówią o kobietach –

jak one piją czerwone wino,
jak się rozbierają, jak speszone płaczą,
rozmazując gorącą szminkę po ubraniu i serwetkach.

Życia dostanie ci się dokładnie tyle,
ile potrafisz ogrzać
własnym tchnieniem i dłońmi –
śnieg nad rzeką,
resztki tytoniu i cukru w mieszkaniu
i zawsze mogą powiedzieć:
żegnaj, dziewczynko,
kraj, w którym żyję,
może tylko dlatego się nie rozwalili,
że jest w nim jeszcze paru ludzi
którzy się kochają – bez hysterii
i prezerwatyw – po prostu
mówią do siebie jakieś słowa,
spotykają się gdzieś na ulicy,
nie bardzo nawet wiedząc,
gdzie te kobiety piją swoje czerwone wino,
gdzie się budzą, a potem speszone płaczą
rozmazując gorącą szminkę po skórze i serwetkach.

Popatrzyś na świat za swoimi oknami,
na świat, z tym niebem, które płynie po jego powierzchni,
i pomyślisz,
że nawet jeśli uda im się i tym razem przetrwać zimę,
co zrobią ze swoją ciemnością? –
przecież tak czy inaczej od nas zależy tak mało,
życie zapewne trwa sobie bez końca i bez początku
i po każdej wielkiej miłości
pozostają puste
sale oczekiwania.

ORKIESTRA CMENTARNA

Historie związane z zabójstwami ranami od noża
z samobójstwami nieudanymi skrobankami i w ogóle
historie związane ze zbrodnią przyciągają wielu
tylko przez swoją tajemniczość – w takich historiach
mężczyźni są mężni i pokorni, a dzieci
wplatają w swoje fryzury różane łydźki
bożej obecności, w takich historiach
śmierć zawsze wybiega do przodu, jakby chciała zobaczyć

czym wszystko się skończy, wielu ludziom właśnie się podoba,
że śmierć w tych wypadkach zaczyna się jeszcze za życia
i można zobaczyć jej buzię
podlotka.

W takich historiach wcześniej czy później pojawiają się muzykanci
z domu pogrzebowego, wyskakują z rozklekotanego
autobusu na grząską cmentarną ziemię i wyciągają spod płaszczy
dudy, trąbki i myśliwskie rogi, wytaczają
pułkowe bębny, katarynki i grają nad nieboszczykami
wielki cmentarny jazz, krwawą i niepowstrzymaną muzykę rozpaczy
i przekory, tęskne gangsterskie melodie, melodie
starych szlagierów, popularnych wśród marynarzy i prostytutek,
i wtedy wszyscy, którzy przyszli poprowadzić nieboszczyka w ostatnią
drogę, oddychają z ulgą, bo takie są reguły,
taki, powiedzmy, rytuał, jednym słowem naprawdę
boją się nie nieboszczyków – boją się sami nimi zostać.

Jeszcze w takich historiach obowiązkowo występują kobiety,
i o nich trzeba powiedzieć osobno – o tych
czterdziestoletnich kobietach, w których jeszcze można
dostrzec namiętność i niezdecydowanie siedemnastolatek,
one oplakują każde bezmyślne życie, zmarnowane
na takie drobiazgi jak miłość i oddanie, pamiętają jak się
zaczynał w naszym kraju wielki kryzys,
dotąd powtarzają szeptem te słowa,
którymi je żegnano:

*wszystko w porządku, mała, nie trzeba żadnych leków,
chcę kochać bardziej, niż ty chcesz rodzić,
życie nie zatrzymało się, jak myśleliśmy, popatrz – dalej
przychodzą poranni kurierzy z dworca i kochankowie
żegnają się na schodach,
zostanę z tobą i będę dalej widział
jak pielgrzymi wpelzają ci na dłoń i zaczynają
poruszać twoim sennym ciałem,
i ześlą cię cierpienia im, niebiososa,
w ich bezkresnej wędrówce.*

ŚNI MI SIĘ BOHUSZ ZOLAI

Śni mi się Bohusz Zolai,
 widzę jego kryształową rękę z przylepionymi spadochronikami dmuchawca.
 Jego anioł rusza za wydetą piłką,
 którą unosi powolny nurt. Wchodzi w wodę, niepewny tego żywiołu.
 Otwiera się suchy owoc minionego dnia, pełen zagadek i spostrzeżeń:
 Bohusz na przystani, jego włosy i koszula są spokojne,
 mimo przybrzeżnego wiatru, który wydyma pasiasty rękaw stacji meteorologicznej;
 powietrzna kula oświetla krajobraz, płonie z trzaskiem jej piekielne jądro.
 Ptaki obsiadają głowę zabitego żrebięcia, wystarczy żebyśmy się odwrócili – i znów
 widzimy, jak padają ich czarne cienie. Niedaleko granica: ciche furgony
 nocą ruszają po pobielonej ścianie brzegu, rzucając półksiężycy magnezowego światła.
 Bohusz wynosi nam ławki, plecione maty. Buczą kociołki nad miedzianą rzeką Keresz,
 nabierające wodę na noc; szybciej obraca się młyńskie koło, nieobciążone ziarnem.
 Wiem, jak może tam być – wyżej za nurtem, na strychu, we wnętrzu winnicy.
 Wiem, jak pusto dźwięczą buklaki, jak błędne światło rozchwiewa spróchniałą kłodę ciała,
 jak zmieniają się sąsiedzi. Kiedyś jedyna droga tam
 spłynie kurzem, i co wtedy? Kamień się obnaży, trysną źródła? Bohusz
 pokazuje płytę pośród ogrodu – nagrobek duchownego.
 Ogród odkrywa swoje filie na peryferiach świata.
 Bohuszu, tyś tam, gdzie dwoje, czworo, przeżegnawszy się, siada w wewnętrznym podwórku
 wieczoru.
 Utworzonego przez jego krok, podstępny, jego głuche okrzyki.
 Rozniecasz ogień w napełnionym węglami tłumiku, czego starasz się ustrzec?
 Nocnych odgłosów, co przypominają hurkot ciał w rurach nieba?
 Przelotów aniołów, które znają swoje miejsce i czas? Linii frontu, które niepowstrzymanie
 zaciskają swój pierścień?
 Oko tajfunu, w którym nocują twoje ptaki. Znajdujesz schronienie w Księdze,
 wino, które pijesz, znajduje uspokojenie w twym łyku. A gdzie poruszenie łoży,
 i dlaczego w twojej Księdze nie napisano nic o niepokoju ogrodnika?
 I ty, który uważasz siebie za doświadczonego meteorologa, czy potrafisz
 odczytać znaki na powietrznych latawcach, które puszczają reporterzy
 posłani na tamtą stronę? Czy przynajmniej słyszysz ich łopot?
 „Najważniejsze, mówi Bohusz, to umieć zaskoczyć jedną z godzin na gorącym uczynku, a ta,
 wciąż jeszcze nieostroźnie odsłonięta, poprowadzi nas korytarzem wszystkich następnych godzin”
 Jak właściwie odczytać dzwonięcie kluczy, gdzieś daleko przed nami,
 klepanie kos, rytmy woodoo, ciemne ślady na powietrznych ścianach – od krzyży,
 z dwóch związanych patyczków?
 Co zdradza nas przed wielką wodą – tych parę pytań, i ich rozchwiane ganki,
 w których stoimy grupkami, przekazując z rąk do rąk chleb i oliwki?
 Bezsensowność otwiera się tutaj punktualnie i uroczyście, jak nowy
 jaskrawo oświetlony supermarket, przychodzą tutaj i się targują,
 Cyganie pędzą tu wszystkie swoje konie,
 „czy mogę przenocować w twojej bezsensowności?”

Bohusz patrzy na ten posrebrzony kontynent, który unika swego cienia,
cierpiąc na nieuleczalną fobię – być cieniem swojego cienia.
Ciemne komety nietoperzy; najprostsze rzeczowniki, woda, proch, głos, obracają się
jak stroboskopy, wyrzucając koczujące błyski.
Ślady na wodzie, pociąg, jakiego nie udało nam się zatrzymać na tej przelotowej stacji,
znaki naszego niewidzialnego pisma, co jeszcze widać z lotu ptaka?
rojniasienie, światło naszych zapalonych krtani, głosy, które wyświetlają się
spod żeber kuficznym szybkopisem,
płomienie silników, lśniący sąd, który niesie się aerodromem,
gardłowy śpiew, którym dubbingują dla nas przesłanie Matki Boskiej Fatimskiej?
wysoko oberwane rynny, nieskończona płatanina śladów,
jakaś plama, coś wśród drzew, co się pojawia, gaśnie
i znów wyświeśla się w innym miejscu
kolejowe rozkłady jazdy i stacje które zawsze są za daleko
zamarznęte szyby z pismem czyjegoś nierównego oddechu?
Anioł przeszedł na tamten brzeg, wykręca dół szaty.
Bohusz zlewa resztę wina do butli, opuszcza pokrywę studni
i zanim zgasi lampę
zostaje niewiele słów, ale i te kto wie czy zdążyś wypowiedzieć:
„póki jeszcze czujemy jeden drugiego plecami
jesteśmy póki jeszcze czujemy jeden drugiego plecami”

(OBCY, OBCA)

w nocy obce dziecko splata długie wędzisko z twoich włosów
i cudza bezsenność grzechocze pomiędzy nami jak puste wiadro w studni
łękliwie i obco tańczy płód w twoim łonie
łękliwe jego fantazje zaszumia nad nami jak złote drzewo
kiedy staniemy milcząc u stóp wzgórza jego piętnastu lat
i pierwsze jego pożądanie będzie dla nas jak przyćmiona oliwna lampa
która oświeśla tylko ręce
nasi synowie pełni odwagi stoją daleko na północ od nas
jak myśliwi co trąbią w słomiane rogi
wiedz że w chwili kiedy dotkniesz piersi swoich jak cudzych
zacznie wokół nas repetycję niema i powolna orkiestra
przerywam przebijam siebie może jestem niekonsekwentny
śliskie
brzezi pamięci
i gwałtowne
jej studnie
ale oto obrazek z cudzej pamięci:
pociąg przywozi do miasta żołnierzy i czarny pomór
a na peronie tylko orkiestra z trąbami pełnymi pierza
i pod nogami jak żółte pierze nagle obca ojczyzna

kiedy spłynie z wodą młyn dla mnie przygotowany
kiedy zetknie się w drzwiach dwanaście moich codziennych narzeczonych
kiedy zobaczę żeńców którzy ścinają pod wodą trawę dla czyjejs ostatniej nocy
wiem że odwróci oczy nieprzejrzany przedwieczny aptekarz i wiem
która przeważy szalka
kiedy spotkam braci którzy opróżniają dom dla złotych pstrągów
kiedy niespodziewany śnieg spadnie na ślepego poganiacza
jakby napisał się biały na białym list
kiedy znajdzie się w śniegach sierp czyjejs pierwszej nocy
odróżnię głos twojej trąby od trąb tych dwunastu narzeczonych
i wiem która przeważy szalka

TYSIĄC OGNISK

jeśli serce to naga dziewczynka
otoczona zastępami ponurych ogrodników
to moje serce wyrywa się i biegnie do ojca
który ciągnie sieci ciemnego popołudnia
jeśli serce to budynek który spłynął z wodą
to w moim sercu jeszcze trwa ostatnia wieczerza
jeśli serce to kroki raptownej wdowy
która właśnie wesołych muzyków pożegnała
to moje serce jest niemą kobietą uczłą
przypominam sobie ciebie tańczącą ciemno i bezładnie
jak tańczy w mroku jądro ogromnego orzecha
przypominam sobie jak mówi w tobie moje serce
bo mówi ono jak płoną nasze nocne gniazda
jak płonie czerwony opłatek który dzieli kobiety
daleko na horyzoncie

FRONTIER, GRANICA

coraz bardziej spróchniałą łodzią przewożą nas przez rzekę
coraz większe psy pilnują porzuconych dziewcząt
kiedy zobaczysz złote jagnięta które blakają się na skraju lasu
wiedz że widzisz swoje pragnienie
kiedy w dalekim porcie spotkasz kobiety które niosą do studni
dzbanki pełne wody a wracają z pustymi
wiedz że widzisz pragnienie tej która nie może ciebie odnaleźć
bliżej granicy jest kraina ślepych i niemych myśliwych
myśliwych którzy zdolni są tylko słuchać

cienka pajęczyna łączy cnotliwe i one się w nią wsłuchują
bliżej granicy wściekle konie zaprzęga się do powozu pamięci
bliżej granicy złe głosy beznadziejnie starych matek
jak błyskawice nagle wyszarpują z mroku
żebraczą wieczerzę
bliżej granicy przeznaczeni przez los tkają nam przebudzenia i głosy

GRANICA KOŁO TETOWA

Nasze strachy płyną nią
jak długą żyłą południa.
Czarna jaszczurka szurnie między kolanami,
doczekawszy się aż w locie
posną twój letni bogowie.
Tu nasze strachy są żywsze niż my –
płyniemy w nich, niby w łodziach z kolczugi.
Tu sen nasz jest odważniejszy od nas – w nocy
wychodzi na cypel, jak proboszcz z gorzkim kadzidłem.
Tu nasza pamięć odważy się na cudzołóstwo.
Tu noce, jak czarne kotwice, grzęzną w nas.
Wojna – to rzeka,
w którą wypuszczają srebrne ryby.
W ten ostatni dzień twojej przyszłości,
pokąd sięga moja pamięć,
zobaczysz wąsatego generała obnażonego –
on uderzy w kocioł, napełniony zbożem.
I zobaczysz setki czarnych stołów na placu,
gdzie będą mieszać ciasto dnia.
I zobaczysz, jak Boże wołki
będą szukać sobie paszy.
Tego dnia koło Tetowa
my,
rozgromieni jeden przez drugiego,
nie rozpoznamy własnych twarzy.

ROMANS WYSPY

śni mi się ten który narodzi się z mojego ciała
przechodzi przez pokoje okrąża wzgórze i tonie
widzę go teraz
kiedy daleki mulat bije w gong ciała
wiedziałem o nim
kiedy świeciło się w okienkach żądry

jak w okienkach mechanicznych zegarów z wahadłami
widzę ciebie teraz
przechodzisz przez pokoje jak ciało z twojego ciała
i nie mogąc utonąć kładziesz się pośrodku nurtu
ty oślica Pańska ty wyspa dla tańczących przewoźników
ode mnie odgąłęzia się nieznośna rzeka
w nocy moje czarne osy gnieźdzą się okienkach lnu
bo drżenie światła w tych okienkach
to znak twej obecności

8.09.99

(TRZY ŚWIĘTE)

oto święta Juliana
która sadziła piołun obok pięt Pana
jej studnia to bezdenna łódź
w której sterują śpiący
prowadzisz tam pięćdziesięciu myśliwych
którzy mają cię podbić
ale jeden wypowiada słowa tak jak się spuszcza charty
i nie przykłada się do wody
drugi stąpa jak mnich który ostatni zachodzi do pokoju siostry
i nie przykłada się do wody
a trzeci ten w środku
słucha najmniejszego w świecie morza
o przyjdź Juliano

.....
oto święta Tekla
która sadziła oliwki koło pięt Pana
wielki jej palec przeciw zwierzowi
a wskazujący przeciw kuszącemu
jej ręka kopie piwnicę
dla piętnastu twoich prześmiewców
jej słowa jako owce co przepływają jezioro
z których ostatnia najpełniejsza mleka
oto tam szesnasty z pomiędzy owych prześmiewców
kołysze w piersiach dwa serca i nie może przejść na ten brzeg
o Teklo nie odmawiaj przyjdź

.....
oto święta Eufrozyna
która sadziła lilie koło pięt Pana

nad żołnierzami wyrastała żaglem
i obracała się żarnem nad łóżami ich postarzałych przez noc narzeczonych
ona mąka i woda i chleb na stypę
przerażenie woźnicy co o północy mija szpital
i rozpacz tej która rodzi samotnie na brzegu stawu i radość jej
i niemota uschłych owoców morwy
tu każdy ze spragnionych ujrzy kobietę
co pije z drugiej strony wody
i tylko jeden z nich stoi nad murem studni niby nad murami Jeruzalem
i nie jest w stanie zejść tutaj
o Eufrozyno nie pogardź nim przyjdź

święta Juliana święta Tekla
święta Eufrozyna
moje głosy to postawiony na pustyni trójramienny świecznik

JAKIŚ SZOFER ALBO TRAGARZ

Ratuj mnie Boże morze moje się cofa
po tej stronie toru kobiety prowadzą na brzeg
stare obnażone ciężarne
po tamtej stronie do snu ścielą
pośrodku ja jako dziecko modłę się do Świętego Serca
za pierwszym oknem kwitnie morwa
za drugim mój pradziad bosy klęczy na śniegu
pośrodku lustro z buzią siostry
maleńkie na skraju pamięci
Co za potwór nosi mnie w swym łonie
dawno minęło wszystko a jakże boli
i umarli jak drzewa płoną za moimi plecami
w żaden sposób się ich nie pozbędę w Montfalcone
w Trieście w Aurizonie w Ankonie
ciasno im we mnie wychodzą na ludzi niedorzecznie
niedorzecznie zawsze nie do rzeczy jak sumienie
a na tym świecie
córką moja na każdym dworcu
wychodzi za mojego ojca
i anioł pomiędzy bocznkami
który nie jest mężczyzną ani kobietą
o Najświętsze Serce morze moje tonie



EMMA ANDIJEWSKA

ur. w 1931 roku – poetka, prozaik, malarka. Opuściła Ukrainę w 1943 roku, mieszkała w Paryżu i Nowym Jorku, od 1963 w Niemczech (w Monachium). Autorka dwudziestu paru zbiorów wierszy m.in. *Poezje* (1951), *Narodziny idola* (1959), *Pieśni bez tekstu* (1968), *Nauka o ziemi* (1975), *Kawiarnia* (1983), *Znaki Taroka* (1995); powieści *Herostratesy* (1970) i opowiadań *Podróż* (1955), *Tyгрыsy* (1960). Członkini Grupy Nowojorskiej, zawiązanego w 1958 roku ugrupowania, zrzeszającego pisarzy ukraińskich z Ameryki Północnej. Uchodzi za najwybitniejszą przedstawicielkę nurtu modernistycznego w emigracyjnej literaturze ukraińskiej.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ

ur. w 1960 roku – poeta, prozaik, tłumacz (m.in. z polskiego), eseista. Mieszka i pracuje w Iwano-Frankowsku. Wiceprezydent Asocjacji Pisarzy Ukraińskich, „Patriarcha” grupy literackiej Bu-Ba-Bu, za sprawą której doszło do odrodzenia w literaturze ukraińskiej tradycji karnawałowej i bufonadowej. Debiutował w prasie literackiej w 1982 roku. Z doświadczeń służby wojskowej (1983-84) zrodził się cykl siedmiu „wojskowych” opowiadań, jak również scenariusz *Marsz dla anioła*, według którego powstał film Andrija Donczyka *Głód tlenowy* (1991). Wydał m.in. zbiory wierszy: *Niebo i place* (1985), *Śródmieście* (1989), *Egzotyczne ptaki i rośliny* (1991), *Egzotyczne ptaki i rośliny z dodatkiem „Indii”: zbiór wierszy*. Autor głośnych powieści opublikowanych przez „Suczasnist”: *Rekreacje* (1992); *Moskowiada* (1993), *Perwersja* (1996), wydanie książkowe – 1997. Od 1991 r. współredaktor (wraz z Jurkiem Izdrykiem) czasopisma literacko-artystycznego „Czetyr”, współpracownik pisma „Perewał”. Twórczość Andruchowycza wywiera istotny wpływ na kształt współczesnej literatury ukraińskiej, z jego nazwiskiem związane jest też nieoczekiwane zainteresowanie, jakie zaczęła ona budzić na Zachodzie. W Polsce ukazał się wybór jego esejów *Erz-Herz-Perc* (1996), powieść *Rekreacje* (1994), *Moskowiada* (2000), *Perwersja* (2003), *Ostatnie terytorium. Eseje o Ukrainie* (2002) i (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem) *Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* (2001).

NATAŁKA BIŁOCERKIWEĆ

ur. w 1954 roku – poetka, krytyk literacki. Mieszka i pracuje w Kijowie. Wydała m.in. *Balladę o niepokornych* (1976), *W krainie mego serca* (1979), *Podziemny ogień* (1984), *Listopad* (1989) oraz zbiór esejów *W kontekście epoki* (1990). Za tom wierszy *Alergia* (1999) nagrodzona w 2001 „Kryształem Vilenicy”. Pracuje w redakcji miesięcznika „Ukraińska Kultura”. Wedle *Małej ukraińskiej encyklopedii współczesnej literatury* jej poezja „jest jednym z najpiękniejszych poetyckich elementów postmodernistycznego dyskursu na Ukrainie”. Prywatnie żona Mykoły Riabczuka.

ANDRIJ BONDAR

ur. w 1974 roku – poeta, prozaik, tłumacz, publicysta. Skończył studia filologiczne w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Autor trzech tomów wierszy: *Jesienna herezja* (1998), *Prawda i miód* (2001) i *Prymitywne formy własności* (2004). W latach 1998-2000 redaktor naczelny organu AUP „Literatura Plus”, redaktor i felietonista działu „Księgarnia” w tygodniku „Zwierciadło Tygodnia”. Przetłumaczył na ukraiński *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza (Kijów, 2002). W 2003 pół roku spędził w Polsce jako stypendysta Ministra Kultury. Uczestnik wielu festiwali poetyckich, m.in. brał udział w europejskim projekcie *Literaturexpress Europa 2000*. Obszerny wybór jego wierszy, zatytułowany *Jogging* ukaże się w wydawnictwie Mamiko.

JEWHEN BRUSŁYNOWSKI

ur. w 1963 roku – poeta, prozaik. Autor (i wydawca) *Kalendarza Brusłynowskiego* (1996), książki w formie kalendarza ściennego z odrywanymi kartkami, mieszczącej najrozmaitsze gatunki literackie, porady, wiersze, opowiadanka, notatki. Czas, który zatrzymał się na Ukrainie w dniu, kiedy nastąpiła katastrofa w Czarnobylu, paradoksalnie jest czasem, który przyspieszył. *Kalendarz* (z niego pochodzą zamieszczone w tej antologii wiersze), w brawurowy sposób ukazujący nienormalność czy absurdalność ukraińskiej rzeczywistości, wpisuje się w karnawałowo-groteskową tradycję literacką, łącząc elementy gry literackiej, czystej zabawy z wielkim serio. Brusłynowski uważany jest za jednego z nielicznych przedstawicieli konceptualizmu na Ukrainie. Fragmenty *Kalendarza...* drukowała „Literatura na Świecie” i „Akcent”, fragmenty *Listów z Kijowa albo Dziennika komputerowego* rzeszowska „Fraza”. Brusłynowski mieszka w Kaniowie.

MYKOŁA CHOŁODNY

ur. w 1939 roku – poeta, krytyk. Autor m.in. tomów *Krzyk z mogiły* (1969 – wydanie emigracyjne), *Zmierzch w duszy*, *Droga do matki* (1993), *Mein Keif* (2000), *Księga Przestróg*. 999 (2003). Krążące w samwydawie w drugiej połowie lat 60. jego wiersze cieszyły się dużą popularnością. Aresztowany w 1972 roku, po opublikowaniu samokrytyki został zwolniony i zmuszony do opuszczenia Kijowa. Od tego czasu mieszka w miasteczku Oster w obwodzie czernihowskim (nieдалeko strefy czarnobylskiej). Laureat nagrody Bu-Ba-Bu za najlepszy wiersz roku 1995.

WOŁODYMYR CYBULKO

ur. w 1964 roku – poeta i eseista. Publikacje książkowe: *Klucz* (1988), *Piramida* (1992), zbiór wierszy i esejów *Anioły i teksty* (1996). Wspólnie z Ihorem Rymarukiem zredagował antologię *Poeci ukraińskiej diaspory* (1990). Autor tekstów popularnych piosenek, charyzmatyczna postać w środowisku

kijowskiej młodzieżowej pop-bohemy. Krytycy zwracają uwagę na jego zamiłowanie do konstrukcji filozoficznych, wielopłaszczyznowość i „mozaikową wariantowość” jego wierszy. Mieszka w Kijowie i Lwowie.

HRYHORIJ CZUBAJ

ur. w 1949 roku, zmarł w 1982 – poeta i tłumacz. Zaocznie ukończył studia w Instytucie Literackim im. Gorkiego w Moskwie, pracował jako robotnik. Debiutował w połowie lat 60. Jeden z najważniejszych przedstawicieli nurtu neomodernistycznego lwowskiego undergroundu lat 70., jego poezja wywarła duży wpływ na świadomość autorów lat 80. Jest autorem dwóch, wydanych pośmiertnie, książek *Mówić, milczeć i mówić znowu* (1990) i *Placz Jeremiasza* (1999). Niektórzy krytycy uważają, że odegrał w ostatnich trzech dekadach minionego stulecia w ukraińskiej poezji rolę porównywalną do tej, jaką swego czasu w literaturze anglojęzycznej spełnił T.S. Eliot.

NAZAR HONCZAR

ur. w 1964 roku – poeta, aktor. Mieszka we Lwowie. Laureat nagrody Bu-Ba-Bu za najpiękniejszy wiersz roku 1989 oraz nagrody Highway Kohelet, o której wiadomo tylko tyle, że sam ją ustanowił. Autor i wyznawca koncepcji „teatru próżniaczej istoty”, założyciel i właściciel Teatru Leniwej Istoty. Wydał poemat *Ilustrowana bajka o Bajdzie Niemowie. Hulajpole 3* (1993) i tom wierszy *Prawo wszechświata: migotanie* (1996). Jeden z nielicznych performerów w ukraińskiej literaturze.

OŁEKSANDR IRWANEĆ

ur. w 1961 roku – poeta, prozaik, dramaturg, krytyk literacki. Mieszka i pracuje w Irpeniu i Kijowie. Ukończył studia w moskiewskim Instytucie Literackim im. Gorkiego. Współzałożyciel grupy literackiej Bu-Ba-Bu, jej „Podskarbi”. Autor tomów poezji: *Ogniśko w deszczu* (1987), *Cień wielkiego klasyka i inne wiersze* (1991), *Kochajcie!* (2003). Uchodzi za jednego z najbardziej błyskotliwych poetów młodszego pokolenia. Przedstawiciel karnawałowo-prowokacyjnego nurtu postmodernistycznego, wiersz „Kochajcie!” wywołał swego czasu oburzenie konserwatywnych czytelników. Wedle glosariusza pisma „Czetwer” (nr 3/92): „Twórcze credo Irwancja polega na żonglowaniu”, a realia polityczne, społeczne i kulturowe w jego wierszach nabierają rysów groteskowego wyolbrzymienia. „Irwanec balansuje na granicy, za którą zaczyna się jawny kicz i grając sztampami i stereotypami kultury kiczu, tworzy wirtualno-groteskową alternatywę dla schizofrenicznej współczesności (swoistą schizoanalizę)”. Publikował w czasopismach opowiadania, w latach 90. zajął się dramatopisarstwem. Wybór jego dramatów *Recording i inne utwory*, zawierający oprócz tytułowego *Na żywo, Wielkanocną elektryczkę i Krótką sztukę o zdradzie dla jednej aktorki*, wyszedł w Polsce w 2001 r. Sztuki Irwancja grane były z wielkim powodzeniem w Niemczech.

IWAN ŁUCZUK

ur. w 1965 roku – poeta, prozaik, tłumacz, krytyk literacki. Autor tomów wierszy: *Rytm biegunów [Łu-Ho-Sad: Poetycka ariergarda]* (1996), *Sonety* (1996), *Palindromy* (1997), *Trzydzieści trzy sonety* (1998), powieści *Uliszeja* (2000), kilku książek krytyczno-literackich. Członek grupy Łu-Ho-Sad. Uchodzi za twórcę stylistycznych, językowych i konceptualnych prowokacji, dobrze przyjmowanych przez krytykę literacką. Mieszka i pracuje we Lwowie.

WASYL MACHNO

ur. w 1964 roku – poeta, eseista, tłumacz. Przed wyjazdem do Nowego Jorku (2001) mieszkał w Tarnopolu, gdzie pracował na tamtejszym Uniwersytecie, w którym wcześniej studiował i na którym zrobił doktorat. Wydał m. in. tomy wierszy: *Schizma* (1993), *Samotność Cezara* (1994), *Księga pagórków i godzin* (1996), *Lutowe elegie* (1998), *Płetwa ryby* (2002) oraz tom przekładów Zbigniewa Herberta *Struna światła* (1996). Jest autorem książki *Artystyczny świat Bohdana Igora Antonycza* (1999). Tłumaczył wiersze Czesława Miłosza, Józefa Łobodowskiego, Mariana Grześczaka, Janusza Szubera. Członek grupy Zachodni wiatr. W antologii *Imiennik* podjął próbę zhierarchizowania intertekstualności współczesnej literatury ukraińskiej; redaktor antologii *Poeci lat dziewięćdziesiątych*. W Polsce ukazał się wybór jego wierszy *Wędrowcy* (2003).

KOSTIANTYN MOSKAŁEĆ

ur. w 1963 roku – poeta, prozaik, krytyk literacki. W 1990 skończył zaocznie studia w Instytucie Literackim w Moskwie. Jako autor i wykonawca własnych pieśni przez kilka lat pracował we lwowskim teatrze kabaretowym „Ne żmuryś!”, występując wraz z nim w większości krajów Europy. Laureat festiwalu „Czerwona ruta 89” w kategorii piosenki autorskiej. Szczególną popularność zdobył jego szlagier „Ona” w wykonaniu Tarasa Czubaja i zespołu rockowego „Plac Jeremiasza”. Od 1991 mieszka we wsi Matijwka pod Bachmaczem, zajmując się pracą literacką. Opublikował m.in. tomy wierszy *Myśli* (1989) i *Songe ciu vieux Peleryn* (1994), powieści *Gdzie mam się podziać* (1990) i *Doświadczenie koronacji* (1994), tom esejów *Człowiek na krze* (2001).

WIKTOR NEBORAK

ur. w 1961 roku – poeta, prozaik, literaturoznawca, tłumacz, eseista. Po studiach na Wydziale Filologii Ukraińskiej na Uniwersytecie Lwowskim pracował jako nauczyciel w Donbasie. Mieszka i pracuje we Lwowie. Współzałożyciel i „Prokurator” grupy Bu-Ba-Bu, członek pracowni „Psy świętego Jura”. Autor tomów wierszy *Bursztynowy czas* (1987), *Latająca głowa* (1990), *Alter ego* (1993), *Rozmowa ze sługą* (1994), niedokończonych powieści *Pan Bazio*

i reszta oraz tomu eseistyczno-wspomnieniowego *Wprowadzenie w Bu-Ba-Bu* (2001). Niektóre ze swych wierszy wykorzystywał jako teksty piosenek wykonywanych przez zespół rockowy Neborock, którego był liderem. W połowie lat 90. najważniejszym z literackich projektów Neboraka było „Trzecie tysiąclecie”, seria literackich wieczorów we Lwowie, do uczestnictwa w których zapraszał pisarzy, łącząc funkcje organizatorsko-producentkie z rolą moderatora.

DMYTRO PAWŁYCZKO

ur. w 1929 roku – poeta, tłumacz, eseista. Autor wielu tomów wierszy m.in. *Miłość i nienawiść* (1953), *Moja ziemia* (1955), *Czarna nić* (1958), *Wzywa prawda!* (1958), *Tajemnica twojej twarzy* (1979), *Spirala* (1984) *Nostalgia* (1998), *Poświadczam życie* (2000), *Naparstek* (2002). Tłumacz poezji anglojęzycznej (między innymi sonetów Szekspira), polskiej, bułgarskiej, rosyjskiej i in. Redaktor drugiego tomu *Antologii poezji polskiej* (1979). Wieloletni redaktor naczelny „Wseswitu”. W Polsce wyszły dwa wybory jego wierszy *Istota rzeczy* w wyborze i tłumaczeniu Floriana Nieuważnego (Warszawa, 1980) i *Tajemnica twojej twarzy* w wyborze i przekładzie Bohdana Zadury (Lublin, 1989) oraz – w wersji dwujęzycznej – tom *Naparstek* (Koszalin 2000). W 2000 roku w Kijowie Pawłyczko opublikował liczącą 470 stron antologię własnych przekładów poezji polskiej od Jana Kochanowskiego do Darka Foksa *Dzwony w zimie*, w 2001 ukazało się jej poszerzone wydanie zatytułowane *50 polskich poetów*. Związany z Ruchem, stał na czele Komisji Spraw Zagranicznych parlamentu ukraińskiego; był współtwórcą Deklaracji Niepodległości i w latach 1999-2001 ambasadorem Ukrainy w Polsce.

HAŁYNA PETROSANIAK

ur. w 1969 roku – poetka i tłumaczka (z czeskiego i niemieckiego). Mieszka i pracuje w Iwano-Frankowsku. Autorka tomów *Park na zboczu* (1996) i *Światło przedmieść* (2000), laureatka Nagrody Bu-Ba-Bu za najpiękniejszy wiersz roku 1996.

MYKOŁA RIABCZUK

ur. w 1953 roku – poeta, prozaik, krytyk, tłumacz, w ostatniej dekadzie bardziej aktywny jako politolog. Skończył Politechnikę Lwowską jako inżynier elektromechanik (1977) i Instytut im. Gorkiego (1988). W latach 70 animator nieoficjalnego życia kulturalnego we Lwowie. Pracował w tym czasie m.in. jako oświeceniowiec w teatrze i pracownik pionu technicznego w szpitalu dziecięcym. W latach 1984-92 kierownik działu krytyki, a następnie (do 1996) z-ca redaktora naczelnego miesięcznika „Wseswit”, 1991-1995 kierownik działu krytyki czasopisma „Suczasnist”. Jeden z założycieli wychodzącego w Kijowie od 1997 opiniotwórczego czasopisma „Krytyka”. Opublikował tom szkiców krytyczno-literackich *Potrzeba słowa* (1985), tom wierszy *Zima we*

Lwowie (1989), tom opowiadań *Gdziekolwiek, tylko nie tu* (2002). Wielkim wzięciem cieszyły się jego książki politologiczno-kulturologiczne *Od Małorosji do Ukrainy: paradoksy spóźnionego kształtowania się narodu* (2000), *Dylematy ukraińskiego Fausta: społeczeństwo obywatelskie i rozbudowa państwa* (2000) i *Dwie Ukrainy, realne granice, wirtualne wojny* (2003). W Polsce ukazał się wybór tych prac *Od Małorosji do Ukrainy* (2003) w przekładzie Oli Hnatiuk i Katarzyny Kotyńskiej. Teksty Mykoły Riabczuka były publikowane m.in. w „Więzi”, „Tygodniku Powszechnym”, „Krasnogrudzie”, „Czasie Kultury”, „Akcentie”, „Twórczości”, „Dekadzie Literackiej”, „Literaturze na Świecie”. Laureat nagrody POLKUL Foundation za działanie na rzecz dobrych stosunków ukraińsko-polskich (1999) oraz polsko-ukraińskiej Nagrody Pojednania (2002).

ROMAN SADŁOWSKI

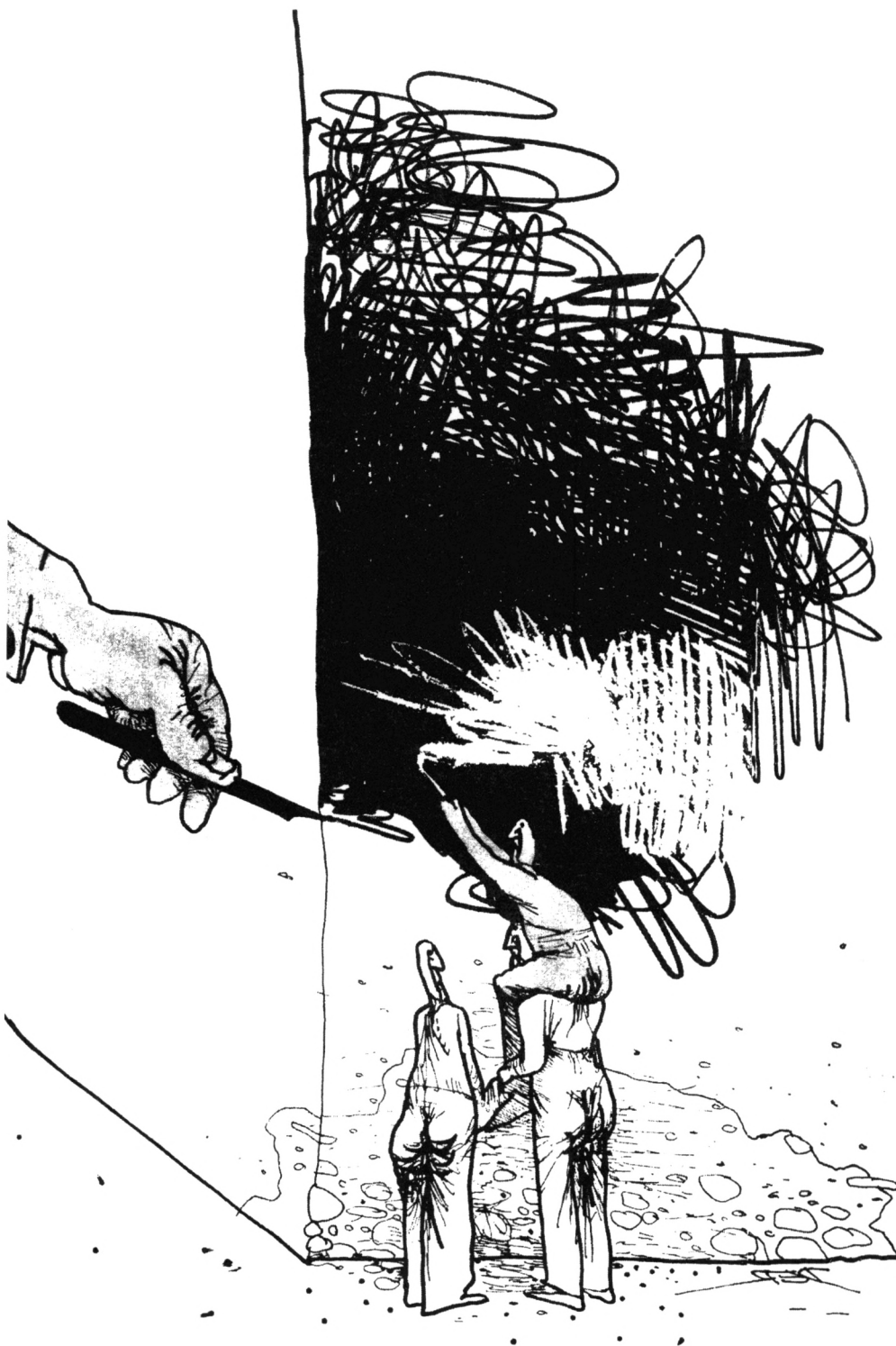
ur. w 1964 roku – poeta, autor poezji wizualnej. Wydał tomy *Senne słonica* (1996) i *Dwa okna* (1999). Dąży ku poezji malarskiej. Członek grupy literackiej Łu-Ho-Sad. Mieszka we Lwowie.

OSTAP SŁYWYNSKI

ur. w 1978 roku – poeta, tłumacz, krytyk literacki. Studiował bułgarystykę na Uniwersytecie Lwowskim, na którym obecnie pracuje. Autor tomu wierszy *Ofiarowanie wielkiej ryby* (1998). Inicjator i uczestnik projektów artystycznych (Powolne zwierciadło, Cztery strony światła). Laureat nagrody im. Antonycza (1997). Tłumaczył m.in. Różewicza, Podsiadłę, Świetlickiego. Jako stypendysta Ministra Kultury RP spędził w 2003 roku sześć miesięcy w Polsce podobnie jak Bondar i wspólnie z nim przygotowuje antologię współczesnej poezji polskiej. Mieszka we Lwowie.

SIERHIJ ŻADAN

ur. w 1974 roku – poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Mieszka i pracuje w Charkowie. Członek grupy literackiej Czerwona Fira, współredaktor czasopisma „Higiena”. Skończył studia na wydziale ukrainistyczno-germanistycznym Instytutu Pedagogicznego w Charkowie (1996), gdzie wykłada literaturę ukraińską i światową. Wiceprzewodniczący APU (2000-2004). Publikuje od 1992. W początkach działalności literackiej aktywny uczestnik „samwydawu” („Traktor: Gazeta Sierhija Żadana”, zbiór wierszy *Różowy degenerat*, 1993). Wydał m.in. tomy wierszy: *Księga cytatów* (1995), *Generał Juda* (1995), *Pepsi* (1998 – wydanie dwujęzyczne, przekłady na niemiecki Ursula Kerstan), *Ballady o wojnie i odbudowie* (2001). W 2003 roku wyszły jego dwie książki: tom wierszy *Historia kultury z początku stulecia* i tom opowiadań *Big Mac*, na 2004 zapowiadana jest powieść *Depeche Mode*.



Wstęp	5
DMYTRO PAWŁYCZKO	
*** [<i>Przyszedł kupiec z czerwonymi oczami</i>]	6
Cymbały	6
Kijów w maju	9
Świerki	10
Pierwszy raz	11
*** [<i>Rozplotły się, rozsypały, rozpadły</i>]	12
Fotografie	12
Na bosaka	13
Naparstek	13
Koń Józefa Poniatowskiego	14
Strzyżyk	15
EMMA ANDIJEWSKA	
Martwa natura z tarotem	16
Martwa natura wydłużona o lagunę	16
Martwa natura podróżująca w czasie	16
Rodzajowa martwa natura, która przechodzi w światło	17
Martwa natura z odchyleniem etycznym	17
Martwa natura na nowo zinterpretowana	18
Martwa natura metafizyczna	18
Martwa natura w jednopłaszczyznowo-historycznym rozcięciu	19
Domowe wnętrze, rozcięte na dwie nierówne połowy	19
Bukiet w podwójnym rozcięciu	20
Kuchenna martwa natura z piwoniami	20
MYKOŁA CHOŁODNYJ	
Wiersz do którego tytułu nie wymyślisz	21
Data	21
Góra Krzyżowa	21
Doświadczenie	22
Ruch do przodu	22
Śpiewak przypisany do zony	23
Na barykady!	24
Życie w bagnie albo imperator w Kujalniku	25
Oster, spacer po bazarze	26
Składanie ikry	27
Marzenia na noszach	28
HRYHORYJ CZUBAJ	
Teatr marionetek	29
Szukanie współwinnego	36
Mówić, milczeć i mówić znowu	44

MYKOŁA RIABCZUK	
*** [<i>Nagle poczujesz dziecięcą rączkę w dłoni</i>]	49
*** [<i>Jak pięknie i jak szybko wędrowały listy!</i>]	49
*** [<i>Wyjdiesz z tunelu i zobaczysz – jadą pociągi</i>]	50
Zima we Lwowie	51
Prostolinijne wiersze (fragmenty)	54
Koncert na Marsie	58
NATAŁKA BIŁOCERKIWEĆ	
*** [<i>Drży woda w szklance, i drży</i>]	61
Róża	61
Wino aniołów	62
Deszcz	62
Nóż	63
* * * [<i>zacierają się linie zapachy barwy i dźwięki</i>]	63
Sto lat młodości	64
Szalone samoloty	65
Szaro-niebieski	66
JURIJ ANDRUCHOWYCZ	
Pomnik	67
Elegia 60-tych	67
Tango „Biała róża”	68
Planetarium	69
Koszary	70
Grobowiec	70
Indie	71
And the Third Angel Sounded	74
Welcome to My Foolish Dreamland	75
Glory to the Camels	76
California Dreaming	77
Life Is a Long Song	78
Bombing New York City	79
OŁEKSANDR IRWANEĆ	
Rozczarowanie	80
Eine kleine Nachtmusik	80
*** [<i>Gdziekolwiek kimkolwiek byś był do tej pory i jaki</i>]	82
*** [<i>Ani to dobre ani też naganne</i>]	82
Sonet	83
*** [<i>5 000 000 połyka poranne buliony</i>]	83
*** [<i>Przenocuj mnie, wiśniowy sadzie</i>]	84
1992	84
Kochajcie!	85
Mój krzyż	86

Krótki wiersz o końcu świata	86
List otwarty do premiera ...	87
*** [<i>Dobra moja! O miłości i przyszłości – ani słowa</i>]	87
Wspomnienie Świtezi	88
Marzenie	88
W kwestii pytania o kategorię czasu	89
*** [<i>Jeszcze jeden dzień na tym świecie bez ciebie przeżyty</i>]	90
*** [<i>Na skrzyżowaniu jesieni i zimy</i>]	90
Żagłowiec	91
*** [<i>Komediantko, aktorko, figlarko</i>]	92
Widok z okna koszar	92

WIKTOR NEBORAK

Kryminał	93
Kawa	94
Klatka z panterą	94
Klatka z lwem	95
Piosenka o panu Baziu	95
Rock and roll „Olesia”	96
* * * [<i>Grafika lat, drzew oraz zmarszczek</i>]	97
Trzy elegie	98
Łapanie raków	99
Proces „Zagłada Atlantydy”	99
Seans spirytystyczny	100

KOSTIANTYN MOSKAŁEĆ

*** [<i>Ratunku mi nie trzeba</i>]	101
*** [<i>kochaj mnie kiedy już nie kochasz</i>]	101
Rozmyślania	101

JEWHEN BRUSŁYNOWSKI

Nonsens	112
Si-si-si	112
Ślepe konie	112
Pieśń o powiatowym centrum	113
Ryba absurdałna	113
Sto legend o słowie honoru	114
Chłopiec z jaskini Teszyk-Tasz	114
Notatki rasisty	115
Szczęściarz	115
Hasła na 1 maja	115
Nacięcia na palcach	116
A po ciemku źle	117
Błękitne niebieskie filary	117
Ten kielich	118

Znak przestankowy	118
Czytanka dla przedszkolaków	119
Konferencja rdzennych narodów	119

WOŁODYMYR CYBULKO

Sobotni samolot z Paryża	120
Tekst Nr 1	122

WASYL MACHNO

Dyptyk na temat poezji	127
*** [<i>stać w jaskini światła – i patrzeć na proch Rzymu</i>]	128
O Hamlecie	129
*** [<i>w ciepłym futrze nowego jorku – soho mordka lisia</i>]	130
*** [<i>ziemia która przypomina ptactwo – zwyczajną czapkę</i>]	131
O Apollinairze	132
O zimie i pisaniu listów	132
*** [<i>że cień ojczyzny – najzieleńszy pagórek – gdy przywykasz do tego</i>]	133
Jazzowa wariacja	134
Kronika wędrówek mrówek-bibliofilów	135
Kapelusz Nikity Stanescu	136
*** [<i>Przy wyłożonej marmurem czaszy basenu</i>]	137
Dialog	138
Nowojorska kartka dla Bohdana Zadury	139
Na festiwalu poetyckim	141
Syn marnotrawny	143
Na kawie w „Starbucks”	144
Jehuda Amichaj	145
Przeinaczanie historii	145
*** [<i>ukraiński poeta</i>]	146

NAZAR HONCZAR

*** [<i>Kocham Sinead O’Connor</i>]	148
Oda do łóżka albo kołysanka dla siebie	148
*** [<i>kiedy pociąg – w dal</i>]	148
*** [<i>słowna niezgodność niemożliwa</i>]	149
*** [<i>moja platforma – okrucieństwo</i>]	149
*** [<i>czy mnie kochasz czy nudzisz</i>]	149

ROMAN SADŁOWSKI

Kontrapunkt	150
*** [<i>Nigdy już nie wybiegniesz</i>]	150
Noc	150
Gdzie żyłem	151
Nieporozumienie	151
Każdy dzień	152

Dawno	152
Przyjście	153
Podróż do tego brzegu	153
*** [<i>Przechodzisz</i>]	153

IWAN ŁUCZUK

Historia poezji	154
Apologia snu	154
*** [<i>Słowa swoje pogmatwam</i>]	155
Trzy wieloryby	155
Kołysanka	155
Koniec świata	156
*** [<i>Uciekałem panicznie od ciebie</i>]	156

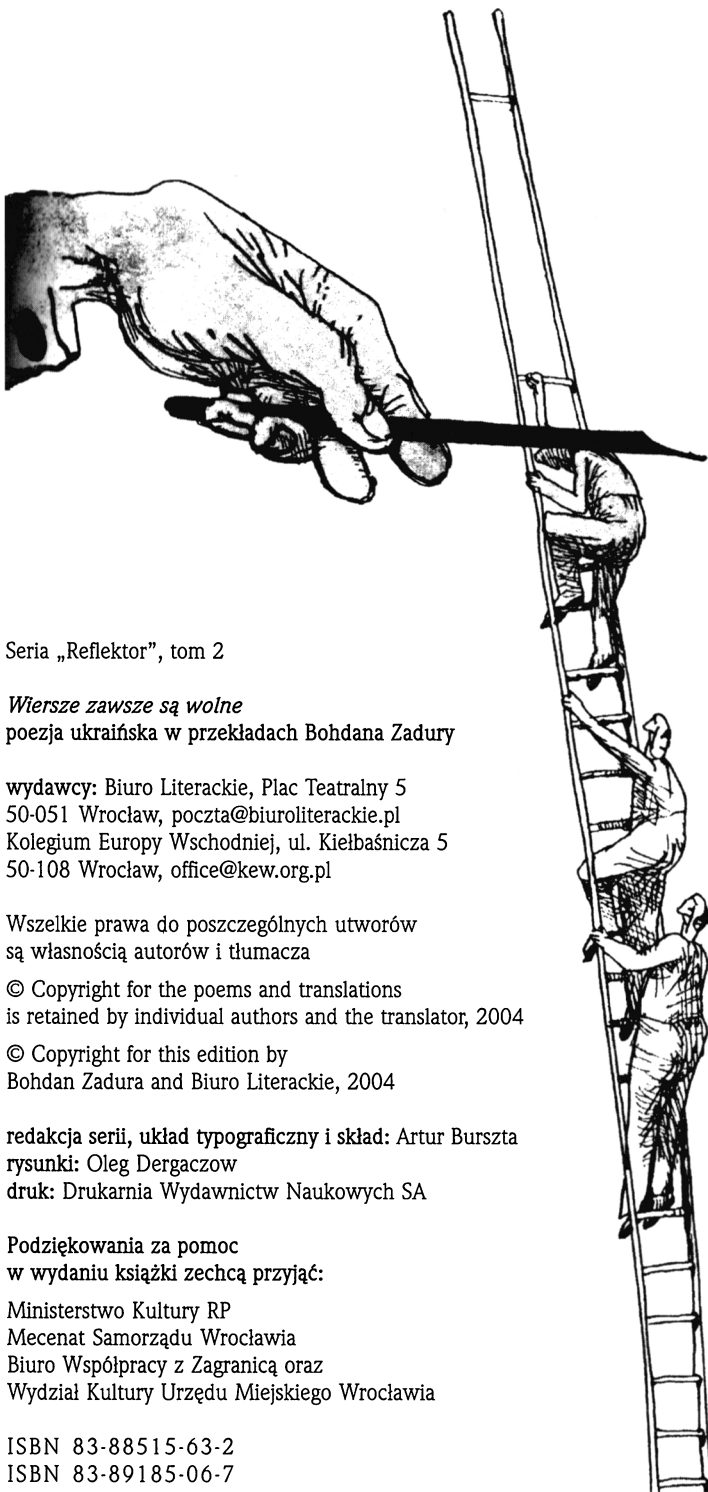
HAŁYNA PETROSANIAK

[Po szybach okna]	157
[Tylko zarysy]	157
[Na zawsze zostać]	157
[Wyprowadzasz mnie]	158
[Ten pejzaż widzę nie pierwszy raz]	158
[Niebawem już]	158
[Przekroczyliśmy granicę...]	159
[Osada w górach]	159
[Z perspektywy ptasiego lotu]	159
[W tym mieście]	160
[Nastanie dzień]	160
[Uzależniam się]	160
[Kiedy zaczną się tutaj]	160
[Fale godzin]	161
Pan	161
Narcyz	161
Tezeusz	162
Kraków	162

ANDRIJ BONDAR

List do K.	163
Tylko mnie nie odrzucaj	164
Kiepski gust	166
China	168
Jogging	170
Geny	172
Robbie Williams	174
Służę narodowi Ukrainy	175
*** [<i>kosmici – to dusze umarłych afrykańskich dzieci</i>]	177
Latynka	177

Wiek Chrystusowy	179
Nauczycielka chemii	180
SIERHIJ ŻADAN	
Warszawa	182
*** [<i>Dwudziestego kwietnia spadł deszcz</i>]	182
Alkohol	183
*** [<i>Padały deszcze</i>]	184
Harcerka N.	184
Generał Juda	185
(z poematu NEP)	186
Serbo-chorwacki	187
Sprzedajni poeci lat 60.	188
Ateizm	189
Sprzątaczkę korytarzy	191
Polski rock	192
Życie znaczy umrzeć	193
Elegia dla Urszuli	194
Pocztą	195
Niekomercyjne kino	196
Wewnętrzny kolor oczu	197
Hotelowy interes	198
Kobieta za trzydzieści dolarów	199
Orkiestra cementarna	200
OSTAP SŁYWYNSKI	
Śni mi się Bohusz Zolai	202
(obcy, obca)	203
*** [<i>kiedy spłynie z wodą młyn dla mnie przygotowany</i>]	204
Tysiąc ognisk	204
Frontier, granica	204
Granica koło Tetowa	205
Romans wyspy	205
(trzy święte)	206
Jakiś szofer albo tragarz	207
Noty o autorach	209



Seria „Reflektor”, tom 2

Wiersze zawsze są wolne
poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury

wydawcy: Biuro Literackie, Plac Teatralny 5
50-051 Wrocław, poczta@biuroliterackie.pl
Kolegium Europy Wschodniej, ul. Kielbaśnicza 5
50-108 Wrocław, office@kew.org.pl

Wszelkie prawa do poszczególnych utworów
są własnością autorów i tłumacza

© Copyright for the poems and translations
is retained by individual authors and the translator, 2004

© Copyright for this edition by
Bohdan Zadura and Biuro Literackie, 2004

redakcja serii, układ typograficzny i skład: Artur Burszta
rysunki: Oleg Dergaczow
druk: Drukarnia Wydawnictw Naukowych SA

Podziękowania za pomoc
w wydaniu książki zechcą przyjąć:

Ministerstwo Kultury RP
Mecenat Samorządu Wrocławia
Biuro Współpracy z Zagranicą oraz
Wydział Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

ISBN 83-88515-63-2
ISBN 83-89185-06-7



Na książkę tę składa się 220 wierszy (od parowersowych utworów po długie poematy) 20 współczesnych poetów ukraińskich – od Dmytra Pawłyuczki i Emmy Andijewskiej (rocznik 1930) po urodzonych w latach siedemdziesiątych Sierhija Żadana, Andrija Bondara i Ostapa Sływyskiego. Jej tytuł zaczerpnięty został z wiersza Mykoły Riabczuka (rocznik 1953), autora, który wywarł ogromny wpływ na świadomość artystyczną młodszych pokoleń.

Translatorska przygoda z poezją ukraińską Bohdana Zadury zaczęła się mniej więcej 15 lat temu, w czasie istotnych przemian na Ukrainie. *Wiersze zawsze są wolne* to antologia osobista, która choć nie ma ambicji, by przedstawić pełną panoramę współczesnej poezji ukraińskiej, jest jednak najobszerniejszą jak dotychczas w Polsce jej prezentacją.

**KOLEGIUM EUROPY
WSCHODNIEJ**
Fundacja

ISBN 83-89185-06-7

BIURO LITERACKIE

ISBN 83-88515-63-2